

K T Ó S.



KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

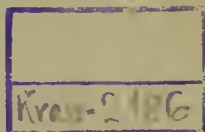
J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1884.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 5 Мая 1884 года.

7.1-2/16.5.1884

1985 K 109

~~~~~  
Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska 20.

Wieczór. godzina po dziesiątej. W cukierni przy teatrze. na górze. kilkunastu młodych po większej części ludzi przyszło się orzeźwić herbatą lub kieliszkiem wina...

Gwarno i wesoło. Jedni stoją. niezdjawszy płaszców. drudzy się ugrupowali przy stolikach... posługujący biegają od jednego do drugiego; słychać wykrzykniki: Herbata!—Kawa!—Cygaro!! W teatrze grał tego wieczora Żółkowski, stary czarodziej. który ilekroć występuje. zawsze wywołuje entuzjazm i podziwienie. Zdaje się, że nigdy tak nie grał jak tego wieczora, ale za każdym razem złudzenie się to powtarza.

— A! jakiż dziś był Żółkowski.

I dzięki temu czarodziejowi, sztuki, któraby dawno zeszły z repertuaru. o którychby ludzie zapomnieli. których twórcy spoczywają zasypiani niepamięcią,—powtarzają się ciągle, *robią kasę*—bo on im daje życie.

I tego wieczora, jak zawsze, Żółkowski był

cudownym w Zachodzie Słońca... wszyscy, co go słuchali i patrzali nań. wynieśli z widowiska tę rozkosz, jaką upaja doskonale dzieło sztuki...

Śmiano się i rozprawiano...

Imię Żółkowskiego dawało się słyszeć naprawo i nalewo...

Przy jednym z małych okrągłych stolików siedzieli dwaj młodzieńcy. których bardzo wykwintne i świeże ubiory—starannie ułożone włosy,—nawet ładne i dosyć szlachetnych rysów twarzy—kazały się domyslać—przynależności ich do wyższych, jeśli nie najprzedniejszych. klas towarzystwa.

Towarzystwo. jak wiadomo, dzieli się u nas, a potrosze i wszędzie na świecie. na wiele klas i odcieni. Jest tedy naprzód—towarzystwo *katechen*, to które się mniema samo tylko właściwie uprawnionem do noszenia tego miana—śmieć!!

Tuż przy niem leży warstwa, która niekiedy. w szczególnych wypadkach. przypuszczaną bywa do „elity“, ale w duszy zazdrości jej. nienawidzi, sarka na nią i jest pocichu wyśmiewaną; tę wszakże niechęć wzajemną dwu słoików społecznych pokrywa na oko uprzejmość i—znośne stosunki.

Przejście z jednej warstwy do drugiej nie jest niemożliwem. W ogóle pierwsza ma więcej przed-

ków i wspomnień. druga—pieniędzy. i wymiana jednych na drugie bezprzykładną nie jest..

Trzecia warstwa, pokrewna blisko drugiej.—ma już pewną cechę demokratyczną. chociaż i ona nie wszystkich dopuszcza do obcowania z sobą. a odznacza się tem. że drapieżną jest, złośliwą i lekceważącą.

Lecz... gdybyśmy głębiej w te pokłady trzecio- i drugorzędowej formacyi sięgać chcieli. za długoby o tem potrzeba się rozpisywać; rzućmy więc tę fizjologią społeczną na bok, a wróćmy do cukierni.

Dwaj siedzący przy stoliku czekali na herbatę. upominali się o nią; garson obiecywał—w ten moment.—a przyrzeczona nie nadchodziła.

Tymczasem—cóż robić było! Obaj młodzieńcy rozglądali się po pokoju. do którego wciąż jeszcze ktoś wchodził. i robiło się tak pełno, a żądania coraz nowe tak obarczały służbę iż—herbata stawiała się problematyczną przed północą.

Zdała. sam jeden przy małym stoliczku. na boku, siedział, bardzo wykwintnie ubrany ze smakiem. mężczyzna jeszcze młody. twarzy rysów klasycznych nie pięknych. ale marmurowo zimnych. palcem coś wygrywał na stoliczku zadumany. rzucał niekiedy oczyma po zgromadzeniu... i — nie zdawał się niecierpliwić tem. że mu dotąd nic nie podano.

Ten także, jak ze wszystkiego widać było, musiał do wyższych słojów społeczeństwa należeć. — Fiziognomia świadczyła o krwi, silna postawa miała to piętno arystokratyczne, które daje krew zarówno, jak wychowanie. — Możliwy go było nazwać pięknym w całym znaczeniu wyrazu tego, gdyby — nie jakieś znużenie, początek wędnięcia, chłód nad lata, a we wzroku coś strasznie przesywającego. Za to usta uśmiech nosiły, jakby przyglęły do nich, łagodny, dobroduszny i ujmujący.

Dwaj zdala od niego siedzący prawie razem go spostrzegali...

Jeden z nich, pan Emil Paczuski, blondyn, świeży, rumiany, pulchnutki — nieznacznie wskazał go towarzyszowi Józiovi Szalawskiemu. Józio, równych lat z nim, suchszy, muskularniejszy, równie kształtny, energiczniejszego wyrazu twarzy, zwrócił wejrzenie na odosobnionego.

— Znasz go? — zapytał Emil...

— Wszakże to Sylwan Horpiński? — odparł Józio... któż go nie zna!!

Emil śmiał się.

— Ja ci odpowiem, rzekł, kto go zna? Prawda widzimy go wszyscy i wszędzie, przemyka się nam jak zagadka co chwila przed oczyma; pełno go po salonach, w teatrze, na kursach, gdzie się



tylko ludzie zbierają; jest ze wszystkimi dobrze, ale powiedz ty mi: kto to jest ten Horpiński?

— A! zachciałeś!—rozśmiał się Józio—Horpiński jest Horpiński. Co mi do tego, że to on jest? wiem, że człowiek bardzo przyzwoity, bardzo wykształcony.—miły, grzeczny uczynny, nikomu nie zawadzający—co mi do tego... kto on jest??

Emil głową potrząsał.

— Zapewne, że nam nic do tego.—rzekł.—ale jednak rzecz byłaby ciekawa znać i wiedzieć—kto to taki?

Horpiński!! nazwisko jakieś dziwnie brzmiące... tu u nas ani krewnych, ani stosunków...

— Jakto! ani stosunków?—przerwał żywo Józio. Stosunki ma niesłychanie rozgałęzione. Hrabina A....owa go przyjmuje. u U... bywa, wszędzie go proszą, miłym jest gościem, nikt o nim złego słowa powiedzieć nie może—Czegoż ty chcesz więcej?

— Nie rozumiesz mnie—odezwał się Emil stukając w stolik i ponownie dziesiąty raz może dopominając się o herbatę... Oddaję sprawiedliwość Sylwanowi: najmiłszy w świecie człowiek... nie mu nie mam do zarzucenia; ale mnie drażni tem, że nie wiem z kąd się wziął... Miałem sposobność mówić o tem z wielu osobami; nikt mi nie umiał wytłumaczyć pochodzenia tego... zagadkowego jegomościa. W towarzystwie takie zagadki zawsze

są podejrżane. Kończył te słowa, gdy dosyć otyły, z wygoloną twarzą barwy czerwono-sinej, oczkami przymrużonemi złośliwie, ubrany przyzwoicie ale niedbale, mężczyzna pięćdziesięcioletni zbliżył się ku nim od niechcenia.

Był to—znany wszystkim tak zwany wujaszek Lurski... niegdys pono wojskowy, teraz przyczepiony do jakiegoś bankierskiego domu—lubiący życie, złośliwie dowcipny, wielce praktyczny człowiek.—więcej Francuz niż krajowiec a może nad wszystko—kosmopolita...

Obu młodzieńcom był on poufale znany. Spotykali się z nim codziennie: ale wiedzieli też, iż tak z nich, jak z całego świata, Lurski sobie drwił, będąc obojętnym na wszystko co jego własnego bytu, kieszeni, gęby się nie tyczyło. Naiwniejszego sybaryty i egoisty trudno znaleźć było, ale przynajmniej był nim otwarcie i nie maskował się wcale.

Wujaszek ów, w tej chwili niemający nikogo lepszego pod ręką, a oczekujący na swój grok.—zbliżył się do dwóch młokosów. Emil, rozmowę zwracając do niego, odezwał się:

— Nieprawdaż? wujaszku... Horpiński jest zagadką?

Lurski obejrzał się dokoła, spostrzegł siedzącego opodal i odrzekł zimno (po francuzku, bo najlepiej mówił tym językiem).

— Nie jesteś zmuszonym rozwiązywać tej zagadki—*Ma foi!*

— Ale mnie ona drażni...

— Dowód, żeś bardzo młody—odezwał się zimno wujaszek Lurski—bo mnie, starego, najmniejszej rzeczy ona nie obchodzi... *C'est un homme très comme il faut*, a w towarzystwie to starczy; o siostrę się twoję nie stara, bo jej nie masz; wątpię żeby cię prosił o pożyczanie pieniędzy, bo nigdy ich od nikogo nie żąda, a często własnymi służy—pocóż się masz zagłębiać w analizy, które byłyby próżną ciekawostką...

— No—tak—przerwał Emil—ale mi pan przyznasz że—nikt go nie zna...

— I nikt się o to nie kłopotczel—powoli począł Lurski, który się krzywił już, że nawet na zimny grok czekać musiał.—Co komu do Horpińskiego? Przyjmują go wszyscy... awantur nie robi—niema na świecie uczynniejszego i usłużniejszego człowieka—co najważniejsza—nigdy u nikogo nie pożyczka, pieniędzy ma zawsze podostatkiem—*ma foi! Cela suffit!*

— Tak—zawołał, tłumiąc głos i oglądając się Emil—ale zkądże ma pieniądze! Wujaszek się rozśmiał... i ruszył ramionami.

— To jego rzecz, nie nasza! *La recherche de la paternité est interdite*. Dajmy temu pokój.

— Przepraszam—odezwał się uparty Paczusi  
— *Vous qui savez tout...*

— Dajże mi pokój—oburzył się Lurski. ja nie  
nie wiem...

— Choćby. z jakiej prowincyi pochodzi!—do-  
kończył Emil...

Podano grok i pan kapitan. (bo go zarówno wu-  
jaszkiem. jak kapitanem zwano)—napił się na-  
przod. otarł usta, popatrzał na ciekawego i do-  
łożył.

— Nie mam wyobrażenia!!

Mężczyzna laskowaty. wysoki, chudy, blade,  
niepiękny. ale przesadnie wyelegantowany. ma-  
jący w sobie coś zarazem aktora i pasożyta... wci-  
snął się nadzwyczaj zręcznie pomiędzy rozmawia-  
jących...

Był to wistocie rodzaj — pasożyta, a zarazem  
urzędnik jednego z biur, w którym miał syne-  
kurę przyjemną.

Znano go jako usłużnego bardzo totumfac-  
kiego sfer—najwyższych.

— O kim mówicie?—wtrącił.

W tejże chwili kapitan. który nie lubił tak  
zwanego Salvatora (było to imię pasożyta). spoj-  
rzał nań przez ramię i z grokiem poszedł da-  
lej—jakby go chciał uniknąć.

— O Horpińskim—rzekł—krzesło podsnuwając  
Salvatorowi Emil.

Nieprawdaż? to zagadka?

Laskonogi pasożyt zrobił minę zdziwioną.

— Ale on w towarzystwie jest jak najlepiej notowany — rzekł. Lubią go, cenią, hrabina A — owa chwali go ile razy mowa o nim. Szlachcie to niema wątpliwości....

— Na miłość Boga! — rozśmiał się Paczuski — ja mu nie zadaję plebejuszowstwa, tyłkobyś rad wiedzieć, zkąd on się tu wziął?

Salvator słuchał z pewnem zdziwieniem.

— Proszę pana. — ciągnął Emil — który miał to do siebie, że raz wszedłszy na jaki przedmiot nie łatwo go rzucił — żyje ten Horpiński na stopie bardzo przyzwoitej, wydaje pieniędzy tyle, ile z nas najdosłatniejszy; nie ma ani pensyi, ani miejsca, ani dóbr żadnych, nie gra na giełdzie, wiadomego zajęcia nie widzę, bawi się...

Zkądże na to wszystko bierze!

— To nie ulega wątpliwości, — szybko rozpoczął Salvator, że musi być bardzo majątny — ale, rzeczywiście nigdy nie słyszałem, ażeby najmniejszą uczynił wzmiankę o posiadłościach swoich, nigdy nie słyszał o kolligacjach.

Poruszył ramiona.

— Proszę cię, kochany panie Emilu — dodał — jeżeli od lat kilku tu już obracając się w naszych kołach niczem nigdy nie podał się w podejrzenie i wątpliwość, nie zgrzeszył żadną nie-

delikatnością. żadnem form zaniedbaniem — co mnie reszta obchodzi?

Józio. który. dotąd milcząc. pił przyniesioną nareszcie herbatę—przerwał. głową potakując.

— Słowo w słowo—ja mówię tożsamo.

Wtem Salvator. jakby go coś tknęło. pochylił się do Paczuskiego.

— *Dites-donc?* szepnął—czyż dostrzegł. że się bierze do której z naszych panien? he? bo—wiesz—od lat dwóch czy trzech. gdy mamy przyjemność mieć go między sobą. ja nie złapałem go nigdy na najmniejszej chęci przypodobania się i bałamucenia.

Służy wszystkim paniom—ale żadnej nie daje pierwszeństwa.

Zdaje mi się. że od matrymonialnych projektów jest... daleko? He?

— Ja też o żadnych nie wiem—odparł Emil—wprost. tak sobie. ciekaw-bym był tylko coś więcej o nim wiedzieć niż inni.

— No—to ci powiem — szepnął pasożyt—żem słyszał go mówiącego o społeczeństwie galicyjskiem z wielką znajomością tamtejszych stosunków. Być może...

— Przepraszam. rozśmiał się Józio. bo mnie się trafiło także podsłuchać rozmowę jego z hrabią D.—o Poznańskiem i miałbym prawo z niej. wnosić. że chyba ztamtąd pochodzi. bo zna do-

skonale wszystkich. Działyńskich. Żółtowskich...  
*tutti quanti*.

Emil śmiał się. Salvator głowę spuścił.

— Naprawdę mówiąc — ciągnął po chwili. popiwszy herbatę. Paczuski — nie rozumiem go i z tego względu. że ani powołania. ani celu. ani upodobań szczególnych nie widzę w nim. Czem się on zajmuje?

— *Un homme du monde!* — szybko podchwycił pasożyt — czemuż ty chcesz. żeby się miał zajmować? Bywa w towarzystwach. bawi się. czas spędza przyjemnie. czyta nowe książki. jest *au fait* wszystkiego, co się gdzie dzieje...

Mówiono mi. że znawca sztuki niepospolity. lubi stare rupiecie.

Józio trochę złośliwie wtrącił:

— Kochany Emilku — a twoje powołanie??

Zaczeli się śmiać wszyscy.

— Moje powołanie może jeszcze się nie miało czasu objawić — zawołał Paczuski. — Zresztą kocham się nieustannie. lubię jeść i bawić się. a ten wasz Horpiński nie kocha się. a cokolwiek robi. to z taką obojętnością i chłodem zużytego człowieka. jakby do niego serca nie przykładał.

Salvator kazał sobie podać kieliszek Fine-Champagne i szklankę wody. Rozmowa na tem zawieszoną została. Spoglądano ku temu kątowi. w którym ciągle jeszcze siedział tajemni-

czy Horpiński, dopijając herbatę z obojętnością i roztargnieniem człowieka, który nie ma się do czego śpieszyć i radby tylko czemś czas zabić.

Ani on do nikogo, ani do niego nikt się nie zbliżał. Parę osób go pozdrowiło, przechodząc... pozostał sam...

Wstał wreszcie zamyślony, zapłacił i wolnym krokiem przeszliżnawszy się pomiędzy gośćmi, zniknął we drzwiach...

— Gdzie on mieszka?—zapytał Paczński. Józia ta ciekawość natarczywa bawila. Salvator odwrócił się.

— Byłem raz u niego—rzekł.—posyłała mnie hrabina A...owa, chodziło o loteryą fantową, na którą ofiarował wcale ładny bronz Barbedienne'a, wart pewnie jakie 100 rubli. Mieszka na początku Nowego Świata, na drugiem piętrze, prawda, ale kawalerskie jego pomieszkowanie — w surowym stylu.—nie mogę inaczej zdefiniować—arystokratycznie piękne.

Gustu ma wiele, najmnieszego dysonansu.—Jest to natura artystyczna. Obrazów niewiele, ale piękne i cenne, statuetki, cacka, dużo rzeczy cennych... Umeblowanie w jednym stylu... książek i dzienników dużo... Dostatek i za-  
możność bardzo wyraziście w oczy biją.

— Ale to właśnie—zawołał Emil—może obudzić podejrzenie...



Józio przerwał śmiechem, a Paczusi zapil herbatą.

— Że się dobrze ma — mówił Salvator — to nie nlega wątpliwości...

— A to was nie uderza — rzekł Paczusi, — że ten piękny mężczyzna, jak mówicie, dostatni, dobrze wychowany, zbliżający się może do czterdziestki.... stoi tak sam jeden jak palec i nie myśli nawet o ożenieniu się.

Uśmiechnął się pasożyt i dużą swą żółtą łapę położył na ręce Emila.

— Kochany Emilu — rzekł — właśnie dla tego że do czterdziestki się zbliża, już mu nie tak pilno się żenić i kochać, jak tobie, dla którego miłość i kobieta mają urok nowości... Ręczę, że on już wiele przeżył, doświadczył, może przeboleł, a to samo, że się schronił tu na grunt neutralny, gdzie go nikt nie zna, gdzie go żadne nie prześladowają wspomnienia — daje do myślenia!!

Jest to dobrowolne wygnanie!

— Uwaga nadzwyczaj trafna!! — podchwycił Paczusi... To wistocie rzuca pewne słabe światło...

Pochlebiali snadź pasożytowi, iż uznano jego przenikliwość, — zatarł ręce. Spojrzał na zegarek i brwi podniósł: godzina była spóźniona. Emil i Józio, nie mając się czego śpieszyć, dolewali

sobie herbaty... Laskonogi Salvator pożegnał się z nimi. i w tejże chwili z cygarem w ustach powrócił Lurski. skrzywiony...

— Cóżescie u licha długo rozprawiali z tym zdrewniałym szparagiem bez główki? — odezwał się kwaśno. *Ma foi!* to sztuka z tym papłą tak długo wytrzymać. — uważałem. że rozmowa była bardzo ożywiona.

— Zawsze o Horpińskim—wtrącił Józio. ale to nie moja wina. Paczuski jest nim podrażniony...

Lurski głową potrząsał...

— Jeżeli cię już tak bardzo piecze ciekawość — odezwał się zwracając do Paczuskiego. toć najprostsza rzecz. Zbliź się do niego. Jest bardzo grzeczny. mówią. że zawiązuje łatwo znajomości.

— Ale one do niczego nie prowadzą — odparł wstając z krzesła Emil.—Wiem o tem doskonale od Waleryana.

Rozśmiał się i dziwną minkę zrobił pogardliwą.

— Walerek jest zawsze *à court d'argent* — mówił dalej. — My już mu nie pożyczamy, bo to jest beczka Danaid. Widząc Horpińskiego tak zamożnym i często szczodrym, Walerek, jak mi się sam przyznał, — lapę zagiał na Sylwana. Przyłgnał do niego, starał mu się usługiwać, roz-

gorzał przyjaźnią niezmierną—ale, niestety—bez wzajemności! Grzeczny, ale niesłuchanie zimny. Horpiński umiał go tak trzymać w pewnem odaleniu, poufałości z sobą niedopuszczając, że Walerek na próżno czas stracił. Nie śmiał go nawet prosić o pożyczkę.

Pałac cygaro, słuchał Lurski.

— To mi daje wyższe jeszcze o nim wyobrażenie—rzekł. Ma rozum i umie się z ludźmi obchodzić. Odmówić zręcznie pieniędzy, było niczem, ale Walerkowi usta zasznurować tak, że się odezwać nie śmiał, *ma foi*—to sztuka!—ależ to doskonałość!

Lurski śmiał się—Walerek musi być skonfundowany.

— Rozumie się—mówił Emil.—To też pocziwej nitki nie zostawia na tym Horpińskim i—przyznam się, że jego papłania we mnie taką obudziła ciekawość...

Kapitan dumiał roztargniony.

— Ktokolwiek on jest—rzekł w końcu—mam o nim z tego, co widzę i słyszę, wcale niepospolite wyobrażenie. Już to samo, że się nie daje spenetrować pierwszemu lepszemu—dowodzi rozumu.

To mówiąc wujaszek-kapitan włożył kapelusz na głowę, obejrzał się dokoła i odniechcenia

pożegnawszy młodzież, nuciąc śpiewkę, wyszedł z cukierni.

Teraz i naszym paniczom czas było do domu.

Pierwszy z nich, ciekawy Emil Paczński, pulchny, różowy pieszczoszek, jednak u bogatej mammi, siedział w mieście bez żadnej potrzeby i celu. Matka wołałaby go była stokroć widzieć na wsi, biorącego się do gospodarstwa pod jej okiem. Emil lubił się bawić i wynajdywał najmniej prawdopodobniejsze powody do przeciągania pobytu w Warszawie. Miał tu wcale przyzwyczajony *pied à terre*, służącego starego, dodanego dla dozoru, który go niegdyś nosił na rękach.—a że mu na pieniądzach nie zbywało, bawił się wysmienicie. Próżniacze to było życie, w dobrem jednak towarzystwie, które niezawsze jest dla takiego młodzika najlepszem.

Mamę to uspakajało, że Emil nie wdawał się z łaďa kim, i, sam majątny, szukał sobie znajomości w wyższych kołach. Nie widziała więc niebezpieczeństwa pobytu w Warszawie, a ceniła to, że się chłopiec ocierał, zabierał znajomości, i że mu czas upływał wesoło. Była dla młodoci wyrozumiała.

Emilowi tu czas upływał bardzo przyjemnie. Nie miał innych obowiązków nad te, jakie wkładają względy towarzyskie; oddawał wizyty, za-

proszony. stawiał się do tańca, przynosił bukiety, starał się o książki i nnty. i t. p.

Nie mając wcale zamiaru żenienia się. Paczuski był łatwy do zajęcia się pierwszą świeżą towarzyszką niewieścią — lecz z równą łatwością zwracał się potem do innej i pociągającej nrokiem nowości. Nie zbywało mu na pewnem wykształceniu, miał nawet czasem zachcianki do czytania i. gdy nie było co robić, polykał romanse francuzkie — nie czuł jednak potrzeby zagłębiania się zbytniego w nauce. Z tym zapasem, jaki już sobie uzbierał w towarzystwie, mógł uchodzić za dobrze wychowanego, roztropnego i przyzwoitego młodzieńca. O więcej się nie dobijał nateraz.

Życie obowiązków, pracy—spokojne, regularne, niekiedy mu się na dalekim planie ukazywało, jako niemięchomy koniec — ale tymczasem miał młodość do spożytkowania, i wyrzekać się jej nie myślał. Dobrego serca zresztą. — przywiązany do matki, nie swarliwy, lubiouym był powszechnie. Starsi znajdowali go nieco dziecinnym, a czyniło go takim pieszczone wychowanie mamusi, dla której był zawsze jeszcze tym małym Milusiem, którego długo, długo na kolanach trzymała.

Józio Szalawski, syn wysokiego urzędnika, w hierarchii zajmującego stanowisko znaczące,—

jedynak także ojca, bo miał tylko dwie siostry. — nawykły był do życia dostatniego. gdyż przezes-papa i pensyą pobierał znaczną i z siebie był mająt-ny. Ale ojciec, surowy, wymagał od niego, aby pracował, i dopilnowawszy dokończenia nauk, pozyskania stopni, — zaprzągnął go do binra. Wytkniętą miał karierę i wyznaczoną drogę.

Stosować się musiał do życzenia ojca, nie opierał mu się, — ale w duszy znajdował tę niewolę urzędu całkiem dla siebie zbyteczną. Wiedział, że ojciec mu majątek ziemski przeznaczał i wdychał do wiejskiego życia, widząc w niem więcej swobody i niezawisłości.

Ale praca w binrze, którego głową był ojciec, zbyt utrudzającą nie była. Józio przez prezesa miał wstęp do towarzystwa najlepszego, bywał wszędzie i urzędowanie swe uważał za *malum necessarium*. Głową i wykształceniem Józio przechodził owiele Emila, z którym był zaprzyjaźniony. Więcej od niego czytał, myślał i miał chwile poważniejszego zapatrywania się na życie. Pomimo to świat miał nrok dla niego i odrywał go ku sobie.

Wyszedszy z cukierni, dwaj przyjaciele zapalili cygara i gwarząc szli jeszcze czas jakiś razem.

Noc była jasna, księżycowa, wiosenna, ciepła; ludzi już na ulicach niewiele. Ponieważ obaj do Krakowskiego Przedmieścia szli razem i w je-

dnym kierunku. nrywana rozmowa zabawiła ich jeszcze.

Wtem Emil trącił w bok towarzysza i ukazał mu kogoś, wolnym bardzo krokiem, wlokącego się także ku Krakowskiemu Przedmieściu.

Był to ów Sylwan Horpiński, który tak niepokoił Paczuskiego.

Szedł nadzwyczaj powoli, zadumany, jakby mu zupełnie było obojętnem, kiedy się dostanie do domu, a nawet, czy na drodze go znajdzie. Paczuski i Józio zbokn długo mu się przypatrywali. Nie zważał na nich. Spoglądał ostrygłem okiem po domach—zatapiał wzrok w ulicach bezmyślnie, zatrzymywał się, szedł—i zdawał się tak zatopionym w sobie, jakby wcale nie wiedział, co się z nim działo.

— Patrzajże — szepnął Emil do towarzysza—niejest-że to Sfinx?... nie mam-że prawa pytania i badania: co ten człowiek na świecie robi?

— Powiedziałbyś teraz, patrząc na niego, że jakieś niewysłowienie ciężkie brzemie barki jego nciska!...

Wszyscy, którzy mieli szczęście znać panią Zawierską, z domu hrabiankę T....., zgadzali się na to, że celem jej pobytu w Warszawie nie mogło być nic innego, jeno wydanie córki za mąż Tymczasem p. Michalina, piękna, bogata, utalentowana, dowcipna, pod wszelkimi odznaczająca się wśród najświetniejszego grona swych rówieśnic i towarzyszek — miała już lat dwadzieścia i dwa, z czego nie tylko nie robiła tajemnicy, ale nadto często mówiła o tem — a o wyjściu za mąż dotąd naprawdę mowy nie było.

Mogących i chcących się starać o ten klejnot, było nadzwyczaj wielu, począwszy od mających się za geniusze artystów i literatów, aż do hrabiów i książątek — ale przystąpić do panny Michaliny mało się kto ważył.

Misia, ubóstwiana przez matkę, była zawsze trochę excentryczną, a z latami stała się postrachem tych, co ją otaczali. Nie była złośliwą — przeciwnie, czasem aż nadto pobłażającą i łagodną.



ale nie szauowała form przyjętych i buzi ślicznej utrzymać nie umiała. Zapytania jej i odpowiedzi czasami wprawiały w osłupienie śmiałością, zuchwalstwem niemal. Matka bladła naówczas, drżała — a Misia, gdy ją widziała przełęczoną, miała wyplątać się z najcięższego położenia.

Rozum przyznawali jej wszyscy, nauki miała aż nadto, talent szczególnie do malarstwa zdumiewający: z powierzchowności naostatek sama już zdolną była oczarować i njać.

Są nadzwyczajne piękności, które nic nie mówią; patrzy się na nie z uwielbieniem, ale odchodzi bez wzruszenia. Michalina miała w sobie coś tak uroczco pociągającego, iż kto ją raz widział, ten za nią tęsknił potem całe życie...

Wyższość jej nadpospolitych ludzi dawała się czuć we wszystkim, a nie była dumną i odstręczającą.

Miernego wzrostu, kształtna i zręczna, miała główkę greckiej bogini, ożywioną promykiem rozbudzonej intelligencji, jakiej bóstwa helleńskie nie miały. Czoło, więcej rozwinięte, niż na medalach i w posągach starożytnych, nie było jednak nieproporcjonalnie wyniosłem. Czarne oczy, pełne wyrazu, myślące, rozumne, nie biegały z przedmiotu na przedmiot, prześlizgując się po powierzchniach: wlepiały się, badały, zatapiały w ludziach i obrazach świata.

Opisać tej fiziognomii nikt nie umiał—bo wielka jej piękność, nie w pojedynczych rysach mieszkała, ale w endownej harmonii całości. Taksamo postać przypadała do twarzy. a ruchy uderzały naturalnością i swobodą.

Wdzięk niewieści, który towarzyszył jej każdemu poruszeniu. dziwnym sposobem godził się ze śmiałością. niemal kobiecie niewłaściwą. W niej ta odwaga, ta szczerłość słowa. wejrzenia i postępowania, płynęła tak naturalnie z usposobienia, iż nie raziła nikogo.

Misia miała być jak dziecię wesołą i jak starzy poważną — a usposobienie wewnętrzne więcej ją ku powadze skłaniało. Czytała wiele, myślała więcej jeszcze może; nieczyła się chciwie, ale i ze świata czerpała naukę — co mało kto umie.

Matka jej, która. ją jedną mając. kochała aż do bałwochwalstwa—była pierwszą wielbicielek tego fenomenu. tego endu: zachwycała się nią. ale pocichu płakała nad tem, że Misia, na tej stojąc wyżynie, przeznaczona jest na osamotnienie.

Pocichu mówiła sobie: kto jej godzien?

Wolałaby była widzieć ją mniej piękną, mniej rozumną, mniej boginią a więcej pospolitą dobrą dziewczką. dla którejby szczęście łatwiej znaleźć było. Sama pani Zawierska nie była też pospolitą kobietą, i wychowanie. jakie dała córce, najlepiej o tem świadczyło. Nikt lepiej Misi nie

oceniał i nie rozumiał nad nią — ale nikt się tą wyższością nie martwił więcej.

Ta wyższość przy całej łagodności dziecięcia, była przyczyną, że Misia nie mogła wyjść dotąd za mąż, a matka jej nakłaniać do tego nie śmiała.

Matka i córka zrozumiały się łatwo w tym względzie. Misia potrzebowała kogoś, coby pozyskał, nie tylko jej chwilową życzliwość i sympatyą, ale poszanowanie: pragnęła mieć męża, coby ją rozumiał — a inteligencją i sercem był jej równy.

Większa część pretendentów, bardzo położeniem swem towarzyskiem odpowiednich wymaganiom, zbliżywszy się do Misi, cofała się, nie mając odwagi nawet spróbować szczęścia.

Ona nie zrażała nikogo — ale sami wielbiciele przekonywali się, iż za wysoko sięgali.

Panią Zawierską nabawiało to niepokoju niewysłowionego; Misia zaś była, lub zdawała się być, zupełnie spokojną i szczęśliwą.

— Matusiu — wierz mi, nie mamy się czego spieszyć — mówiła — małżeństwo jest związkiem nierozzerwanym: nie podobna ważyć się na nie — bez namysłu i na los szczęścia!

Zimy więc spędzały te panie w Warszawie, a często i część wiosny, jak w tym roku; jechały potem na wieś, bawiły do jesieni i z przymrozkami wracały do raz na zawsze najętego na Nowym

Świecie mieszkania, które ze zbytkiem, smakiem i komfortem było urządzane.

Majątek bardzo znaczny, szczęściem zagospodarowany dobrze przez wieboszczyka i równie starannie zarządzany przez jego szkolnego towarzysza i przyjaciela—wdowca bezdzietnego, który do rodziny był całem sercem przywiązany — dozwalał pani Zawierskiej żyć na stopie bardzo wysokiej, przyjmować najlepsze towarzystwo i nie rachować się z groszem do zbytku, bo nigdy dochodów swych nie przeżywała.

Wiedziano bardzo dobrze, iż panna Michalina, co najmniej parę milionów mieć mogła posagu: była to więc partya dla najznacniejszych nawet rodzin odpowiednia; ale panny Michaliny obawiano się trochę.

Płochości i zalotności nie miała najmniejszej. Lubiała się ubierać pięknie i z wielkim smakiem, ale smak u niej zastępował zbytek. W stroju nawet, nie wojując z modą, umiała być niezależną. Tworzyła sobie suknie, niuderzające dziwactwem, niebijące zbyt w oczy, a jednak oryginalne.

Obie panie lubiały towarzystwo, nie stroniły od ludzi i salon ten liczył się do najmiłszych, bo nie zamęczał, ani zbytnią muzyką, ani literaturą przy-musową, ani popisami uczonemi.

Każdy się w nim czuł swobodnym. Raz w ty-

dzień, we Czwartek, bywał obiad proszony, na który zwykle do dziesiątka osób obojej płci się zbierało, a po nim wieczorem przybywał, kto chciał i był łaskaw, na herbatę i wieczerzę.

Na pasożytach obojej płci nie zbywało, naturalnie, a Zawierska znajdowała ich potrzebnemi. Przynosili oni z sobą życie, nowiny, wesołość, nastroęczeni się do małych usług — a złośliwości ich nie dawano się tu rozpościerać, bo matka i córka zarówno nie dopuszczały przestąpienia pewnych granic. Wiedzieli o tem goście — i musieli się do wymagań domu stosować.

Salon, — zdaniem wielu wybredniejszych — miał trochę mieszane towarzystwo, lecz właśnie to dawało mu barwę właściwą. Bywali w nim i najwięksi panowie i — „towarzystwo” *par excellences*, to, co sobie przywłaszcza wyłączone imię jego — i artyści, literaci, finansisci, mieszczaństwo wychowaniem stojące na równi z wielkim światem. Szlachta przybywająca chwilowo do Warszawy, choćby małego znana Zawierskiej, lub przez kogoś znajomego wprowadzona, zbierała się chętnie i tłumnie.

Czas więc upływał bardzo przyjemnie, a — co najdziwniejsza — dom ten, któremu tyle było do pozazdrosczenia, nie miał nieprzyjaciół, nie czepiała się go obmowa i plotki...

Życie tych pań biegło jasne — drzwi ich tak

otwarte, stosunki tak jawne, że kłamstwo przylgnąć do progu nie mogło...

Wybredni tylko smakosze, spotykając się tu z professorami, z artystkami, z ludźmi niesalonnymi, ubolewali nad tem, iż pani Zawierska surowszego nie czyniła wyboru.

Któż wie? — onaby może mniej była gościnną, ale córka miała tylko jedną miarę i znała jedną kwalifikacyą: wychowanie, talent i intelligencyą.

Nazajutrz po owem przedstawieniu, którem Żółkowski tak swych starych przyjaciół i wielbicieli zachwycił, był właśnie Czwartek, dzień zwykły obiadu i wieczornego przyjęcia u pani Zawierskiej.

Na obiad jednak mało osób proszono, dlatego, że ze wsi przybył właśnie ów przyjaciel nieboszczyka Zawierskiego a teraźniejszy rządca i opiekun tych pań: pan Kaźmierz Pruszczyce.

Wieśniak, nawykły do cichego życia, w towarzystwie stolicy czuł się nieswoim: nie chciała więc, przyjmując go, Zawierska mieć wiele osób u stołu...

Chociaż rządca tylko, Pruszczyce był raczej na stopie opiekuna i przyjaciela. Szanowano go, ceniiono, a stary zasługiwał na to... Nie mając rodziny, niegdyś żołnierz, Pruszczyce przywiązał się

do domu i służył mu tak, jakby nie był obcym, ale swoim.

Zawdzięczała mu Zawierska swój spokój i dostatek... a obie z córką kochały go, jako żywego przedstawiciela nieboszczyka Zawierskiego, jako jego troskliwego zastępcę.

Pruszczyc odrazu zdradzał swoje dawne powołanie żołnierskie: wyglądał typowo na starego kapitana z tych czasów, które przesłużył, ale był dobrze wychowanym, bo pochodził z dosyć majątnej rodziny szlacheckiej i obracał się w kołach wojskowych arystokratycznych. Teraz był to już tylko zabiegliwy gospodarz, rachmistrz. — a w wolnych chwilach czytelnik niezmordowany gazet, bo go polityka do zbytku zajmowała i zdawało mu się zawsze, iż ona pociechę mu na starość przyniesie. Wierzył w szczęśliwe konjunktury, które się nigdy nie sprawdzały. Drugą słabością Pruszczyca było upodobanie w koniach, tak, że nawet wyścigowe hodował i — choć się na nich zawodził, ciągle marzył o wytworzeniu wschodnio-polskiego bieguna, któryby angielskie pobil.

Patryotyzm jego sięgał aż do stajni. Według Pruszczyca nie było żołnierza nad naszego, ani konia, ani lasu, ani zwierzyny, ani powietrza ni wody — ani — (nadewszystko) — takich kobiet, jak nasze.

Rozumie się, że od dziecka wielbił Misię, gdy jeszcze w krótkich sukienkach i spódniczkach chodziła — a teraz miał ją za niewiastę cudowną, godną chyba tronu...

On się też bynajmniej nie dziwował, że zamaż nie wychodziła. Za każdym razem, gdy do miasta przybywał, gdy Zawierska z Misią na wieś przyjeżdżała — spotykała go z lamentem.

— Kapitanie! — dotąd nic! nic! nikogo!!

I łamała ręce biedna, a Pruszczyć węża pokręcał.

— Trudno dla niej znaleźć parę... Ho! ho! To się wie... Ale — potrafi ona swym rozumem odkryć tego, którego jej Bóg przeznacza... Ja nie wątpię o tem... a Opatrzność zaopiekować się nią musi, bo kimże-by już się opiekowała — jeśli nie takim kwiatem i perfekcją?...

I teraz taksamo witała Pruszczyca Zawierska, a kapitan, śmiejąc się, pocieszał — miał przeczuć blizkiego jakiegoś szczęśliwego wyboru...

— Niema do tego najmniejszego podobieństwa — niestety! — odparła Zawierska... — Młodych ludzi bywa u nas mnóstwo, ale Misia nie daje z nich żadnemu pierwszeństwa!..

Pruszczyć pokręcał węża.

— Tem lepiej, pani dobrodziejko. — mówił wesoło. — dłużej się my nią będziemy cieszyli. — Ja jestem egoista...



Na obiad dnia tego przypadkiem zaproszony był Emil Paczusi. Wypadło mu tą grzecznością opłacić jakąś przysługę. Pruszczyć w czasie obiadu przypatrywał mu się bardzo bacznie. — słuchał jego rozmowy z panną, która więcej zabawiła gościa niż on ją, a po obiedzie, zbliżywszy się do pani Zawierskiej, przy czarnej kawie, szepnął jej cicho:

— Pani moja łaskawa, możnaż obwiuiąć Misię że się z wyborem nie śpieszy? Przyglądałem się i przysłuchiwałem w czasie obiadu tego młodzieńca rozmowie!! Ładny chłopiec, krew z mlekiem, dobrze utuczony i gdyby na pieczone, tobym go wybrał chętnie... Ale na męża! dla panny Michaliny!! Ona-by z nudów z nim umarła, bo to wiatrem nadęte i niema w tem nic!!

Emil Paczusi — należy go oczyścić z podejrzenia, — wcale o pannę starać się nie myślał, uznając sam, że nie dla niego ona była. Lubił z nią mówić, dumnym się czuł z przyjęcia w tym domu, ale ani zakochać, ani się rozmarzyć nie ośmielał.

Misia, która nawskroś przenikała ludzi i każdego z nich umiała zużytkować właściwie — znała słabe i mocne strony Emila, posługiwała się nim chętnie i zręcznie, a prawie zawsze tak, iż on sam nie wiedział o tem, do czego jej był potrzebny.

Ciekawość względem Sylwana Horpińskiego, którą objawił Emil poprzedniego wieczora, za-

czerpnął on także od Misi. Ona-to kiedyś odniechcenia rzuciła zapytanie dotyczące się znajomego a nieznanego człowieka. U pani Zawierskiej bywał on bardzo często... a nawet cieszył się pewnemi względami panny Michaliny. która rozmowę jego znajdowała miłą. i wdzięczną mu też była że — nigdy nie przechodziła granic pewnych... — nie traciła żadną chętką przypodobania się.

Emil chciałby był przysłużyć się ciekawej paninie. jakimiś .. niewydanemi „ wiadomościami o Horpińskim, biegł za niemi. ale dotąd mu się nie powodziło.

Dom, który najmowała pani Zawierska od lat blisko dziesięciu (pierwsze piętro) — chociaż była tu lokatorką tylko. — urządzony został przez nią i dla niej. Miała swobodę zupełną restanrowania i przerabiania i w ciągu tych lat po myśli swojej i córki przekształciła mieszkanie.

Jak towarzystwo, które się tu zbierało, salon i apartamenta Zawierskiej nosiły na sobie właściwe piętno neutralnego stanowiska, na którym żywiły różne społeczne się skupiały. nie wypowiadając sobie wojny.

Kosztownie umeblowane pokoje nie miały tej nieznośnej fiziognomii hotelowej. jaką nadaje wytworność bez smaku. Misi, artystka, wszystko tu umiała dobrać harmonijnie i zestawić tak,

aby stworzyć obrazek nie bez pewnej oryginalności, a bez pretensyi do niej.

Starala się o to, ażeby i w salonie i w przytykających pokojach sprzęt był wedle umyślnie sporządzonych rysunków wykonany, z tym warunkiem, ażeby ich nie powtarzano. Żadna z ozdób w salonie nie była też repetycją jakiegoś czegoś oklepanego, choćby pięknego. Główny salon, w stylu XVI wieku cały, miał wiele powagi i prostoty. Inne pokoje, z rozmaitych epok, równie starannie były przyozdobione. Żaden z obrazów wiszących na ścianach nie nudził widokami Szwajcaryi i Tyrolu; żadna zła kopia sławnego oryginału nie zalegała próżnego miejsca. Nie było przesytu i przeładowania fraszkami, a te, którym uczyniono honor wybrania ich dla reprezentowania smaku epoki, wistocie ją reprezentowały.

Z takim staraniem, ale skromnie i nie krzyżąc,umeblowane mieszkanie dawało odrazu poznać w kobietach, co je zajmowały. — osoby wykształcone i myślące.

Dla pospolitych gości mniej tu było do zabawienia oczów, dla artystów i znawców — mnóstwo rzeczy obudzających idee, zatrzymujących wzrok.

Misia starala się przytem, ażeby najrozmaitszemu smakowi ludzi przyjmowanych zadość uczynić. Dla muzykalnych był fortepian doskonały, dla grających w bilard salka osobna, mnóz-

two dzieł illustrowanych o sztuce do oglądania i przerzucania. całe teki fotografii z Włoch, Egiptu, a nawet z Indyi i Japonii.

Nie wolno było palić w salonie, bo p. Zawierska i Pruszczyk znajdowali, że go to czyniło podobnym do kurdygardy; ale nałogowi palacze, mieli „fumoir“ do którego ich kamerdyner zapraszał.

Mnóstwo najśliczniejszych kwiatów, odnawianych często, nadawało pokojom fiziognomią młodą i wesołą. Nie było i to obojętnem dla wielu, że stół pani Zawierskiej mógł najwykwintniejszego zaspokoić smakosza. Niestety! Starzejąc się potrosze, p. Zawierska stała się sama nadto może czułą na nroki kuchni, którą się nie zajmowała wprawdzie, ale chciała ją mieć doskonałą.

Z tego wszystkiego łatwo już sobie wyobrazić, jak przy wielkim takcie w postępowaniu, salon pani Zawierskiej musiał się stać popularnym, i jak chętnie ludzie do niego płynęli.

Życie byłoby ze wszech miar rozkosznem, gdyby go nie zatrzymywała troska o przyszły los córki.

Matka liczyła, nie tylko lata, miesiące, tygodnie, ale dni, które npływały dla Misi... wśród tego szczęścia, ale bez poręki na jutro.

Wieczorem dnia tego towarzystwo nie zebrało się zbyt licznie. Kilka starszych pań, je-

dnia panna, która w sekrecie (*le secret du po-lichinelle*) oddawała się literaturze, i dużo męż-  
czyzn się znalazło, ale na salony obszerne,  
wszystkiego tego było mało.

Lnrski, który wysoko cenil kuchnią i kucha-  
rza Zawierskiej, jej wino—i wszystko co tu po-  
dawano, nie chybił dnia tego. Przy świetle wię-  
kszem wydawał się trochę śmiesznie w toalecie  
wieczornej, ze swą sino-czerwoną, jakby nabrzę-  
kłą, twarzą, z otyłością—i ruchami, które chciały  
być wdzięcznymi. Za tę powierzchowność płacił  
wytworną, doskonałą francuzczyzną i dowcipem  
ale u pani Zawierskiej musiał złośliwości swej  
uzdę nakładać, bo tu—nie dopuszczano obmowy  
i szkalowania bliźniego.

On i Salvator (niecierpiący się jak rywale)—  
oba tego wieczorn nie chybili. Pacznski, zapro-  
szony na obiad, namówił Józia, aby się stawił  
wieczorem.

Tło obrazu stanowili różni artyści i dyletanci,  
a dokuką tego wieczora, którą znosić musiała  
biedna panna Michalina, był Kamerherr, znany  
ze swego klnu sztuki, poświęcający się malar-  
stwu i sznakający z tego chluby.

Kamerherr, najnudniejszy z ludzi, najzarozn-  
miały z expertów (miał się za jednego z nich)  
wiedział, że panna rysowała, malowała i kupo-  
wała obrazy: miał więc sobie za obowiązek ba-

wieć ją opowiadaniem o Rafaelach. które poznawał we Włoszech po albergach i nabywał — o swej przenikliwości. a nadewszystko o sobie i dziełach własnych.

Malował—miestety!!—Mały. łysy. niezgrabny. gadatliwy był plagą dla tych, do których przystawał—ale grzeczność go znosić kazała.

W przekonaniu własnem miał się za jedną z tych powag w rzeczach sztuki. której Lübke i Cavalcaselle radzić się byli powinni.

Panna Michalina z anielską go cierpliwością słuchała. co mu pochlebiało: ale ze wzroku jej i minki. można było posądzać. że myślała o czem-innem. Kamerherr tymczasem od niepomierne go paplania usta aż miał czasem pianą okryte, jak rumak po szybkim biegu.

Postać to zresztą epizodyczna. którą pominąć możemy.

Trochę późno zjawił się także pan Sylwan Horpiński. Zdaleka go dostrzegła panna Michalina. a że matka była zajęta świeżo przybyłemi starszemi paniami. manewrowała więc tak zręcznie. iż mogła go przywitać. Pociągnął za nią Kamerherr, i również raczył Sylwanowi skinąć głową. gdyż znał go, i czasem Horpiński bywał mu do expectacyi potrzebnym. Lubił sztukę—a kto sztukę kochał. ten musiał paść ofiarą Kamerherra, który był jej uznanym. urzędowym kapłanem.

Zdaleka przywitawszy pannę Michalinę, niechcąc jej być natrętnym, Horpiński zniknął zaraz w grupie mężczyzn.

Widać było, że go wszyscy znali i witali bez wyjątku grzecznie, uprzejmie, chętnie. Wistocie, Sylwan, (o czem wiedział świat cały), nigdy od nikogo nie potrzebował—nie był zawadą, nie stawał się natrętnym, w wielu razach posługiwał chętnie: w tej więc mozaice różnobarwnej, z której się składa towarzystwo, był szkiełkiem użytecznem i pożądanem.

Zkolei wszyscy do niego wyciągnęli ręce, napraszali się nieco z przywitaniem, njąwszy dłoń, długo nią potrzásali serdecznie, uśmiechali mu się. Był gościem miłym.

Ale—jak wczoraj w cukierni, tak dzisiaj w salonie, p. Sylwan wszedł zamysłony, chłodny, jakiś grzeczny — i, jakby zamknięty. Ponfalości nie okazał nikomu, uprzejmość — wszystkim jednakową.

Strój był trochę zangielska, nienderzający niczem, oprócz bardzo wykwintnego kroju. Żadna z tych błyszczących ozdób, któremi się młodzież lubi popisywać, nie dawała się widzieć na nim. Nawet łańcuszek zegarka zastępowała wstążka czarna.

Zdała, z jednej strony, mierzyła go oczyma ciekawemi panna Michalina, z drugiej Emil Pa-

czuski. któremu o to szło. aby zaspokoił pannę Zawierską i okazał się lepiej poinformowanym nad wszystkich.

Zaledwie wszedłszy, p. Sylwan znalazł chętnych do rozmowy z sobą. On też jej nie unikał. zawiązywał z łatwością. prowadził zręcznie. badał umiejętnie; lecz po godzinie ożywionych rozpraw prawie zawsze ci. co z nim przyjemnie ją spędzili— po uczynionym obrachunku znajdowali. że więcej mu dali. niż wzięli od niego.

Emil Paczuski, który znał zdaleka p. Horpińskiego. po pewnym rozmyśle postanowił. zamiast szukać dla siebie reporterów—sam się starać zbliżyć do zagadki—i badać ją.

Dosyć zręcznie przerzucawszy się przez dzielące go od p. Sylwana szeregi, Emil przysunął się do rozmawiającego ze znanym artystą—pozdrowił go naprzód i. otrzymawszy wzajem powitanie zręczne, zatrzymał się przy nim. Miał zamiar wmieszać się do rozmowy i—na resztę wieczora przywiązać do Horpińskiego umiejętnem manewrowaniem.

Strategiczne te plany powiodły się zrazu. Emil znalazł rozmowę nastrojoną tak. że łatwo mu było wziąć w niej udział; odezwał się parę razy szczęśliwie i począł przysłuchiwać się.

Artysta mówił. naturalnie. o tem. co go najbliższej obchodziło; o sztuce i udziale. jaki ona miała



w żywocie miasta naszego — o sprzedanych i zamówionych obrazach. o słynniejszych mistrzach pędzla i ołówka.

P. Sylwan słuchał z uwagą. odzywał się ze znajomością rzeczy. lecz ani na chwilę się nie rozgrzał — i trudno było domysleć się. jak dalece go obchodziło to. o czem mówili.

Szczęściem dla Emila. odciągnięto malarza. i on sam pozostał z tym. którego pragnął wziąć na spytki. Natychmiast wcisnął pytanie jakies dwuznaczne. mogące być wstępem do dłuższej rozmowy. i miał tę przyjemność. iż Horpiński chętnie ją zawiązał.

Emil słuchał z nateżoną uwagą... Uderzyło go jedno: Sylwan mówił z wielką łatwością i płynnością. lecz oczy jego w czasie rozmowy biegały po salonie. po twarzach — i zajmowały się tymczasem czem innem. Nie będąc istotnie roz-targnionym. wydawał się nim; to. co mówił zresztą. było pospolitą *eau bénite* i nie dawało poznać człowieka.

Emil zrozumiał. zbliżając się do niego, że zajrzeć do wnętrza, — mogło być bardzo trudno. Był to człowiek szczelnie zamknięty. a Paczuskiemu brakło klucza, któryby ten amerykański zamek mógł otworzyć.

Co najmniej potrzeba było długo popracować

nał zbadaniem mechanizmu. nim się pokusić mógł o dostanie się do wnętrza.

Kilka pytań rzuconych przez Emila. mających na celu odkrycie prowincyi, z której pochodził Horpiński — nie doprowadziło do niczego. W odpowiedziach Sylwan wymijał się bardzo zręcznie i niedając poznać, że chce czynić z czegoś tajemnicę—nsuwał wszystko, coby na trop jej naprowadzać mogło.

Widząc, że twierdzę tę według wszelkich sztuki prawideł oblegać będzie potrzeba. Paczuski w końcu zrezygnował się na to, aby serdecznie się przywiązać naprzód do p. Sylwana, narzucić mu się za przyjaciela—i w ten sposób, choć powoli, dojść do celu. Czynił to— dla panny Michaliny, ale przez próżność tylko, aby okazać się zręczniejszym od innych... przebieglejszym...

— Bądź-co-bądź! nie ujdzie mi! — mówił w duchu. Spenetruję go!...

Wśród dosyć ożywionej już gawędki. nagle sama panna Michalina znalazła się tuż blisko—i pozdrowiła Horpińskiego.

Emil usunął się natychmiast, znalazłszy doskonały pretext do tego wzbliżającym się Józiu, który powolnemi kroki zmierzał ku tej grupie.

Ze zwykłą swą swobodą i uprzejmością, uśmiechem powitawszy Horpińskiego, p. Michalina zagadnęła:

— Cóż pan porabiasz!... przez parę tygodni nie widzieliśmy pana?...

— Nadzwyczaj trudna dla próżniaka odpowiedź—odezwał się z uśmiechem Sylwan.—W styd mi się przyznać, ale ja nic nie robię...

— Gdyby to było prawdą, bardzoby mi pana żał było—podchwyciła panna—Czyż podobna jest nic nie robić!... nie mieć jakiegoś celu w życiu! Gdyby go brakło, należałoby go stworzyć sztucznie.

Spojrzała na niego: stał zimny i zamysłony.

— Możem się źle wyraził—rzekł po chwili.—Prowadzę rodzaj życia, któreby kontemplacyjnem nazwać można. Patrzę—słucham... Niech mi pani wierzy, że to bawi i uczy.

Misia pornszyła ramionami.

— I nie masz pan ochoty wmieszać się do... aktorów. chcesz pozostać widzem? na zawsze! To być nie może.

Sylwan zawahał się z odpowiedzią.

— Dotąd nie miałem wistocie najmniejszej chętki do czynu—rzekł napół żartobliwie... Zle-niwałem. i—z tem mi dobrze...

— Lecz pozwoli pani. abym coś na uniewinnie-nie się, choć w części—dodał. — Ja otwarcie i ja-wnie jestem próżniakiem. a mnóstwo ludzi. napo-zór niezmiernie zajętych. mniej może wistocie robi odemnie.

Misia rozśmiała się.

— To może być—rzekła—ale grzech endzy nie zmniejsza winy własnej.

Spojrzała na Horpińskiego. który stał grze-cznie, chłodno uśmiechnięty...

— A!—dorzuciła pośpiesznie—ja pewnie jak-najmniej mam prawa prześladować kogós za—próżniactwo.—bo cóż ja robię!?

— Pani, zdaje mi się—odparł Sylwan,—jesteś niezmiernie zajęta. Kochasz sztukę i sama je-steś artystką. Wszakżeż to jedno starczy na zapełnienie życia! I literatura nie jest jej obo-jętą.

— Tak. ale to są wszystko tylko diletanctwa. zabawki, a nie zajęcia—odparła p. Michalina, czy

spuszczając — a nie ma rzeczy śmieszejszej nad takie miłośnictwo. gdy ono chce rościć sobie prawo do kunstmistrzostwa... Kocham sztukę, to prawda—dodała żywo.—ale mi przynajmniej nikt zarzucić nie może, abym z tego szukała chluby... kryję się z tem. jak mogę.

Mówiąc to, zarumieniła się mocno. a Sylwanowi zdało się zapewne, że ją mógł niezręcznem słowem obrazić, i żywo dorzucił:

— Miałeś-byś mi pani wziąć za złe, że wspominałem o sztuce?...

— Bynajmniej — rzekła. odzyskując wesołość i uśmiech. Michałina—wolałabym jednak. abyśmy mówili o czem innem. nie o mnie.

Podniosła oczy ku Horpińskiemu.

— Nie wyjeżdżałeś pan nigdzie?—spytała trochę bezmyślnie.

— Niechętnie opuszczam zawsze Warszawę—rzekł Sylwan — bo przyrastam łatwo do miejsca. no. i nic mnie nigdzie nie pociąga.

Misia byłaby go chętnie zapytała: czy nie miał rodziny. ale nie śmiała. obawiając się obudzić w nim jakieś nieprzyjemne może wspomnienia.

— Co do mnie—odezwała się. opuszczam chętnie miasto w czasie lata — na wsi jest tak zielono. kwiecisto, pięknie — z natury więcej przypomnienie jakichś szczęśliwszych wieków.

Horpiński się skrzywił.

— Natura jest przesłiczna — rzekł — nie ma wątpliwości, ale co się tycze tych szczęśliwszych wieków sielankowych, zrodzonych w wyobraźni poetów, przyznaję się pani, że od czasu, gdyśmy z pomocą badań archeologicznych sięgnęli głębiej w dzieje prastare ludzkości, coraz mocniej się przekonywam, iż one były mrzonką i cywilizacją, na którą narzekają ludzie, ulepszyła, uszlachetniła człowieka, a nie zepsuła go pewnie.

— Nie chcę się o to sprzeczać — odparła Michałina — pozwolisz mi pan tylko co do cywilizacji uczynić to zastrzeżenie, że i ona może wyrosnąć nad miarę, zwichnąć się i zamiast uszczęśliwienia ludzkości, zawichrzyć nią i stać się dla niej zgubną.

— Trudno jednak oznaczyć będzie granice: gdzie cywilizacja zatrzymać się powinna i jakiego mikać kierunku? — rzekł Sylwan. — Ja jestem fatalistą i wierzę w prawa konieczne, tak, że nawet pewne zwichnięcia i wykolejenia przyjmuję jako zbawienne intermedya w historii ludzkości.

Słuchała z uwagą Michałina, lecz nie chciała dalej w tym tonie prowadzić rozmowy. Zwróciła ją na sztukę i pytała Horpińskiego, czy ją lubił i czy cenił:

— Bo — dodała z uśmiechem — ja jestem tak wyrozumiałą, że przypuszczam nawet, iż ktoś mo-

że nie kochać tego. co dla mnie jest treścią życia i niezbędnym jego warunkiem.

— Przykro mi. żeś pani nawet wątpić mogła o tem iż mnie sztuka nie jest obojętną i obcą — począł Sylwan. — Nie jestem ani artystą. ani nawet dyletantem — ale nie pojmuję człowieka. pozbawionego zmysłu sztuki.... bo w niej skupia się. co ma najlepszego życie.

Oczy Misi zajaśniały.

— A! tak — rzekła wesoło — i dlatego żaden artysta. prawdziwy. rozumie się. natchniony. powołany. nigdy się na los swój nie powinien skarżyć: a tymczasem....

— Bo między artystami dużo jest rzemieślników — dodał Sylwan.

— I rzemiosło jest niezbędnie artyście potrzebnem — wtrąciła p. Michalina — tylko nie powinno opanowywać, ale służyć do wyższych celów. Technika kunsztu każdego jest — niestety — rzemiosłem.

Powtórnie już rozmowa obojga rozprawiających mimowoli wytoczyła na takie bezdroża, że długo na nich utrzymać nie mogła.

Misia zamilkła. rozglądając się po salonie. W tej chwili przystąpił z miną wielce śmieszną gałanta Lurski i francuszczyzną wyśmienitą zagadnął pannę o jakąś sprawę wielkiego świata. Była mu prawie wdzięczną. że ją wybawił od zbyt już

przedłużonego *tête à tête* wśród salonu z Horpińskim. bo oczy zawistnych zwracały się na nich. Sylwan. jakby to uczul także. rozpoczął obojętnie gwarzyć ze stojącym najbliżej starym szambelanem. który. raz w życiu przetłómaczywszy coś z Montalamberta. żył na tym swym przekładzie. obwołany znakomitym myślicielem swego czasu; dosyć było wówczas dotknąć się de Maistra. Bonald'a. Lamenaïs'ego. Ozanam'a. Nicolas'a—aby mieć prawo do laurów filozoficznych.

W dalszym ciągu wieczora p. Michalina raz jeszcze się znalazła w bliskości Horpińskiego i zamieniła z nim kilka słów. z których niewiele—wyciągnąć zdołała.

A—była ciekawą.

Przenikliwa. mająca instynkt w poznawaniu i odgadywaniu ludzi, Misia niecierpliwiła się tem. iż. Horpińskiego widując oddawna. spotykając się z nim—ani odgadnąć, ani przeczuć go nie mogła.

Był dla niej sympatycznym. a ta lodowata powłoka. która go okrywała, której nie zrzucił dla niej nawet — drażniła ją. Myliłby się, kto-by sądził z tego. że bardzo przystojny Sylwan podobał się tak bardzo pannie Zawierskiej i że ta ciekawość kryła w sobie nczucie głębsze. że była zarodkiem miłości. Dotąd nie wyszła ona z granic ciekawości.

Dlaczego Horpiński tak się taił z sobą?



Już po drugiej tej rozmowie króciuchnej z nim. p. Michałina, w dobrym humorze, spotkała się z Paczuskim. Emil nie miał nic pilniejszego nad wesołe wypowiedzianie się jej—że spostrzegłszy, jak ją zaciękał tajemniczy p. Sylwan, próbował już rozbić otaczające go chmury, ale dotąd mu się to jeszcze nie udało.

— Jednakże — dodał — tak wziąłem do serca rozkaz pani.....

— Ale ja nigdy nie rozkazywała.

— Życzenie jej.

— Jakże pan możesz myśleć, iż mnie tajemnica p. Horpińskiego — tak silnie obchodzi? — odezwiała się. nie obrażona, ale rozsmieszona panna Zawierska.

— Dlatego to przypuszczam — odparł Emil. że ja sam—przyznaję się pani—jestem nią do żywego poruszony. Bądź pani sędzią. Ten człowiek od lat kilku obraca się w naszych kołach. zyskał prawo obywatelstwa w najlepszych i najwybredniejszych salonach. nie można mu zaprzeczyć, że na nie zasłużył. a żywa dusza nie wie: kto on taki, nikt nie zna jego przeszłości.

Misia patrzyła na tłusciuchnego Paczuskiego. rozgorączkowanego. i gryzła koniec chusteczki w białych ząbkach.

— Tak to wziąłeś pan do serca—rzekła żartobliwie. iż teraz nie wątpię, że dotrzesz do źródła

i—okaże się iż— nie mieliśmy czego być ciekawi. ani ja. ani pan.

— O! to najprędzej się nam trafić może — potwierdził Emil, ale nie mniej moim jest obowiązkiem...

Śmiejąc się, odbiegła od niego panna, a Pacznski pozostał utwierdzony w tem przekonaniu, iż życzyła sobie zbadać tajemnicę i jemu powierzyła to posłannictwo.

Nic niemający do czynienia lepszego. Emil tymczasowo postanowił, choćby z narażeniem własnego spokoju, dowieść pannie Michalinie, iż najtrudniejsze zadanie dla niego było łatwem. Szło o rehabilitacyą, gdyż zdało mu się, że go lekko traktowała.

W pomoc nie chciał brać nikogo. *Emi'o fara da se.* powiedział sobie żartobliwie i przy wieczerzy starał się tak manewrować, aby się znalazł przy pann Sylwanie.

Przyszło to bez wielkiej trudności, gdyż, do wieczerzy zasiadając, wszyscy wogóle mieli głównie na względzie sąsiedztwo pasztetów, pieczystego, takich lub innych wina butelek raczej, niż pewnych osobistości.

Sylwan zajął pierwszelepsze wolne miejsce, a Paczuski pośpieszył usadowić się obok niego.

Miał na celu powolne zbliżenie się, spoufalenie, zaprzyjaźnienie. Lecz przy wieczerzy z drngiej

strony siedzący stary wojskowy. gadnła. wziął tak w rek wizycyą Horpińskiego opowiadaniem o kampanii tureckiej i szpitalu zapowietrzonych. iż Paczusiemu z największą trudnością przyszło się wnieść do rozmowy. Nie odpowiadano mu nawet.

Miał przyjemność tylko raz podać musztardę Sylwanowi i dwa razy nalać mu wina, za co niemy uśmiechem został wynagrodzony. Do rozmowy nie przyszło, aż po wieczerzy. ale i teraz jakoś się nie kleiło. Zaczepili o teatr, Horpiński się odezwał: że czasem trudno bywa dostać bilet dobry. tak niemi spekulowano. Paczusi pochwycił sposobność, aby się oświadczyć jako *expertus* w tej sprawie. z przyjemnością służenia.

Podziękowano mu zimno.

Wieczór. jak wszystko w świecie, skończył się, choć późno. i wszyscy z niego wyszli w tem lepszych humorach. że i biedne maszyny—ciała. bardzo mile zostały ogrzane i podżywione. Emil miał wielką ochotę przeprowadzenia Sylwana ku jego mieszkaniu. ale ten mu się tak wymknął. jakby już w nim czuł natręta.

Schwyciwszy, w niedostatku jego. Józia. z nim poszedł Paczusi. mieniając spostrzeżenia dotyczące głównych osób: p. Michaliny. kilku pań. kilku znakomitości, które się w salonie ukazały. a w ostatku i Horpińskiego.

Nie uszło to niczyjego oka, że panna Michalina,

dwa razy zaszczyliła go rozmową. i że zdawała się w niej znajdować przyjemność.

Józiowi pauna się podobała bardzo ze swej uroczej piękności. i imponowała mu rozumem i taktem; ale patrzył na nią zdaleka. przejęty jakąś trwogą. i wyznawał przed przyjacielem. że gdyby miała. nie dwa. jak mówiono. miliony. ale cztery—i ofiarowała mu swą rękę—dałby drapak. Emil śmiał się. mrucząc o zielonych winogronach.

— Mylisz się — odparł Józio — ja tylko jestem do szpiku kości mężczyzną. i dostojność mojej płci wysoko cenię. a u takiej kobiety musiałbym być pod pantoflem.

— Józieczku kochany—zawołał Emil.—Pantofel. należy do rzeczy przeznaczonych. Ty się go boisz tam. gdzie on jest widoczny. dotykalny. a nie unikniesz jednak—gdy ci się w innej postaci ukaże. napozór mniej strasznej. w rzeczy groźniejszej daleko.

Powinieneś bowiem wiedzieć. że kobiety jak p. Michałina. mężów pantoflarzy nie biorą—uczuliby się pokrzywdzonymi. gdy skromnintkie i ciche dziewczątka mają na celu to jedynie. aby podbiły.

— Sofizmata!—odparł Józio.

Rozstali się. a pan Emil. zadumany. wszedł do swojego kawalerskiego mieszkania. w którym jeszcze parę godzin z cygarem przepędził nad ga-

zetami. a wistocie z myślą npartą—śledzenia i badania Horpińskiego.

Plan był nłożony. Nazajnt rz potrzeba było spocząć. aby się zbyt nieokazać natrętnym; trzeciego zaś dnia umyślił oddać wizytę p. Sylwanowi. Zapisawszy to sobie. wedle zwyczajn. na porcelanowej tabliczce. która programmat tygodnia mieściła. Pacznski o godzinie dwunastej zadzwonił n drzwi, na których porcelanowy szyldzik stał z napisem:

„Sylwan Horpiński“.

Powolny chód dał się słyszeć z wnętrza i służący w furtku zielonym z trzepaczką w rękn. nfryzowany. w lakierowanych bntach. drzwi zwolna otworzył.

Spojrzawszy na niego. Pacznski nie mógł powstrzymać nśmiechu zadowolenia — widocznie opiekowała się nim opatrność;—elegant ten. był mu znajomym dobrze: był to Konrad. lokaj. którego miał w swych usługach przez rok cały, a który odprawił się obrażony zbyt żywym słowem Emila.

Dawny pan i były sługa spojrzeli na siebie badająco. Pacznskiemu wypadło teraz być jaknajlepiej z p. Konradem.

— A! — zawołał wesoło — co za miła niespodzianka! Jakże mi się masz?

— Do usług jaśnie pana. bardzo dobrze — odparł z nklonem poważnym elegant.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł Emil. — Jest p. Sylwan w domu?

— Wyszedł przed półgodziną?

— Nie wiesz dokąd, na jak długo? — spytał Paczuski.

— Nigdy pan tego nie powiada — odezwał się Konrad — nie wiem nic.

Powoli Emil począł szukać pugilaresika i biletu. Służący stał tymczasem, trzepaczkę wzięwszy pod pachę z pewną gracyą. bo chłopak był ładny i szło mu o to, aby się wydawał dystyngowanym lokajem.

— Jesteś więc u Horpińskiego — począł powoli, ciągle biletu szukając, Emil — bardzo mnie to cieszy. bo sądzę. że miejsce dobre.

— Nie mogę się skarżyć — odparł Konrad — grzech-by było.

Paczuski spojrzał mu w oczy.

— Mnie was. p. Konradzie — dodał Emil — żal nie raz było. Jesteś gorączka, wzięłeś do serca słowo powiedziane z prędkości. bez złej intencji.

Przypomnienie przejścia tego nie zdawało się być przyjemnem panu Konradowi: poprawił odniechcenia utrefione włosy, usmiechnął się i rzekł z powagą pocieszną:

— Każdy. proszę jaśnie pana, ma swój *chonor* — człek ubogi. ale — co się tyczy *chonoru* — to trudno.

— Ale nie mówmy już o tem — przerwał Emil —

dobrywając biletu i załamując go powoli. — Jeśli wam dobrze przy nowym pann.....

— Juści dobrze—rzekł Konrad—choć nie bez tego. żeby nie był wymagający czasami.

— Ha! ha — przerwał Paczusi. przedłużając rozmowę—masz szczęście służyć n człowieka. którego tu w Warszawie wszyscy cenią i są go ciekawi— a choć go cały świat zna. sztuka w tem. że nikt o nim nic nie wie!

Konrad wprawiony w dobry humor. ponfalszym tonem rozmowy z dawnym panem. począł się śmiać także. zatarł loków, z nogi na nogę przestąpił. ujął się ręką jedną za drzwi. i rzekł potrząsując głową:

— Pan myśli, że ja, co mu służę. więcej go znam od innych? Jak Bóg miły—nie.

— No —przecież?

Ruszył ramionami p. Konrad.

— Albo ja co wiem! —Nic.

— Zawsze coś więcej niż my wszyscy. bo przynosisz mu listy i odnosisz na pocztę te które pisze.

Konrad tak się śmiać począł. iż trzepaczka mu zpod pachy wypadła.

— Proszę jaśnie pana — listu u nas ani na lekarstwo nie znaleźć— zawołał.— On do nikogo nie pisze i do niego żywa dusza.

— Cóż znowu?—zaprotestował Emil —żarty!

— Słowo *chonoru!*—rzekł żywo p. Konrad.  
Nastąpiło milczenie.

Dawny sługa dłuższą rozmową wprawiony był w dobre usposobienie; pochlebiało mu to, że p. Emil, rankoru w sercu nie zachowując, za oddalenie się nieco gwałtowne okazywał mu taką względność i rozmawiał z nim tak jakoś poufale i mile.

— Czem-że się on zajmuje?—zapytał Paczuski.

Dla Konrada było to zapytanie trochę trudnem do odpowiedzenia: musiał pomyśleć nieco.

Spuścił oczy. brwi podniósł. ustami poruszał. nogę to jedną to drugą podnosił i wspinał się na palcach.

— To trudno, proszę jaśnie pana. tak ogólnikiem powiedzieć. A cóż? Jak nie jeździ z wizytami. to czyta dużo: gazety codziennie od deski do deski, a potem książki, których dosyć zawsze leży porozkładanych. Czasem siądzie za stołem. podeprze się łokciami i jak zamysli się. albo weźmie ołówek i pocznie psuć papier, to bazgrze, bazgrze niewiedzieć co—zedrze— i w komin.

Począł się śmiać. Paczuski słuchał z ciekawością.

— Przez cały rok siedział w Warszawie?—zapytał.

— To jest ja. proszę jaśnie pana — odparł ele-



gant—muszę.... ale on — tu głos zniżył. jakby coś tajemnego miał zwierzyć dawnemu panu.

— Kilka. kilkanaście razy do roku zniknie. jak w wodę wpadł — mówił Konrad dalej.—Niema go dni dziesięć. pięć, piętnaście. aż naraz powraca. zmęczony. błądy. smutny. wychudły. milczący.

Panu Emilowi. gdy słuchał. oczy się otwierały coraz szerzej: tu był węzeł tajemnicy.

— No—ale jakże się w drogę wybiera?— spytał z natężoną ciekawością.

— Hm—otóż to jest. proszę jaśnie pana, że się wcale nie wybiera. że nie bierze nawet torby. nie, że czasem w lekkim surduciku. albo i we fraku wieczorem. jak pierzchnie. tak tyleście go widzieli.

Żeby kiedy słowo powiedział: „jadę, wróćę za tyle a tyle dni!“

Najmniejszej rzeczy! Raz na zawsze takie jest prawo u nas. że ja, choćby go pół roku nie było, powinienem nie odstępować mieszkania. Pieniądze odliczone zawsze leżą na stolyczku w gabinecie na wszelki wypadek.

Tu potarł mocno włosy zniecierpliwiony p. Konrad.

— Proszę jaśnie pana—wyrwało mu się mimowolnie—co to za psie życie! Człowiek nie wie ani dnia. ani godziny. Bywało. wraca po nocy. czasem rano.—może przyjść o południu. Więc na krok

się oddalić nie można. bo broń Boże nie zastałby w domu. a drzwi zamknięte....

— Cóż-by było? czy tak srogi? — spytał Paczuski.

— Nie—proszę jasnie pana—srogi on nie jest, ale jak spójrzy. to człowieka przejmuje do kości, słowo daje.... Grubiańsko się nie obejdzie nigdy—nie, to—to nic—ale oczy ma straszne.

Tu wstrzymał się trochę ze zwierzeniami pan Konrad.

— Dobry człowiek. ale osobliwy—dodał.—coś w nim siedzi. Szczęśliwy nie jest. i — co dziw—tak. jakby nie chciał i nie starał się nim być. At—żyje — dowiecnie szepnął Konrad — żyje jak za pańszczyznę.

Paczuski rozśmiał się z tego wyrażenia. Nie chciał dłużej już rozmowy przeciągać, aby się nie zdradził ze zbytnią ciekawością.

Oddał załamany bilet elegantowi.

— Jak tam kiedy będziesz koło mnie przechodził—rzekł—proszę, wstąp do mnie. Ciekawe to historye, doprawdy. z tym człowiekiem!

Szkoda go, bo bardzo jakiś zacny i dobry się być zdaje.

— O! przeciw temu nie można nic powiedzieć—odrzekł p. Konrad.

— A kiedyż go zastać napewno?—zapytał pan Emil.

— Zwykle do południa się nie rusza— odezwał się służący.— Nie wiem. czy toby znaczyć miało, że przez kilka dni go nie będzie? Któż to wie? ale dziś wyszedł raniej.

— Chciałbym go zobaczyć. mam trochę do pomówienia—rzekł Paczński.

— To niech się jasnie pan pofatyguje jutro.— skonkludował Konrad.

Paczuski odszedł tryumfujący. Nie dowiedział się wprawdzie tak. jak nie— ale zarazem bardzo wiele. Ten zupełny brak korespondencji w naszym wieku. prawie bezprzykładny—te znikania tajemnicze, rzuciły na postać, już i tak zagadkową. cień jeszcze grubszy.

Nazajutrz. przed dwunastą. nie chybił p. Emil i dzwonił znowu. Cekał nieco i p. Konrad się ukazał jak wczoraj, ale w odmiennej postaci.

Nie miał fartucha ani trzepaczki; na głowie ufryzowanej wczoraj. czapeczkę haftowaną włóczkową nakształt fezn. na nogach wygodne fantofle. Twarz. nieco zmęczona. nie miała wczorajszej świeżości; marszczki czoła okazywały zafrasowanie.

Nim Emil miał czas go zapytać o pana, Konrad ręce rozpostarł i rzekł cicho:

— A com mówił? Niema go od wczoraj. Wyszedł w jednym surduciku. Teraz czekaj, czekaj i rób sobie co chcesz! Może powrócić Bóg wie,

oto w Maju. a może w Czerwcu i w Lipcu—  
raz go dwa miesiące nie było. a powrócił taki. jak  
z krzyża zdjęty. I — jak Boga kocham — dodał  
ciszej p. Konrad. ręce takie namulane. jakby drwa  
rąbał przez ten czas.

Ruszył ramionami.

— Kto go wiedzieć może!

Pacznski się zadumał mocno.

— Ależ pieniędzy przecie ma zawsze dosyć. bo  
ich wydaje dużo i nie oszczędza? — zapytał po  
chwili.

— A! co się tyczy pieniędzy—podchwycił. bro-  
niąc honoru domu. niemal oburzony p. Konrad—  
jest ich jak lodu. Kiedy przyjdzie półrocze i ob-  
cinają się kupony. to jak siądzie. proszę jaśnie  
pana. z nożyczkami za stolikiem. przykazawszy  
nie wpuszczać nikogo. czasem więcej niż pół dnia  
przetrwą przy tej robocie.

A znowu i to trzeba wiedzieć. że małych pa-  
pierków u niego niema. bo ja mniejszych nigdy  
kupouów nie widziałem nad dwadzieścia pięć  
rubli.

Teraz ja—proszę jaśnie pana—niewolnik przy-  
kuty do progu!—dodał biedny elegant.

— Ale spocznesz przez ten czas! bo i roboty  
mieć nie będziesz.

— Niewola gorsza. proszę jaśnie pana. od naj-

gorszej pracy—odparł, wzdychając, sługa. A. coż robić—trzeba swój los zuścić—jaki Bóg dał!

Pacznski miał ochotę dłuższą rozpocząć rozmowę. ale Konrad był do niej niensposobiony.—westchnął, pokłonił się i drzwi zamknął.

Emil Pacznski siedział w wygodnym foteln; sparty na rękę i paląc cygaro. robił rachunek snmienia.

Był sam jeden w swem kawalerskiem mieszkaniu. odpowiadajacem w zupełności jego położeniu towarzyskiemu i powołaniu człowieka. który myśli tylko o zabawie.

Zajmował kilka pokoi. elegancko umeblowanych. bez szczególnego starania o wdzięk i smak: szło widocznie raczej o okazanie dostatku — a ten był ndowodmiony mnóstwem rzeczy kosztownych.

Jak w głowie i sercu młodzieńca, tak w mieszkaniu jego panował nieład. który wskazywał. że jeszcze drogi swej i charakteru nie był pewnym. Sprzeczało się tu rzeczy mnóstwo—wpływ domowy walczył z wpływem świata otaczającego.

W sypialnym pokoiku nad łóżkiem był obrazek N. M. Panny. dany przez matkę z zaklęciem, aby go nigdy nie odstępował. Na stoliczku małym śliczna w aksamit oprawna fotografia przedstawiała kochaną Mamusię. łagodnie nsmiechniętą. jakby nad swoim drogiem skarbem czuwała.

Obok tych świętości wały się, porozrzucane

i wcale niekwadrujące z niemi, książki i fraszki bez wartości. a szpiegujący ciekawiec byłby w szufladce stolika. na którym stał obrazek matki. odkrył fotografie balleryn i piękności dwuznacznych...

Jak w sypialni. tak wszędzie nagromadzone były sprzeczności. który chwilowym popędem odpowiadały. Obok kilku sztychów z Ary Scheffera wisiały na ścianach sławne wyścigowe konie i sceny sportu... Książki i przybory myśliwskie ścisnęły się razem. ubrania maskaradowe, stroje wyścigowe, pamiątki zabaw. do których głośno się nie można było przyznać...

Emil tak żył z dnia na dzień. dając się prądom najsprzeczniejszym unosić. niepewien. dokąd go to życie zanieśie. mówiąc sobie z niecierpliwością dziecka. że zawrócić się zawsze jeszcze czas będzie.

Zdała czuwała nad nim sercem i modlitwą matka; on tymczasem używał tej młodości. która się miała wyszumieć.

Mamma, jużby go może wołała widzieć przy sobie. ożenionym z dobrą miłą kobieciną. na spokojnem gniazdku—ale Emil obawiał się niewoli—i. miał interessa w Warszawie.

Często potrzeba było całej jego przebiegłości a całej łatwowierności mamusi. aby te interessa

uczynić możliwemi, ale—wszakże Emilek kłamać nie mógł.

Życie płynęło bezmyślnie, bez celu — dziwnie zużytkowywane. Jeżeli mu było potrzeba popisać się przed panną Michaliną z literaturą, naówczas czytał zapalczywie, zajmowało go to, zamykał się z książkami. Potem koń i myśliwstwo całkiem go zaprzętało i książki szły bodaj pod kanapę. Zkolei żyjąc z ludźmi różnymi, nabierał barw najrozmaitszych — ale swej własnej nie wyrobił sobie...

Nic go nie pociągało—oprócz tego, co się wogóle mogło nazywać życiem. Strumienie żywota chwytały go i płynął z niemi. Roznaitość wrażeń, żywość ich, sprawiała, że mu własna płochota nie ciążyła i nie wydawała się groźną.

Taksamo w kotylionie starał się przypodobać umiejętnością taneczną pannie Julii, jak w innych sprawach Michalinie i różnym mnogim pięknościom.

Szło mu o to, aby wszędzie grał pewną rolę wybitną; a rol tych brał na siebie zawiele. W pewnym względzie był to ratunek może, aby go jedna zbyt nie pochłoneła, z drugiej strony — mógł nałóg płochoty się wyrobić. Ale Emil nie widział tego niebezpieczeństwa.

Taksamo, jak się wdawał w różne żokeyskie intrygi przy wyścigach, teraz puścił się na szpiego-

wanie owej towarzyskiej zagadki. jaką był dla wielu—Sylwan Horpiński. Znajdujemy go właśnie w chwili, gdy, szpiegowstwa tego wążąc skutki—zawahał się, czy mu przystało iść dalej.

Zadawał sobie pytanie: czy w tej ciekawości nie było coś uwłaczającego charakterowi?

Cieszył się ze zdobytych wiadomości, miał je za ważne.—Sylwan go więcej teraz niż kiedykolwiek pociągnął swoją excentrycznością; ale czy się godziło iść tak w stopy za człowiekiem, który pewnie miał powody osłaniania się tajemnicą? Czy nie było niedelikatnością cisnąć się do zamkniętych drzwi?... czy przyzwoity człowiek mógł się podjąć choćby dla pięknych oczów Misi — posłannictwa wszędzie napiętnowanego jakimś wstrętem i ohydą?...

Wahał się Emil i miał słuszną. Siedział jeszcze obarczony myślami temi w fotelu, dumął i krzywił się — umizgi do odprawionego Konrada już w nim budziły odrazę... wtem do drzwi zadzwoniono.

Po głosie i po chodzie poznał przyjaciela. Józia Szalewskiego, i nigdy może tak mu rad nie był.

Żyli z sobą, pomimo małych nienchronnych sprzeczek—jak bracia. Emil uznawał wyższość i takt Józia, radził się go chętnie; nie miał prawie dla niego tajemnic.

Poszedł więc otwartemi rękami go uściskać.



— W porę, jak zawsze, mi się zjawiasz — zawołał. Masz przecucie serca, że mi byłeś i jesteś potrzebny...

Siadaj, weź najlepsze cygaro i słuchaj.

Z półśmiecem na ustach Szalewski rzucił się na drugi fotel.

— Znowu coś tak ważnego mieć musisz — rzekł — jak ostatnim razem, gdyś nie mógł na własną odpowiedzialność wybrać koloru czapraka pod siodło?... he?...

Emil się rozśmiał.

— Ale ba! rzecz stokroć ważniejsza — rzekł. Słuchaj tylko...

Pochyliwszy się ku Szalewskiemu, cicho i ostrożnie, Paczuski począł mu się spowiadać z zabiegów około odkrycia tajemnicy Sylwana.

Józio słuchał dosyć obojętnie, zdając się być daleko więcej zajęty cygarem, niż powieścią przyjaciela — ale twarz mu się chmurzyła. Emil dokończył, a Józio jeszcze się nie odezwał ani słowem.

— Jak ci się zdaje? — zapytał Paczuski — mam dalej prowadzić śledztwo, czy go zaniechać?

Józio milczał jeszcze.

— No, mówże! — nagiął, milczeniem tem porażony mocniej, Emil.

— Kochany mój — poważnie rozpoczął Szalewski — zadałeś mi pytanie ambarasujące. To zale-

ży zupełnie od gustu, czy kto chce zostać szpiegiem lub nie.

— Jaktol... szpiegiem!—oburzył się Emil.

— Bo tego inaczej nazwać nie można—mówił Józio.—Nie masz od nikogo mandatu, ani prawa żadnego do śledzenia postępków tego człowieka.

— Przepraszam cię!—zagrzemiał obrażony Pazuski.—Należę do tego społeczeństwa, do którego się on wciska—spełniam obowiązek...

— A! a! — puszczając dym, odparł Józio — to pocóż mnie pytasz, jeżeli jesteś pewnym tego?

— Chcę wiedzieć twoje zdanie.

— Mojem zdaniem jest—że najuczciwszy człowiek mieć może powody niekoniecznie wszystkie swe czynności poddawać pod sąd, często niesprawiedliwy, ogółu —mówił Józio. — Mojem zdaniem jest, że, dopóki niema słusznych powodów prześladowania kogoś—nie godzi się go prześladować.

— To nie jest prześladowanie!—przerwał Emil.

— Jest owszem, bo to co on chce ukryć, ty zamierzasz wyjawiać. Niema wątpliwości, że mu czynisz przykrość. Zasłużył on na nią?

— Za surowo to bierzesz —zawołał skłopotany Emil. Nie chcę mu szkodzić.

Józio szarpnął rękami wstrząśliwie.

— A, daj mi pokój! wprost ci powiadam: ani roznamiętnię tej twojej ciekawości, ani jej pochwalam.

Miałżebyś być zakochanym w pannie Michali-  
nie? 2-o) zazdrosnym? a po trzecie...

— Ale—na rany Boże! — przerwał, nie docze-  
kawszy trzeciego. Emil.—nie jestem zakochanym  
i nie bywam zazdrosnym.

— No—to przerwijmy tę konsultacyą.

Wistocie zaczęli mówić o czem innem, ale  
w Emilu zbyt żywo jeszcze grała myśl pierwsza  
i—po krótkim epizodzie wrócił do założenia.

— Powiedz mi otwarcie—jak sobie tłómaczysz  
to tajemnicze znikanie Sylwana, o którym Kon-  
rad mi mówił.

Józio się rozśmiał.

— Myślałem, żeśmy już skończyli z tem —  
rzekł.—Otwarcie ci powiem: Konrad, jak wszyscy  
służący, ma pewną urazę do pana, że musi u nie-  
go być lokajem—przesadza, a może kłamie.

Peryodyczne to znikanie, może się tłómaczyć  
w sposób najprostszy w świecie. Może się on  
przed panem Konradem tłómaczyć z niego?

Emil odprawiony w ten sposób — już nie mówił  
o tem więcej.

Następnego Czwartku miał zamiar pójść do pa-  
ni Zawierskiej i w sposób żartobliwy, lekki Mi i  
się wypowiadać, ze zdobytych wiadomości... po-  
prostu pochwalić się niemi.

Skrpuł jakiś wstrzymał go; poszedł, zamiast  
na wieczór, do teatru, a pierwszą osobą znaną,

jaką tu spotkał, był idący do krzeseł z ogromną teatralną lornetą Sylwan.

Nie miał wcale zagadkowej ani tajemniczej fizioznomii — można było wziąć go za sztywnego nieco Anglika, spokojnego, pewnego jutra, który niema co robić, nudzi się i szuka roztargnienia.

W czasie między aktami zeszli się na kurytarzu. Emil zbliżył się do niego.

— Gdzieżeś pan bywał pod te czasy — zapytał — żeśmy go nie mieli przyjemności widzieć?

Sylwan tylko zmierzył oczyma pytającego.

— A! prawda! — rzekł — znalazłem bilet pański u mnie... przepraszam, że dotąd być nie mogłem. Parę dni polowałem. Mam ten brzydki zwyczaj, że gdy mi przyjdzie fantazya wycieczki na wieś, konnej jazdy, polowania — nikomu się nie opowiadam, biorę konia, i — w świat!

I ostro patrząc w oczy Emilowi, jakby w nim chciał czytać, dokończył:

— Pewny jestem, że mój famulus, który tych fantazyi rozumieć nie może, musiał kwaśno o tem mówić...

Emil nie chciał zdradzić dawnego sługi.

— Nie mówił mi nic, oprócz, że pana w domu nie było i że nie wiedział kiedy powróci — rzekł Emil.

— Trudno, aby on mógł wiedzieć o tem, o czem

ja sam wyjeżdżając. nie wiem nigdy — dodał Sylwan. uśmiechając się.

Dzwonek powołał ich na miejsca. Emil wrócił na swoje. rozczarowany. Wielka owa odkryta tajemnica tłumaczyła się bardzo prozaicznie, i Horpiński nie czynił z niej sekretu.

Pacznski wyrzucał sobie teraz. iż fantazya za daleko go uniosła. Postanowił zaniechać dalszego śledztwa. ale następnego czwartku znalazł się u pani Zawierskiej.

Salon tego wieczora był przepełniony; tylko pana Sylwana nie dostrzegł Paczuski między gośćmi.

Panna Michalina ze swobodą i dobrym humorem zwykłym pomagała matce w zabawianiu gości i zdumiewała ich wielostronnością swoją.

Professor M.... po półgodzinnej z nią rozmowie, otarłszy pot z czoła, poszedł do Rady S.... i nie mógł wytrzymać, aby mu nie zwierzyć się, jak go ta „dziewczyna“ intrygowała.

— Powiadam radcy: czytana tak. że radbym, aby nie jeden z naszych pseudo-nczonych—tyle tylko, co ona, miał wiadomości! Osobliwy fenomen!

Inni goście z równym pewnie entuzjazmem wyrażali się o tej cudownej pannie Michalinie. która tak wesołotko i dziecinnie się zabawiała tymczasem. jakby jej żaden bagaż nankowy nie ciążył.

Emil czatował na nią oddawna — nie mogła go

pominąć nie rzuciwszy słówka, bo była bardzo grzeczną.

— Nie widziałam pana przeszłego czwartku—odezwiała się.

— Byliśmy w teatrze razem z Horpińskim!—niezgrabnie odparł Emil.

Usłyszawszy to nazwisko. panna Michalina. odrobineczkę się zatrzymała z odpowiedzią. Spojrzała w oczy Paczusiemu. trochę zdziwiona.

— Zbliżyłem się trochę do Horpińskiego — rzekł Emil—a winienem to pani. Ciekawość jest zaraźliwą.

— A! moja już minęła!—odezwiała się panna—a pan zaspokoileś-że swoje?

— Niezupełnie—rzekł Paczusi — ale. coś mi się jednak zdobyć udało... Rys charakteru. nie więcej.

Wiem. że pan Sylwan miewa fantazyje... i czasem,—jak sam się przyznaje. gdy go porwie chęć do błędzenia samotnego po okolicach, lub—co on nazywa—polowania... puszcza się. nieopowiadawszy nikomu. nawet służącemu... w świat...

Trwa niekiedy to używanie samotności całe tygodnie...

— Panna Michalina słuchała z udaną obojętnością.

— A! to mnie wcale nie dziwi — rzekła. — Są

chwile, gdy człowiek pragnie być sam z sobą. Ja to bardzo dobrze rozumiem...

— Ja — jakoś mniej to sobie umiem wytłómaczyć — odparł Paczński — bo towarzystwo lubię bardzo i potrzebuję go. a sędzę, że człowiek nie jest stworzony do samotności.

— Tak jest—wtrąciła panna Michalina — lecz niekiedy jest ona potrzebą duszy. Człowiek chce skupić myśli — albo znajduje się w takim usposobieniu, że dla innych byłby ciężarem.

Emil nie odpowiedział już, zapatrzył się w piękne oczy panny Michaliny, które tęskny wyraz jakiś przybrały. Zbliżający się Salvator, który na pannę czatował dawno, pochwycił ją usiłując zabawić plotkami— a Paczński pozostał sam.

Odwiedziny, których się mógł spodziewać od Horpińskiego, wypadły niewątpliwie, bo—on go nie zastał. Potrzeba było kilka dni spauzować, nie okazując się zbyt natrętnym, nim-by nowa nastąpiła wizyta.

Gdy Emil zadzwonił znowu do drzwi tych, za którymi zawsze go nęciła tajemnica—wyszedł na przyjęcie jego Konrad i zinną mu objawił, że pana—nie było.

— Cóż? znowa na jakiej ekskursyi? — spytał, śmiejąc się Emil.

— Nie—na mieście—krótko i sucho rzekł, kla-

niając się służący, który, dłuższej rozmowy unikając, rękę po bilet wyciągnął.

I na tem się skończyło.

Paczuski miał właśnie wyścigowe troski na głowie; zajął się niemi nadzwyczajnie, wpadł między sportsmenów—i o Horpińskim zapomniał.

W tym roku konie na tor warszawski przybyły z najrozmaitszych stron, z odległych prowincyi, między innemi panowie Nitosławscy z Podola, mający bardzo piękne i sławne stadniny, przyprowadzili dwa biegmy, powszechną oiekawość obudzające.

Nitosławskich tu nikt nie znał. wiadano tylko, że mieli niepodzieloną fortunę ogromną, że jeden z nich mieszkał często w Anglii, i miał handlowe interesa znaczne. W stajni Nitosławskich, do której ciekawi byli przypnsczeni—p. Emil po raz pierwszy spotkał obu braci — i na ich widok stanął zdumiony tak, iż o zaprezentowaniu się zapomniał.

Przyczyną tego osłupienia było, niesłychane; zdumiewające—przerazające niemal podobieństwo twarzy, ruchów, głosu obu panów Nitosławskich do—Sylwana Horpińskiego.

Paczuski znalazł je tak uderzającym, iż mu na myśl przyszło, że tylko pokrewieństwo jakieś mogło takie podobieństwo tłómaczyć.

Dopiero po chwili, przyszedłszy do siebie—gdy



go przedstawiono panom Nitosławskim gdy wdał się z nimi w rozmowę, która spostrzeżenia pierwszego nie tylko nie osłabiła, ale je jeszcze uczyniła wyrazistszem—przekonał się p. Emil, iż podobieństwo wistocie było nadzwyczajne, ale byli to zupełnie inni ludzie, nie w rodzaju Horpińskiego... Wychowanie widać było na nich bardzo staranne, obycie się ze światem europejskim, znajomość stosunków ogromną — ale sport, handel, spekulacye, życie świetne... głównie ich zajmowało.

Paczuski dla siebie wołał ich, niż Horpińskiego—nie mógł jednak zaprzeczyć, że daleko mniej od niego byli warci.

Sylwan na każdym czynił wrażenie niepospolitego człowieka, osobliwości wybranej, gdy pp. Nitosławscy wcale oryginalnością nie grzeszyli, i należeli do tej masy pospolitej, przyzwoitej, pod strych wychowanej, która zapelnia salony, i stara się nieodznaczać niczem.

Czysto więc tylko przypadkowe podobieństwo rysów twarzy zbliżało ich do Sylwana, który o dobrych lat kilka od nich był starszym.

Podobieństwo to, które tak mocno uderzyło Emila, musiało być nadzwyczajnem, gdyż kilka osób równie z nim było zdumionych.

Porównać jednak tych typów z sobą nie było

możliwem, bo Horpiński na wyścigach nie bywał i do sportsmenów nie należał.

Tegoż dnia właśnie czwartkowy wieczór zapędził Paczuskiego do Zawierskich. Wyścigi ścigały do stolicy mnóstwo osób z prowincyi. znajomych pani domu; salon i saloniki były przepelnione. Panna Michalina, jakby na przekorę temu świetnemu bardzo zbiegowisku, wystąpiła dnia tego nadzwyczaj skromnie ubrana, bez najmniejszej chęci podobania się.

Emil w początku, choć pragnął się do niej zbliżyć, docisnąć się ni mógł — obleżoną była ciągle. Oczyma szukał Sylwana Horpińskiego — i nie znalazł go. Zaglądał po wszystkich pokojach i zakładkach — i przekonał się, że go nie było. Panów Nitosławskich także nie znalazł, bo ci w innych kołach się obracali i nowych znajomości nie robili chętnie, tam, gdzie byli gośćmi tylko.

Po wieczerzy dopiero błądzący z salonu do salonu i dosyć zmęczony, Paczusi spotkał się, przechodząc, z panną Michaliną.

Zaczęła go sama o Horpińskiego.

— Gdzież jest pański przyjaciel Horpiński? — spytała.

— A!.. przyjaciel! — rozśmiał się Emil. — O tem nie wiedziałem. — Zdaje się, że go też niema. dawno nawet dosyć nie miałem przyjemności go spotkać, ale dziś za to, aż dwóch jego Sozjów?

Panna Michalina spojrzała zdumiona.

— Szojów! cóż to ma znaczyć?

— Osobliwa igraszka natury—rzekł Paczński. chcący się popisać z erudycją. — Sądziłem. że coś podobnego spotyka się tylko w starych komedjach! Niech pani sobie wyobrazi dwóch braci... nazywają się Nitosławscy. mają przesliczne konie—tak z twarzy, głosu. ruchów podobnych do Sylwana Horpińskiego. że zobaczywszy ich, osłupiałem...

Jak żyję takiego podobieństwa anim widział, ani mogłem przypuścić.

P. Michalina słuchała... ale ją to mało zdawało się obchodzić. Paczński starał się tym fenomenem niezmiernie ją zainteresować. — co mu się nie udało.

Nalegał tak na trafność swojego spostrzeżenia, iż kilka osob. z tych, które Nitosławskich widywały. wezwał na świadectwo. Wszyscy wistocie potwierdzili uderzającą niemal tożsamość rysów. lecz i panna i oni nie przywiązywali do niej wagi i mieli ją za przypadkową.

Panna Michalina dodała. kończąc rozmowę o tem, że rzeczą nie było rzadką, spotykać ludzkie podobieństwa -- tylko tem zadziwiające. że nie ciągnęły za sobą pokrewieństwa ani ciała ani ducha.

Professor W..... zakończył, że największy głu-

piec mógł napozór być do najmeńdrszego filozofa podobnym.

Paczuski, tego wieczora więcej niż zwykle ożywiony, zanadto mówił o Horpińskim, zbyt się nim zajmował i do pewnego stopnia się tem skompromitował.

Zapóźno potem pomiarkował się, iż tę papłanię niepotrzebną ktoś mógł Sylwanowi powtórzyć. Horpińskiego tymczasem jednak nie było i przez kilka dni następnych nigdzie się widzieć nie dawał.

Ci, co chcieli na razie sprawdzić owo jego podobieństwo do Nitosławskich, nie mieli zręczności po temn. bo Sylwan — nie był ani na wysi-gach, ani nawet, jak się zdawało — w mieście. Emil Paczuski tegoż wieczora u pań Zawierskich niespodzianie wcale wpadł w łapkę. Nie była ona zastawioną na niego — ale los mu ją widać przeznaczał.

Płochy dotąd i przerzucający się z kwiatka na kwiatek, używający swej młodości, pan Emil, który się nigdy nie kochał — spotkał u Zawierskiej panią Bydgoską z córką, świeżo przybyłe do Warszawy.

Niegdyś Bydgoscy, którzy teraz od lat wielu przenieśli się w Płockie, mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie państwa Paczuskich, o mie-dzę. Pani Bydgoska i jej mąż, byli w najczul-

szej przyjaźni z jego rodzicami. a mały Emilek pamiętał jeszcze mniejszą. w blond loczkach, dziewczyneczkę Maniusię. którą naówczas wystrojoną niania prowadziła za rączkę. Dziecię to było zachwycające.

Dowiedziawszy się o tej przyjaciółce matki. Emil poszedł się jej przypomnieć, a uszczęśliwiona jejmość powitała go serdecznie. jak własne dziecko. Obok niej postrzegł Emil panienczkę—jakby z francuzkiego obrazka zdmuchniętą. istotę powietrzną. wesolutką. figlarną. śliczną jak aniołek. śmiałą jak dziecko. z włoskami złotymi. z oczkami niezapominajkowemi—stworzoną zda się nie do życia na tej ziemi razowego chleba i krwawego potu. ale zbiegłą z eterów. w poselstwie od ideału..

Była to owa Maniusia. która nie mając tu znajomych. zmuszona się trzymać sztywnie i milcząco, była niezmiernie wdzięczną Emilowi. że się tu znalazł.

Pochwyciła go jak dobrą. starą znajomość. którą mogła zawładnąć. Paczuski stanął do usług—a oczki niebieskie i usteczka różowe tak przemówiły do niego, że rażony, gdyby piorunem—zakochał się w Maniusi!

Zakochanie to gwałtowne dokonało się w ciągu pięciu minut; w kwadrans potem Paczuski mówił

sobie w duszy, iż Maninsia była mu przeznaczoną.

Cały wieczór przetrwał na straży przy matce i córce, tłumaczył im nieznanym ludzi. opowiadał historyjki—starał się okazać jak rozległe ma stosunki. popisывał się z dowcipem własnym i pożyczanym.— słowem: formalnie rozpoczął służbę przy Maniusi. która również uprzejmie, nieopatrznie, gorąco, dziecinnie nim się zajęła.

Dla wszystkich gości tego wieczora było to uderzającym; uśmiechano się z Emila, którego nikt nigdy nie widział jeszcze tak roztrzpiotanym i rozgorączkowanym zarazem; nazywano pannienkę—naiwną i zdradzającą wychowanie na wsi.

Dla samej Bydgoskiej, która. prawdę powiedziawszy. przybyła do Warszawy dla... Maniusi. myśląc, że tu jej piękność ocenioną zostanie i świetny los jej zapewni—nie mogło nic być pożądliwszem nad spotkanie z Paczuskim... nie mogła dla dziecka życzyć nic pomyślniejszego nad rozkochanie się bogatego jedynaka. który był razem młodym. miłym i dobrym chłopcem.

Trochę zabobonna. wierząca w przeczucia, ka-bały i t. p. Bydgoska coś opatrnościowego widziała w tem zbliżeniu się do Paczuskiego i życiem zajęciu. jakie on okazał zaraz Maniusi. Zaprosiła go nazajutrz do siebie, oddała się w jego opiekę i jako, przyjaciółka matki. zapowiedziała mu, że będzie jego dobrego serca używać i nadużywać, bo w Warszawie niema nikogo.

Paczuski ofiarował się ciałem i duszą na służę i niewolnika...

Maninsia groziła mu już tego wieczora, że go obie z mamą zamęczą, bo tysiąc rzeczy im brakło, a nie wiedziały, gdzie ich szukać.

Następnych dni ci, co się zwykli byli spotykać z Emilem w teatrze, w cukierni, w restauracyi — postrzegli, że go brakło. Spędzał prawie cały czas na bieganiu z Bydgoskiemi lub dla nich. Józio nawet przez dwa dni go nie mógł złapać.

— Co się z tobą dzieje? — zawołał w ulicy go spotkawszy pędzącego pokawalersku.

— Oszalałem, przyznaję się — odparł Emil — przesłiczna, cudowna różyczka przybyła tu ze wsi. Znałem ją dzieckiem... zdaje mi się, że jestem zakochany!...

Szalawski napróżno chciał się dowiedzieć szczegółów; Paczuski czasu nie miał, śpieszył do Manisi...

Dorożka pełna była sprawników...

Dał przyjacielowi *rendez-vous* na późną godzinę wieczorem w cukierni i poleciał dalej.

Do takiego obalamucenia z gorączką Paczuski dotąd nie był skłonny, i przyjaciel uznał, że na niego musiała przyjść godzina... owa godzina, która dla najpłochszych przychodzi wreszcie, jako zwiastunka szczęścia, często jako przepowiednia niedoli.

Szalawski czekał długo przy herbacie na przyjaciela, który przybiegł nareszcie, zmęczony, roz-targniony, szczęśliwy, niespokojny, gadatliwy—słowem: wyjątkowo rozbudzony i rozgorączko-wany.

Józio, który był w swoim zwykłym stanie po-wszednim, a pęsa mu nie były ani o ćwierć sekun-dy żywiej, niż zwykle — chciał naprzód leczyć zimną wodą przyjaciela.

Emil mu się wypowiadał. Tak—miał to prze-konanie sam, iż się kochał poważnie i że ta miłość mogła go zaprowadzić do ołtarza.

Samo to przypuszczenie było wielkiego znacze-nia, bo nigdy dotąd się nie zrodziło w myśli i ser-cu Paczuskiego. Pragnął Mamsię pokazać przy-jacielowi—był nią dumny.

Mówił, że w niej znalazł istotę dopełniającą — ideał... że tylko z nią mógł być szczęśliwym i t. d.

Prozaiczniejszy Józio począł rozpytywać o pań-stwa Bydgoskich, rodzinę i mienie.

Panna mogła mieć parękroć stotysięcy posagu conajmniej: rodzina była zająca,—najmniejszej plam-ki na niej, ani koło niej; Emil był bogaty, matka jego w przyjaźni z matką Maniu-i: wszystko się więc składało cudownie.

— Niezmiernie mnie cieszy to twoje szczęście, kochany Emilku—rzekł, wysłuchawszy tego Sza-lawski—ale cię proszę i zaklinam, nigdy nic nie



rób popijanemu. Dotąd jesteś i robisz na mnie wrażenie człowieka pod hełmem... Wytrzeźwij się, myśl... rozważ i—nie śpiesz.

Paczuski jaknajuroczyściej zapewnił przyjaciela, że też wcale nie myśli tych rozkosznych dni rozmarzenia, niepewności—skracać pośpiesznym krokiem.

Przewidywał tylko zawczasie, iż ta miłość—pierwsza prawdziwa—nie rozwieje się płocho, jak inne.

— Zobaczysz Maniusię—to anioł!—dokończył, łamiąc ręce i oczy wznosząc do góry.

Szaławski parsknął.

Upłynęło tygodni kilka.

Sylwan Horpiński zjawił się jednego wieczora znowu u pani Zawierskiej. Przywitawszy się z gospodynią, ukloniwszy zdala pannie Michalinie, zaszył się potem wśród mężczyzn, związał rozmowę obojętną i zdawał się więcej rozpatrywać i rozsluchiwać w towarzystwie, niż czynny brać udział w zabawie.

Oko jego biegało wszędzie ciekawe, niczem się nie zajmując zbyt. Stał chłodny jakiś—smutny. obcy wśród ludzi. którzy wszyscy więcej niż on byli porwani prądem życia. Był spektatorem. w którym domyslać się mógł ktoś surowego sędziego i postrzegacza.

Przez dosyć długi czas nie widziano go ani tutaj, ani w mieście nigdzie. Głuche wieści cho—dzily, że był gdzieś na wsi. Nie dziwiono się temu, bo nieraz już tak znikał z horyzontu i również niespodzianie powracał.

Wszyscy znajomi jego witali go mile, gdyż nikomu nigdy nie był zawadą. a dla wielu był miłym i usłuznym towarzyszem.

Salwator. ów pasożyt chudy i długi, który wszystkim rad był jakąś plotką się przysłużyć. nie miał nic pilniejszego. spotkawszy się z Horpińskim. nad zdanie mu sprawy z wyścigów. a przypomniawszy sobie Nitosławskich, dodał. iż wszyscy byli nderzeni ich podobieństwem do p. Sylwana. szczególnie Emil Pacznski. który z tem biegał, glosił to i aż do śmieszności się zajmował przypadkowym tem zbliżeniem fizioognonii. Dodał. iż Pacznskigo skłoniło to do przypuszczenia jakiegoś pokrewieństwa.

W ustach Salwatora. oszczerecy z powołania—wszystko nabierało szczególnego znaczenia. Nie obwinał nikogo, nie okazywał jawnej złośliwości ani niechęci: owszem tłumaczył. łagodził. niewinniał każde o, ale — miał ten talent, że wszystko, co puścił w świat. jadem było zaprawne.

Horpiński, który słuchał napozór obojętnie. cierpliwie, jednym uchem. chociaż niekiedy rumienił się i bladł. zdradzając się małemi oznakami, niecierpliwości — po rozmowie tej z Salwatorem odszedł do domu. posepniejszy niż zwykle.

Nim się jednak rozstali. na przypuszczenie pokrewieństwa jakiegoś z Nitosławskimi z Podola, odparł kategorycznie. iż na Podolu ani rodziny, ani znajomych nie miał, że o Nitosławskich pierwszy raz w życiu słyszy.

Salwator spodziewał się przy tej sposobności pochwycić coś o—prowincyi. do której się pochodze-

niem zaliczał Horpiński. ale — zawiódł się. Sylwan nie uznał za potrzebne tłumaczyć mu się ze swej genealogii.

Ponieważ Emil Paczusi ciągle teraz był zajętym panią Bydgoską i Maniusią, żył tylko niemi, a wszystko zresztą stało mu się obojętnem — nie rychło więc się spotkali z Horpińskim.

Pani Bydgoska regularnie bywała na Czwartkach pani Zawierskiej. i tu towarzyszący jej Paczusi znowu się zszedł z p. Sylwanem.

Nie spostrzegł tego w początku, iż wzrok, którym go zmierzył Horpiński, był pełen grózb jakichś i niemal pogardy. Wejrzenie to jednak tak przelotnie i chwilowo zdradziło Sylwana, iż pochwycić je było trudno, a zaledwie jak błyskawica prześliznęło się po Paczuskim. natychmiast wyraz się zmienił — złagodniał. ostygł i uśmiech jakiś zimny całej fiziognomii nadał zwykły jej charakter zobojętnienia.

P. Emil z konieczności tylko oddalał się od krzeselka Maniusi. ale musiał parę razy odbyć wędrowkę po salonie i w jednej z nich oko w oko się zetknął z Horpińskim.

Ten przywitał go nader nprzejmie — może aż nadto, tak, że Paczusi. niezupełnie czysty w sumieniu. trochę się zmieszał.

— Dawnośmy, dawno pana tu nie widzieli — odezwał się pośpiesznie.

— Wątpię, aby się to komukolwiek uczuło dało—odparł Horpiński—bo nie mam wogóle szczęścia do ludzi.

- Mylisz się pan.

— Nie, nie mylę się — ciągnął dalej Sylwan z obojętnością. — Nic to nie dowodzi, że pan wyjątkowo łaskaw jesteś na mnie. Jeśli się mną kto zajmował, to chyba tylko przez próżną ciekawość.

Rozśmiał się dziwnie Horpiński i do milczącego, nieco zmieszanego Emila mówił dalej:

— Powiadano mi, że jakieś upatrzone podobieństwo rysów, nie wiem już tam do kogo... wielu śmiesznych komentarzy i domysłów było powodem!...

Paczuski uczuł się osobiście dotkniętym.—Niech się pan temu nie dziwi — rzekł — bo istotnie, patrząc na panów Nitosławskich, trudno się było nie zdumiewać uderzającym tem podobieństwem.

Horpiński ruszył ramionami.

— Bardzo żałuję, że się nie mógł stawić na okaz dla porównania—odezwał się kwaśno.—Nie mógłby pan mnie objaśnić.—zkaąd są ci moi sozjowie, z jakiej prowincyi?

— Jest to znakomita, bogata rodzina z Podola—odparł Paczuski.—Mają stadniny sławne, jeden z braci przebywa w Angli, handlują na wielką skalę zbożem, mają dom komissowy.

Horpiński słuchał z uwagą.

— Pochodzą z Podola?—pochwycił — strona, w której ja nigdy rodziny ani powinowatych nie miałem...

— A pomimo to—zawołał Paczuski—podobieństwo jest. można powiedzieć: braterskie. Mniejsza o rysy, ale ruchy, głos, wszystko...

— To nader pochlebne dla mnie! — szydersko odezwał się Sylwan, którego twarz była blada. a oczy się iskrzyły—nader pochlebne.

I począł się śmiać sucho jakoś, a złośliwie.

— Trzebaż. abym właśnie na tę chwilę wyjechał! — dodał. — Zawsze miłem jest choć z twarzy być podobnym do milionera!...

Emil zamilkł; czuł, że Horpińskiemu nie pochlebiało to wcale—gniewało go raczej.

Po chwili Sylwan zmienił rozmowę, nie porzucając szyderskiego tonu, jakim ją prowadził.

— Widzę, że do towarzystwa zwykłego pani Zawierskiej nowa gwiazda przybyła — rzekł, zwracając się do Paczuskiego.—Śliczna paniuieczka... zaledwie rozkwitły pączek... Na mnie smutne czyni wrażenie taka świeżuchna roślina, przesadzona do miejskiego wazonika. Bogdajby tam kwitła, pod cieniem lip domowych!!

— Dzięki Bogu, powietrze, słońce i życie Warszawy nie jest tak dla kwiatków zgubne, aby

się tu one obawiać mogły o siebie — rzekł Paczński.

— Tak się panna zdaje?—spytał Sylwan.— No, nie wiem! Wolałbym jednak zawsze, aby ludzie żyli tam, gdzie im los dal przyjsć na świat. Przesadzania i aklimatyzacye są niebezpieczne.

W ciągu tej rozmowy Emil ciągle niespokojnie spoglądał ku Maniusi, a wkońcu, długiego osierocenia nie mogąc już wytrzymać, wymknął się Sylwanowi i pośpieszył—na służbę.

Horpiński nie miał sposobności zbliżenia się do panny Michaliny, bo zwykle nie narzekał się jej wcale, jakkolwiek miłą mu była z nią rozmowa. Najczęściej ona sama przez grzeczność go szukać musiała i zatrzymywała się chwilę, aby mu okazać, iż go tu widziano mile.

I tego wieczora, po panu professorze, po pejzażystce starym, po starym szambelanie, przyszła kolej na Horpińskiego.

— Pan od nas coraz częściej uciekasz — odezwiała się do niego.

— Gdy Warszawa staje się zbyt przepelnioną i ożywioną—mam zwyczaj ją opuszczać—odparł Sylwan—nie żebym miał wstręt do ludzi, ale stosunki naówczas są wielce nużące a nie opłacają się znajomościami, po których nazajutrz niema śladu...

— Nie znajdujesz pan zajmującym choćby

przypatrywania się tej niezmiernej różnaitości typów!—zapytała Misia.

— Typów właściwie nie widzę tak wiele; dają się one sprowadzić do kilku—rzekł Sylwan—a jednostki — z małemi odmianami. aż do zbytku są tezsame...

— Byłeś pan na wsi?... w których stronach?—spytała nieco nieoględnie Micia.

Horpiński zarumienił się lekko.

— Polowałem w lasach nie zbyt oddalonych—odpowiedział—jeździłem konno. studyowałem trochę kraj, którego mało kto lepszą znajomością pochwalić się może. Dziwna to. doprawdy, rzecz. jak na małą odległość sięga w domu ciekawość ludzka, gdy za granicą tak jest nienasyconą.

— Bo tam może więcej jest zajmujących przedmiotów?—szepnęła panna Michalina.

— Nie wiem. czy może być co bardziej zajmującym dla człowieka nad to, co go najbliżej tyczy. W kraju własnym najmniejsza rzecz powinna pociągać.

I natychmiast przerwał sobie. uwagę robiąc, iż w salonie wiele nowych przybyło postaci.

Ponieważ oko jego zwróciło się na pannę Maniusię—Michalina uśmiechnęła się.

— Nieprawdaż. że śliczna ta miluchna panna Bydgoska... prawdziwy kwiatuszek!...



— Około którego już widzę natrętnego motyla—przerwał Horpiński.

— Jakby stworzeni dla siebie—odparła panna Michalina.—Są nawet od dzieciństwa znajomi...

— A!—rozśmiał się Sylwan—więc już tylko powinszować i pobłogosławić! O, biedny pączek różaui!...

— Biedny?—podchwyciła panna.

— Tak. bo ten dawno znajomy motyl już ma dosyć otrzepane skrzydełka — dodał Horpiński—i na jego stałość niewiele można rachować.

— A!—przerwała Micia — pan jesteś za surowym dla tego pocziwego, usłużnego, grzecznego Paczuskiego! Czy masz co przeciwko niemu?

— Ja? — podchwycił z niezmierną żywością Horpiński. którego twarz się zarumieniła — Ja? Nietylko że nie mam przeciwko niemu, ale go szanuję i lubię. oddaję mu sprawiedliwość. Jesteśmy z nim na bardzo przyjacielskiej stopie i wdzięczny mu być muszę. bo mi okazuje wiele życzliwości; ale to nie przeszkadza. bym. tak, jak dziś jest. nie mógł go uznać dojrzałym do ożenienia.

Jest dziecinny, jest płochy, potrzebuje lat. doświadczenia—może nawet przykrych i dotkliwych przejść. aby życie pojął poważnie i umiał je poprowadzić... Przypuśćmyż teraz, że taka istota powietrzna, równie obca światu i życiu—kwiatusek

wiosenny. połączywszy się z tym motylem. pusi się na nieznane szlaki żywota! Chyba Opatrzność. jak nianka, musiałaby czuwać nad tem dwojgiem dzieci. aby swojego szczęścia nie zmarnowały— i nie zabłąkały się na bezdrożach...

Słuchając. panua Michalina bawiła się bukieciem. który trzymała w ręku.

— Pan jesteś pessimistą—rzekła—a dla mnie widok tej dobranej pary młodej tak jest miły. tak pachnie poezią i sielanką. że radabym. aby z marzenia przeszedł w rzeczywistość.

— I... skończył się—dodał Sylwan —jak poeta Heinego: słowem ironii i rozpaczy. Obwiniasz mnie pani o pesymizm: niesroty! uczy go życie. i uważam go za antidotum przeciwko wszystkim niespodziankom. które doprowadzają do rozpaczy.

— Nie tolerujesz pan więc ani złudzeń, ani marzeń?—rzekła Misia—a jednak w życiu trochę poezji jest pociechą i osłodą..

Horpiński zamilkł. Oboje patrzali na Paczuskiego. który. zapomniawszy o całym świecie. stał przed Manią. pochylony. rozpromieniony i opowiadał jej coś wesoło, dziecinnie prawie. dopomagając sobie wyrazistemi poruszeniami. które zdawała obojętnym widzom wydawać się mogły nieco śmiesznymi.

Jak się to stało, że tegoż wieczora pan Sylwan

Horpiński postarał się przedstawić pani i pannie Bydgoskiej—nie umiemy wytłómaczyć.

Niezmiernie rzadko się to trafiało, by Horpiński sam nowych znajomości i stosunków szukał. Tym razem, zdaje się, iż kogoś prosił o zapoznanie go z panią, i znalazł do tego pretext w znajomości jakiegoś stryja jej, od kilkun już lat zmarłego.

Pani Bydgoska, bardzo uprzejma dla wszystkich, widząc Horpińskiego dobrze przyjmowanym i położonym w towarzystwie, słysząc o nim same pochwały od gospodyni domu, ujęta miłą i dystygowaną powierzchownością—przyjęła go też bardzo mile. Panna dygnęła mu bojaźliwie jakos, a stojący przy niej Paczuski trochę się zachmurzył, bo nie rad był tej znajomości.

Gdy po rozmowie z matką i zamianie słów kilku z Maniusią,—pan Sylwan się oddalił, Paczuskiemu pilno było niezmiernie obwarować się od wpływu, jaki ta znajomość na panią Bydgoską wywrzeć mogła. Miał przeczucie, że Horpiński mógł mu szkodzić.

Obawa ta nie była wprawdzie na niczem ugruntowana—była instynktem raczej, niż wyrozumowanym wnioskiem; ale sam czując się względem Horpińskiego nie zbyt przyjaźnie nsposobionym, lękał się Emil wzajemności, która w ludzkich stosunkach, jest prawie niemożliwą.

Dziwny to, ale tysiąckroć stwierdzony fenomen. że wrażenia i uczucia, jakie wywołują nowe znajomości. są niemal zawsze jednakie. Jeżeli ktoś w nas wstręt obudza. możemy być prawie pewni, że i my musimy mu być wstrętliwi; taksamo przyjazne usposobienie jest wzajemnem. Tych miłości, które są opłacane nienawiścią, o jakich prawią stare i nowe romanse—na świecie niema. Zmysłowe żądze mogą się obejść bez wzajemności, bo są czysto zwierzęce: tam gdzie dusza ma udział jakiś. prawa atrakcyi i odpychania nie cierpią wyjątku. Paczuski, raz wyrobiwszy w sobie jakąś niechęć ku Horpińskiemu. mógł się więc instynktowo spodziewać, że mu ona równą zostanie opłacona.

Pani Bydgoska. którą z wieczora od Zawierskich odprowadzał do jej mieszkania. jak zwykle. zapytała go, naturalnie, o tę nową znajomość.

Emil nie chciał się zdradzić przed nią ze swym wstrętem i podejrzliwością przeciw Horpińskiemu; ale odpowiedź jego dawała do myślenia.

— Człowiek to bardzo miły. dobrze wychowany, przyjmowany wszędzie—rzekł. cedząc słowa rozważnie — ma tylko to jedno przeciw sobie. że właściwie nikt go nie zna. nikt nic o nim nie wie. Od bardzo dawna przebywa w Warszawie. umiał sobie zjednać wstęp wszędzie, nic mu zarzucić nie podobna... zdaje się majątnym; ale nikt nie wie,

ani co on ma, ani z kąd pochodzi... ani czem się właściwie zajmuje.

— Pojmnie pani—dodał Paczuski—że człowiek. co tak starannie tai i pokrywa swą przeszłość—musi mieć do tego jakieś powody...

Zresztą. jak mówiłem. w towarzystwie bardzo wszędzie pożądanym. czytany, w obejściu się miły... i—ma chyba tylko przyjaciół. do których i ja się zaliczyć muszę.

Bydgoska się uśmiechnęła.

— Jak na przyjaciela. toś pan za surowy—rzekła.—Czyż koniecznie ma się za tą zasłoną coś ukrywać, czego by się wstydzić miał?

— Ale ja tego nie mówię — odparł. tłómacząc się. Paczuski—nie przypuszczam nic. Zdaje pani sprawę z tego, co jest. bom obowiązany mówić prawdę.

— Panna Michałina — dodała Bydgoska—mówiła o tym panu. niemal z entuzjazmem go wychwalała. a jej zdanie wiele u mnie waży.

— Ja też—przerwał zmieszany Emil—oddaje sprawiedliwość wielkim istotnie przymiotom Horpińskiego. tylko—nie lubię zagadek!...

Manisia śmieszką milutką potwierdziła. co mówił jej Emil: i ona dzieliła jego przekonanie. Zagadek nie powinno być się na świecie spotykać!...

W parę dni potem p. Sylwan przyszedł z usza-

nowauiem do pani Bydgoskiej. Wybrał tak godzinę, iż ją zastał samą z córką; Emila jakoś nie było—co mogło się nazwać cudem. bo on tu teraz przesiadywał nieustannie.

Jak na pierwszą wizytę. Horpiński zabawił dosyć długo; rozmową swą potrafił zająć niezmiernie dobrą panią Bydgoską—oczarował ją niemal. umiał się podobać. i gdy wyszedł. a wkrótce potem zjawił się Paczusi. matka a nawet córka. wpadły na niego z wymówkami za to. że się nie poznał na tak ze wszech miar miłym. wykształconym. dowcipnym. ujmującym człowieku. jakim był Horpiński.

(Chociaż napół żartem czyniono mu te wymówki. Emil wziął je do serca. Nie podobało mu się to. że Horpiński tak sobie potrafił łatwo te panie pozyskać.

Opanowany ciągle myślą odkrycia tajemnicy pochodzenia p. Sylwana. słysząc. że znał dobrze stryja pani Bydgoskiej — sądził. iż to go na jakiś ślad naprowadzi. ale okazało się. iż znajomość tę zrobił w Warszawie. i—nie ona objasnić nie mogła. prócz tego. że byli z sobą bardzo w blizkich stosunkach...

Dowodziło tego wszystko. co p. Sylwan wiedział o rodzinie Bydgoskich... jak się w rozmowie okazało.

Dla zacnej. dobrodusznej mamy Bydgoskiej nie było nic zadziwiającego w tem. że Horpiński

o pochodzeniu swem nie mówił i niem się nie chlubił. Musiał należeć do tej drobnej szlachty, której tyle tysięcy składało stan uprzywilejowany dawnej Rzeczypospolitej. Ojciec mógł się dorobić majątku, niczem zresztą się nie odznaczywszy. Koligacyi nie miał pewnie.

Tak, to, co dla Paczuskiego było podejrzanem—pani Bydgoskiej wydawało się naturalnem.

Sam zas człowiek tak jej był sympatycznym, a, co dziwniej, tak nawet Maniusi, po tej wizycie, wydawał się miłym — że Emil musiał zamilknąć, ale bardzo posmutniał.

Nie tyle mu szło o mamę, ale —jak potrafił zdobyć, tak łatwo pozyskać sobie Maniusię?!

Emil nie rozumiał tego, że młodzinsienkie dziewczątko, które dojrzały i poważny mężczyzna z nszanowaniem jak osobę,—(nie dziecko)—traktował w towarzystwie i obchodził się z nią równie jak ze starszemi — musiało być tem njętawielce, bo mu pochlebiało, iż ją już jako dorosłą panienkę uważał.

Maniusia wdala się z nim w rozprawę nawet, z której wyszła zwyciężko, i w końcu p. Sylwan stał się jej miłym—ją także oczarował...

Emil czuł, że obok niego on się musiał wydawać dziecinny i plochym... trapiło go to.

Powziął więc jeszcze większą odrazę do Horpińskiego—nienawiść prawie. Mama, jak mama.

ale broniąca go Maniusia! — w rozpacz go wprawiała.

Tem się pocieszał tylko, że Horpiński nie mógł zbyt często nawiedzać pani Bydgoskiej, i że wpływ jego niebezpieczeństwem nie groził. Tymczasem była to nieco fałszywa rachuba. P. Sylwan zaraz potem w teatrze odwiedził panią Bydgoską w łoży i zaproponował wycieczkę w okolicę razem z paniami Zawierskimi, którą on się podejmował urządzić: przyjęto ją.

Dowiedziawszy się o tem, Paczusi, który się nie spodziewał, aby był zaproszonym, wpadł niemal we wściekłość. Zaczynał się odzywać już z pojedyńkiem, do którego nie miał najmniejszego prawa.

Ochłonął dopiero, gdy — znalazł zaproszenie, które Horpiński mu nadesłał. Nie poprawiło ono jednak usposobienia Paczusi, który przyjął inwitacyą, ale marzył o pomście.

Za co?—Sam może nie wiedział.

Manusia niewiele się dla niego zmieniła; jednak odrobineczkę go łżej jakoś i obojętniej przyjmowała: nie był sam jeden.

Horpińskiemu zaś, oprócz grzeczności dla pań, których krewnego był niegdyś przyjacielem, nie można było zarzucić nic. Nie starał się w pospolity sposób o pozyskanie łask Manusi, nie prze-



śladował jej wejrzeniami i dwuznacznemi półsłówkami.

Był z nią nadzwyczaj poważnym i właśnie tem ją sobie pozyskiwał. Co się tycze mamuni. ta po kilkunastu dniach—całkiem się poddała wpływowi, radom, kierunkowi. jaki jej zręcznie nadawał Horpiński: wynosiła go pod niebiosą. Paczński nie śmiał się odezwać ani słówkiem przeciwko niemu.

W miarę, jak p. Sylwan tu rosł, on malał i schodził na coraz mniej znaczące stanowisko. Obchodzono się z nim, jak... z młodzikiem. Nawet Maninsia pozwalała sobie dać mu nczuć, że—starszych powinien był szanować i nie dopuszczała najmniejszej przymówki do Horpińskiego.

P. Bydgoska głośno wyznawała, że Panu Bogu powinna była za tę opiekuńczą znajomość dziękować. a wszyscy, nie wyjmując panny Michałiny. wtórowali jej.

W końcu Emil tak był tem boleśnie dotknięty. że jednego poranku pobiegł do Józia na radę.

Szaławski wiedział o wszystkim. ale zimno się na to wszystko zapatrywał.

— Słuchaj — rzekł — innego końca nie widzę: to jest intrygant niegodziwy. Psuje mi n Bydgoskiej—muszę go wyzwać.

— Ale jakiż pretext znajdziesz do tego?...

— Pierwszylepszy—odparł wzburzony Emil.

— Powinieneś więc o tem wiedzieć zawczasu—rzekł Szalawski—że Horpiński jako szermierz na szpady i pałasze jest sławnym. a strzela kulami do asów o zakład.

— O tem wiem—odparł Emil—ale ja też strzelam dobrze. a biję się znośnie. W pojedynku więcej stanowi szczęście. niż umiejętność.

— Panna ci za pojedynek wdzięczną nie będzie. ani matka — dodał Szalawski. Przyspiesz tem ich wyjazd. a możesz sobie zagrozić drogę nawet. Rozważ to dobrze...

— Cóż mam począć?—wybuchnął Emil.

— Na twem miejscu—rzekł Józio—albo-bym nic nie poczyniał i czekał, albo-bym się z nim rozmówił otwarcie...

Skutkiem narady z Szalawskim było to, iż jednego rana Paczuski zjawił się u Horpińskiego tak wcześnie. aby go zastał niechybnie.

Znalazł go już ubranym. nad poważną książką. i został przyjęty z taką uprzejmością nadzwyczajną. tak mile i wesoło. że przybywszy pełen wyrzutów i gotów do żwawego sporu—minowolnie złagodniał znacznie. Musiał zmienić ton. a nawet sposób zagajenia rzeczy.

— Jesteś pan dobrodziej — rzekł chłodniej — w takich stosunkach z panią Bydgoską. masz

wpływ tak wielki na nią. iż się nie waham zwierzyć mu i prosić o pomoc i radę...

Miałem zamiar starać się o rękę jej córki. Z początku byłem przyjmowany dosyć dobrze; od niejakiego czasu widzę i czuję oziębienie... Kocham pannę... jestem w rozpaczyl...

Horpiński słuchał bardzo obojętnie.

— Przypisujesz mi pan — odparł po namyśle — wpływ, którego ja nie mam wcale; znajomość moja z panią Bydgoską jest świeżą... Nie pochlebiam sobie, abym mógł jej zaufanie pozyskać.

Zatrzymał się nieco Horpiński i zawahał z dalszym ciągiem.

— Taksamo — nie mam najmniejszego prawa panni radzić nic. ani odradzać... Muszę tylko. wszelkie przypuszczenia uprzedzając. oświadczyć mu najuroczyściej: najpierw. że co do mnie — nie powstało mi w myśli nawet starać się o pannę... powtóre. że nigdy słowem jednym nie zaszkodziłem pannie. ani u matki. ani u pauny...

Emil podniósł głowę.

— Chcesz pan dać mi dowód życzliwości? — rzekł nagle. — Racz być moim pośrednikiem..... chciej wybadać matkę i — oświadczyć jej moje zamiary.

Horpiński wstał z krzesła nagle.

— Daruj mi pan — rzekł sucho — tego pośrednictwa na żaden sposób podjąć się nie mogę.

— Małżeństwo, według mojego przekonania i sposobu widzenia, jest czynem tak wielkiej wagi w życiu, iż sumienny, uczciwy człowiek nie może się nigdy ważyć ani pomagać do niego, ani wtrącać. Dałem sobie słowo raz na zawsze: do spraw podobnych się nie mieszać.

— Ale przynajmniej nie przeszkadzać! — wybuchnął Emil.

— Mogłeś pan przypuścić nawet, że ja się na to ważę?—spytał surowo Horpiński.

Paczuski się zarumienił. Nie miał dowodów żadnych—domyślał się tylko.

— Co mi pan radzisz?—zawołał.

Długo milczał Horpiński.

— Nigdy nie radzę nikomu—rzekł—choć nie przeczę, że radzić drugim łatwiej jest, niż samemu sobie. Przez wdzięczność za to, żeś pan raczył zwrócić się ku mnie, powiedziałbym jedno. Rozważ pan dobrze czy nie zawczasie myślisz o ożenieniu się, i czy panienska też nie jest za młodziuchą? Wiem, że miłość nie zna rachuby... niestety!...

Zamilkł nagle.

Paczuski siedział z głową spuszczoną.

W ostatniem przemówieniu Horpińskiego, które wistocie nic nie mówiło, brzmiało coś szyderskiego, ironicznego, niedość wyrażnie, aby się można było obrazić; ale w duszy czuł się Emil

draśniętym do żywego: ten człowiek grzecznie sobie szydził z niego, jak z młokosa, i mścił się na nim.

Dobitniej w ostatku wyraziło się to jeszcze w zakończeniu przemówienia Horpińskiego, który dodał po chwili:

— Masz pan matkę. rodzinę. przyjaciół—osoby. które jego i Bydgoskich położenie lepiej znają. niż ja: do nich się zwróć o radę.

Ja. co nie mam ani rodziny, ani stosunków, co jestem sierotą, i wydaję się jakąś zagadkową istotą... aerolitem, spadłym niewiedzieć z jaką burzą... z niewiedzieć jakiego świata. nie miałbym się kogo poradzić, i musiałbym sam rozstrzygać; ale panu — na doradcach nie zabraknie. Z tego względu i wielu innych, szczęśliwszym pan jesteś nademnie...

Paczuski, posłyszawszy to — już ani słowa nie mówiąc, wziął za kapuś, i zimno bardzo żegnając się, wyszedł. przeprowadzany grzecznie, aż do progu...

Wiedział, że miał nieprzyjaciela, z którym ciężko mu się mierzyć było!

Lato nadchodzące wypędzało wszystkich z miasta—powoli.

Zrodził się w naszych czasach ten obyczaj wędrowania wzorem ptaków, pod pozorem szukania warunków higienicznych dla życia. Dawniej pалono dobrze w piecach zimą, a latem starano się o chłodek w cieniu; ale, z wyjątkiem najbogatszych rodzin, mogących dogodzić swym zachciankom, nie myślał nikt o podróżowaniu do wód, do kąpieli, klimatów, do ozonu, do sosnowych borów wyziewu, do powietrza morskiego i t. p. Żyło się wszakże—czasem nawet dosyć długo...

Dziś bardzo miernego majątku człowiek ma sobie za ujmę, za upokorzenie, jeśli choć za miasto się latem wynieść nie może. Urzędnikom dają się na to ferye; miasta pustoszeją, wody i stacje się zaludniają... hotele i spekulanci robią na tem pieniądze. Czy życie ludzkie i zdrowie zyskuje? nie wiem...

Faktem jest, że kto się szanuje, jechać musi... a wybredniejsi prawie nigdy w domu nie siedzą.

Pani Zawierska z córką—wybierały się tym razem tylko na wieś, do swego parku, w którym dość miały chłodu i ciszy. Bydgoska nie wiedziała jeszcze: czy powróci do domu, czy dla Maniusi szukać będzie morskich kąpiel, któreby ją wzmocniły?

Po rozmowie z Horpińskim pan Emil, jak sparaliżowany, przez czas jakiś wcale nie wiedział, co pocnie. Przeszkody, które spotykał, zwiększyły miłość jego dla Maniusi; ale ona—ona—niestety, z początku tak mu życzliwa, znacznie ochłodziła dla niego.

Matka mówiła i powtarzała ciągle, kładąc nacisk na to, iż córki wcześniej za mąż wydawać nie myśli, że ona jest wątłą i zamłodą.

Paczuski słyszał to codziennie.

Horpińskiego odwiedziny mniej teraz częste były—ale zawsze on tu najpożądany gościem, choć widocznie rywalem nie był. Natomiast, wprowadzony podobno przez niego, zjawił się tu młodzieniec, który odrazu nadzwyczaj został zachęcająco przyjęty.

Był to pan Leon Zagłoba, syn obywatela z Lubelskiego, jedynak, majątny i spowinowacony z najpierwszemi w kraju rodzinami. Starszy nieco od Paczuskiego, poważniejszy, przystojny.

z wielkim taktem: miał za sobą wszystko—a Maniusia, która go się w początku obawiała. później zajęła się nim widocznie. tak, jak on nią.

Bydgoska zwierzała się swoim serdecznym przyjaciółkom. że wołałaby go stokroć dla Maniusi. niż tego pocziwego, miłego. ale trzpiotowatego Emila. który żony-by poprowadzić nie umiał. A młodziuchna Manusia—potrzebowała nieco prowadzenia.

Emil z nią mogliby łatwo nieopatrznie przyszość swą poświęcić miodowym miesiącom; z p. Leonem nie było o to obawy... a p. Leon był oprócz tego młody. piękny, zakochany i w społeczeństwie obiecywał żonie stopień wyższy, niż ten. do jakiego Emil mógł dosięgnąć.

Ze zjawieniem się Zagłoby, tak widocznie stracił Emil w tym domu. iż niemal do rozpacz był przyprowadzony. Wszystko to przypisywał, nikomu innemu, tylko Horpińskiemu. jego zemście nad sobą.

P. Sylwan zawsze niby okazywał mu przyjaźń i życzliwość jakąś zimną. lecz pod nią Paczuski—czuł tę nienbłaganą zemstę... postępowanie zaś całe tajemniczego prześladowcy było tak zręczne. że wprost się upomnieć u niego nie było o co...

Paczuski był wściekły; przyjaciel jego. Józio, milczący i zadumany. nie wypowiadał co myślał. wstrzymywał od kroków zbyt stanowczych; tro-



chę bronił Horpińskiego. zresztą zachowywał się neutralnie... Potrzeba było ostudzać wistocie zrozpaczonego człowieka, który się odgrzązał tem mocniej. że sam nie wiedział. jak nieprzyjaciela. wielce ostrożnego i zręcznego, pokonać potrafi. Przychodziły mu najdziwniejsze myśli—ale jedno od drugich mniej możliwe do wykonania.

Józio radził czekać i nzbroidć się w krew zimną, co zakochanemu najtrudniejszym było.

W takim stanie ducha spotkała biednego Emila niespodzianka. która mu była bardzo na rękę. Jednego ranka. gdy wzburzony rozmyślał. co ma począć. aby tego nięszczęsnego Horpińskiego się pozbyć—usłyszał żwawą rozmowę w przedpokoju. Służący Paczuskiego. dobry chłopak. przywiązany do niego. nadzwyczaj wrażliwy. miał to do siebie. że się swojego pana humorem niezmiernie zawsze przejmował. Gdy Emil był wesół. Stasiuk szalał. gdy się gniewał. sługa stawał się nieznosnym. i przychodzącym do pana mocno mocno to uczuć dawał.

Tym razem sprzeczka jakaś u drzwi była tak głośną. że wywołała Paczuskiego do przedpokoju. W progu stał elegancki pan Konrad. niegdyś lokaj Emila. później Horpińskiego. dopominający się rozmowy z panem Paczuskim. której Stasiuk mu stanowczo odmawiał.

Zobaczywszy wybiegającego Emila. Konrad

dumnie na stronę odepchnął Stasiuka i wszedł wprost ku niemu.

— Mam do pomówienia z jaśnie panem — odezwał się wzrokiem tryumfującym, mierząc przeciwnika.

Paczuski skinął. aby szedł za nim, a Stasiuk szczotkę, którą trzymał w ręku, cisnął z gniewem do kąta.

P. Konrad, chmurny, wsunął się do saloniku i powtórzył zniżonym głosem:

— Jaśnie pan pozwoli słów parę!

— Mów—proszę.

— Porzucilem Horpińskiego—odezwał się Konrad — z tym człowiekiem wytrzymać nie można. Gdybym mógł u jaśnie pana miejsce znaleźć?

— Jakżeście się rozstali z nim? — wtrącił Paczuski, żywo zajęty.

— Jak?... najgorzej! Z uczciwymi, delikatnymi ludźmi, ten jegomość obchodzić się nie umie. Musiałem mu prawdę powiedzieć.

Wzburzony, stał chwilę Konrad.

— Pan byleś ciekawy się dowiedzieć co o Horpińskim — dodał.—No! lepiej nademnie nikt go nie zna... To... to jest człowiek...

Konrad począł głową kiwać i przez chwilę mówić nie mógł.

— Com powiedział, że ja go znam—ciągnął dalej po chwili — to tak się ono mówi, bo jęgo nikt

w świecie nie zna. tak się on z sobą kryje... ale, że ma coś do ukrywania — to ja wiem najlepiej. To ptaszek!!... to ptaszek!...

Z nadzwyczajnem zajęciem słuchał Emil. i widząc, że Konrad bojaźliwie się na drzwi ogląda, jakby się obawiał podsłuchania, skinął na niego i zaprowadził go z sobą do gabinetu.

— Mów śmiało—zawołał—mów... Ja też mam powody, dla których tego jegomości radbym znał lepiej i coś o nim wiedział. Będę ci wdzięcznym, gdy mnie wyjaśnisz.

Miejsce u siebie lub inne ci znajdę... ale. cóż ten twój Horpiński?... co to jest za zagadka?

— Bardzo dobrze jaśnie pan go nazwał. zagadka—odparł Konrad—kto wie. gdyby ją odgadnąć, coby z tego wyszło... Porządny człowiek, proszę jaśnie pana. nie zaciera za sobą śladów, jak lis ogonem. Ja panna już raz, zdaje się. mówiłem. że on od czasu do czasu mi tak znikał—na dwa, trzy tygodnie. jakby w wodę wpadł.

No—pańska fantazya!—mówiłem ja sobie w początku...—ma może kochankę, albo co... Niechaj sobie... W końcu jak mi zaczął powracać do domu nie swój, zmęczony. brudny... zdziaczały—piknęło mnie: co u licha on robi... gdzie się podziewa—a tu przypadek nastąpił, że języka dostałem.

Paczuski zbliżył się zaciekawiony.

— Gdzieś, proszę jaśnie pana, koło Garwolina,

w kolonii jakiejs, w lichej chacie. w której jest tylko dwu parobków i dwie stare baby. zamyka się i—licho wie, co tam robi. Tego się nie można było ani dowiedzieć. ani spenetrować.

Tu Konrad znowu wpadł w jakieś rozgorączkowanie dziwne.

— Kto go wie? Może do jakiej bandy rozbójników należy, może pieniądze fałszuje... a po co-by się krył! na co-by się taił?

Zamyslił się Paczusi.

— Jakżeś ty tego doszedł?—zapytał.

Konrad nie chciał się do szpiegowstwa przyznać.

— O to tam mniejsza. jak ja języka dostałem—rzekł,—ale mogę jasnie panu zaręczyć, że to święta prawda.... Człowiek jest nieczysty... słowo daję.

Pomilczał chwilę Konrad i począł dalej:

— Ile razy powracał do domu z tych swoich polowań—jak on je nazywał—miałem pilną baczność na niego. Licho wie. co on tam robił—ale trzeba było widzieć ręce jego. Zazwyczaj pieści się z rękami, dłubie. czyści, myje; a bywało. jak wróci po długiej niebytności, — trzeba było się zdumieć z jakimi!! Zamulone, zgrubiałe, poszarpane, podrapane. czarne... że się domyć nie mógł i kilka dni rękawiczek nie zrzucał. Twarz osma-

lona. opalona. skóra zgrubiła... O sukniach już nie mówię. co się z niemi działo.

Całe to opowiadanie Konrada, choć dosyć zajmujące, tak było niejasne i mało zrozumiałe. że Emil dotąd żadnego wniosku z niego wyciągnąć nie mógł. Słuchał, rozważał i gubił się w domysłach. Lecz, że go to dosyć poruszyło i zimnej krwi, zalecanej przez Józia, nie mógł wyrobić w sobie.—musiał rozmowę bardziej wyczerpującą z Konradem odłożyć do zupełnego uspokojenia.

Zaprosił go na popołudnie, chcąc na tę konferencyą śledczą wezwać w pomoc przyjaciela Szalawskiego. Józio, po którego pobiegł w ciągu dnia — gdy mu wypowiadał się ze wszystkiego, wręcz odmówił wszelkiego współudziału.

Połajał go nawet za to, że ze służącymi się wdawał w spiski nedorzeczne, głupią zemstą natchnione. Jak zmyty. poszedł Emil, ale to go nie powstrzymało od popołudniowego badania Konrada.

Niewiele więcej już mógł wydobyć z niego, oprócz narzekań i oczywistych potwarzy. na czeczach domysłach opartych. Jedno tylko było bardzo jasnem i pewnem: to owe tajemnicze wycieczki. których celem być miała kolonia pod Głarwolinem.

Tajemnica życia Horpińskiego tam być nieochybnie musiała. Konrad poprzysięgał, że nie

gdzieindziej zbiegał Horpiński. tylko tam, i że ani polował, ani odwiedzał nikogo — siedział zamknięty w towarzystwie tych dwu starych bab i parobków.

Kolonia miała być położoną na uboczn. zdala od gościńca. osamotniona, otoczona laskami i zakryta od ciekawych oczu sąsiadów. Nie była wielka, a gospodarstwo na niej wcale nie osobliwe, starania i trndów około niego żadnych nie okazywało.

Dzień, dwa. trzy. Paczuski spędził wypytując Konrada, wziął go do siebie, choć służącego nie potrzebował i biedę kupił, bo ze Stasiukiem elegant Konrad był w nienstającej wojnie. W ciągu tego czasu. ponieważ Bydgoska i córka jej coraz go zimniej przyjmowały. a pan Leon Zagłoba widocznie zyskiwał u nich—Emil doprowadzony został do tego stopnia zaciętości przeciw Horpińskiemu. któremu swe niepowodzenie przypisywał, że postanowił bądźcobądź zdemaskować wroga.

Józio Szalawski. któremu się zwierzył. nie potrafił go ani w dobry sposób. ani surowością powstrzymać od spełnienia tego, co nazywał: niedorzecznością — wyrażając się łagodnie. Wymógł tylko zaklęciami uroczystymi na nim, że Konrada przynajmniej nie weźmie do współki i wcale mu się nie zwierzy z tego. co ma począć.

— Zamiast siedzieć przy Maniusi i odzyskać coś stracił. pewnie z własnej winy w jej oczach— rzekł w końcu—leczysz Bóg wie gdzie. nie wiedzieć za czem... i przyznać się nawet nie będziesz mógł przed nikim, jakie zmałujesz głupstwo...

Co ci do tego człowieka??

Wszelkie rozumowania rozbijały się o bezsilną chęć zemsty Paczuskiego, który. z łatwowiernością dziecka. dawał Konradowi wmówić w siebie. że Horpiński mógł być—bodaj zbójem. głową jakiej bandy. lub fałszerzem monety...

Ostatnie przypuszczenie szczególnie się prawdopodobnem zdawało, zarówno słudze. jak panu.

— Proszę jasnie pana!—mówił Konrad—z kąd u niego-by mogło być tyle pieniędzy?... a te ręce zasmolone i popalone? Każdy. co się bogaci. przecie widać i wiadomo z czego. a u niego grosza nigdy nie brak. zdaje się. że coraz go więcej. Z kąd-że on go bierze?

Właśnie jakoś w tym czasie w istocie i asygnaty podrabiane i kupony fałszywe zaczęły się tu i owdzie ukazywać. Domyślano się pochodzenia ich z zagranicy—któż wie?? Emil gotów był przypuszczać. że ten wykształcony. poważny. napozór tak czysty człowiek. mógł się zabawiać przemyśłem tego rodzaju. Sam on nigdy-by na podobną myśl nie trafił; podsunął mu ją p. Konrad,

który się zdobył na nią i uparcie przy niej ob-  
stawał.

Emil łatwo fantazją bujną dorobił. co brakło  
lada jakiemu pomysłowi. gdy raz go sobie wbił  
w głowę.

Nosił się z tem przez kilka dni i w końcu zbu-  
dował z tego mrzonkę. która mu się już niesły-  
chanie prawdopodobną wydawała..

Co mógł w istocie robić taki człowiek. jak Horpiń-  
ski, w nędznej chacie, w której nie było nikogo.  
nad dwie stare baby? O polowaniu w okolicy  
słyszeć nie było. Konrad zaręczał, że wycieczki  
te trafiały się w porach roku dla myśliwych wca-  
le niewłaściwych. W okolicy dworów i sąsiedz-  
twa nie było, któreby p. Sylwana mogło po-  
ciągać.

Zapowiedziawszy, iż na kilka dni musi na wieś  
się oddalić. pożegnawszy p. Bydgoską i Maniusię,  
która dosyć obojętnie rączkę mu podała przy roz-  
staniu. nie przyznając się Konradowi (w tem ra-  
dy przyjaciela usłuchał) — Paczuski wyruszył do  
Garwolina. Nie miał czem upozorować tej wy-  
cieczki. ale spodziewał się na miejscu znaleźć ja-  
kieś środki do wywiedzenia się. rozpatrzenia i po-  
kierowania dalszem postępowaniem.

Zdawało się Emilowi, że potrafi sobie w tem  
dać radę, chociaż charakter jego, temperament—  
nawyknięcia wcale go do tego nie uspasabiały.



Najmniej się zdawał na takiego prześladowcę i szpiega, który cicho i cierpliwie tropi ofiarę— aż w chwili upatrzonej, rzuci się na nią, pewien zwycięstwa.

Droga do Garwolina powiększyła tylko niewiezioną z Warszawy gorączkę. Emil jechał na bryczce pocztowej, bez sługi, z małym tłumaczkiem, w jaknajskromniejszym stroju i z mocnem postanowieniem odegrywania jakieś roli, o której zawczasu jasnego pojęcia nie miał.

Zajechał—do najlepszego tak zwanego Hotelu, co w Garwolinie wielkiego znaczenia nie ma. Gospoda była utrzymywana przez Izraelitę w sposób właściwy prowincyom, wymaganiom podróży i gości z sąsiedztwa.

Wiadomo, iż w zajazdach podobnych, ani zbytnią czystością, ani wytwornością do życia potrzebnych przyrządów się nie grzeszy: tu też nie było ani tak źle, aby wytrzymać nie można, ani tak dobrze, by się zasiedzieć chciało. Troszkę popsuty i do wygódek przywykły Emil.—znalazłszy się w dziwnym zapachem jakiejś stęchlizny przejętej izdebce, o dwóch zasmolonych oknach, tarczaniku, stołiczku i prostych stołkach—uczuł się bohaterem, iż na taki utrapiony pobyt w dzinrze brudnej się narażał. Była to nowość dla niego, a gdy nieco później zapragnął się posilić i przyniesiono mu jedzenie i napój, których na-

zwy obiecywały wcale coinnego, niż rzeczywistość dawała — zawahał się nieco, czy w tem bohaterstwie o głodzie i stęchliznie wytrwać potrafi. Na powietrze zamkniętej izdebki poradzić mógł sobie, otwierając okna, i wpuszczając razem roje much i nieznosne gorąco, przynoszące z sobą wyziew pobliskich guojów stajemych — na złe jadło nie było sposobu. Próbował oswobodzić je od sosów i sprowadzić do najprostszego wyrazu, ale mięso było do nieukąszenia i wszystko, nawet chleb do nieprzelknięcia.

Wzbudziło to w nim filozoficzne myśli nad tem: jak ludzie żyć mogą w warunkach podobnego odżywiania, i jaki wpływ ono wywierać musi na ich organizm!!

Uwagi te jednak Paczuskiego nie doprowadziły do niczego.

Smutny był i przybity niewymownie. Gdyby przynajmniej, przewidując to ogłodzenie, torbę podróżną zaopatrzył był w żywność, z jaką się wędrowcy zapuszczają w głębiny Afryki? Przychodziły mu na myśl konserwy, pasztety, czekolada, włoskie wędliny i t. p. — a miał przed sobą zastygłe, obrzydliwe produkta garwolińskiej żydowskiej garkuchni. Potrzeba było co żywiej wziąć się do dzieła, aby nie umrzeć z głodu, lub nie uarazić się na jaką chorobę, której pieszczonej jednak obawiał się bardzo.

Tegoż wieczora więc blizka znajomość z p. Pinkusem Łowickim, gospodarzem domu, zawiązaną została. P. Emil Paczusi, nie zdradzając swojego *incognito*, przyznał mu się, iż poszukiwał w okolicy Garwolina do nabycia kawałka ziemi, kolonii, folwarczku, czegoś skromnego, niewielkiego.

Z pewnem niedowierzaniem zwierzenie się to przyjął szanowny gospodarz, człowiek bystry, ludzi znający, podejrzliwy.

Paczusi wydał mu się z mowy, ruchów i z samego celu domniemanego podróży, człowiekiem dwuznacznym, zagadką.

Nabywanie w ten sposób ziemi u nas nie jest pospolitem. W okolicy nic nie nęciło i nie obiecywało szczególnie pociągających warunków, kolonii naówczas tak jak nie było. Pinkus oświadczył wręcz gościowi, że to rzecz była trudna i niezwyczajna i począł badać: dlaczego sobie wybrał Garwolin właśnie.

Paczusi odparł, iż mu go wskazano,—okolice nie znał.

Zaczęła się w ten sposób przydłużać rozmowa, w ciągu której Emil dał do zrozumienia p. Pinkusowi, iż usługi jego zawdzięczyć był gotów. Ale—rozumiało to się samo z siebie, iż żył nie bardzo się tem przejął, ani poruszył.

— Tu, proszę pana — rzekł — kolonii tak jak

niema, stare wioski i folwarki tak są, jak przed wieki były — i nikt ich dzielić nie myśli. Jest tu jedna cząstka. przed laty kilku odprzedana jakiejś jejmości. która zdaleka przybyła. Zowią ją teraz Rusinowym Dworem.

I wskazał ręką w stronę owego dworu.

— No. widzisz, panie Pinkus — odparł żywo Emil. że jednak nie jest takie nabycie bezprzykładnem.

Gospodarz zmilczał.

— Któż tam mieszka w tym Rusinowym Dworze?—zapytał. — Co tam za gospodarstwo? Przecież lat kilka się trzymają i muszą nieźle wychodzić na tym kawałku ziemi...

Pinkus z wyrazem pogardliwym podniósł oczy na mówiącego i ramionami poruszył.

— To jest wcale co innego—odparł—Ta baba, co nabyła ziemię tu... to jest jakaś chłopka zbożacona. prosta kobieta... Pan sam około roli pewno-by pracować nie mógł i nie umiał. Ona ma takich Rusinów parobków. jak sama... to insze ludzie...

I potrząsał głową...

— Proszę cię. panie Pinkus—dodał Paczuski, zbliżając się do niego i starając go ująć grzecznością.—To dla mnie rzecz ciekawa... Cóż to za kobieta? jakie tam gospodarstwo?

Gospodarz, widząc, że się na dłuższą zabiera-

ło rozmowę, a niemając wielkiego wyobrażenia o człowieku, który mały kawałek ziemi nabyć sobie życzył—naprzód wziął krzesło i zajął miejsce poufale obok Paczńskiego.

Zażywał mocno tabakę, którą go poczęstował, a Emil, bądźcobądź, nie chcąc go zrażać, wziął w palce szczyptę zielonego proszku, który obiecywał sobie zręcznie wysypać na ziemię.

— Wiele to lat temu będzie — począł Pinkus — jak się oni tu osiedlili, nie dobrze pamiętam. Musi chyba być do dziesiątka.

Pomyślał trochę.

— No, tak—będzie do dziesiątka—ciągnął dalej.—Jak oni to nabyli od panów Goglewskich, nie wiem, ale zdaje się, dobrze zapłacić musieli i mieli dosyć pieniędzy, bo trzeba było się budować, od pierwszego kołka poczynając, a to wszystko kosztuje. Dwóch parobków przyprowadziła z sobą ta kobieta.

— Cóż to za kobieta?—spytał Emil.

— A kto ją może wiedzieć? — uśmiechnął się żyd—prosta chłopka, zdaje się, tyle tylko, że musiała być niegdyś piękną. Ale zupełnie nieokrzescana wieśniaczka—ani czytać, ani pisać. W dodatku dumna, zła, niecierpliwa i nieprzystępna.

— Zkąd-że się tu wzięła?

— I o tem trudno się dowiedzieć, ale, z mowy miarkując — dodał Pinkus — albo z Podola albo

z Ukrainy być musi, bo i ubiera się jak tamtejsze chłopki. w bekiesze jakieś, buty i chusty.

Splunął pogardliwie.

— Dwóch parobków, jeden starszy, drugi młodszy. baba do kuchni,—tyle całej ludności w Rusi-nowym Dworze. Czasem sobie przyjmuje robotnika.

Pomyślał nieco żyd. — No—dorzucił,—czasem też do tej jejności dojeżdża jakiś krewny, czy powinowaty, czy kto go wie, co on za jeden, który jej w gospodarstwie dopomaga.

— A któż to taki?—podchwycił Paczuski, który uczuł, że trafił na trop pożądaný.

— Ja jego nie widziałem — odezwał się żyd—ale ludzie powiadają, że także musi być prosty chłop. bo z parobkami razem pracuje, drzewa rąbie, w pole chodzi. i. choć im rozkazuje, ale się za lepszego od nich nie ma...

Ot—i całe ich gospodarstwo na kolonii tej — rzekł Pinkus w końcu.—Jest z czego żyć, na tych kilku włókach, ale wielkich rzeczy się tam nie dorobi. Mówią, że u nich chłopski dostatek jest, że im na niczem nie zbywa... ale czy im wiele potrzeba?

— Daleko to od miasteczka?—spytał zaciekawiony Paczuski.

— Piechotę—rzekł Pinkus—będzie do dwóch godzin... albo-by pan był ciekawym zobaczyć?

— Bądźcobądź, chcę się rozpatrzeć w okolicy—  
odparł Emil..

— Ja panu dam do tego człowieka jedyne go.  
co najlepiej wszystko pokaże i objaśni — szepnął  
Piukus—ale szczerze powiedziawszy. jak ja pana  
widzę. choć honoru jego nie znam (*sic*), mnie się  
nie zdaje, żeby pan na takiej kolonii miał gospodarować..

— Różnie się po świecie dzieje—pocihu. spn-  
szczając oczy, odparł Paczuski—czasem człowiek  
musi chwycić się sposobu życia. nawet takiego.  
który mu najmniej smakuje.

Przeciwko temu gospodarz nie miał nic do za-  
rzucenia: prawda była zaczerpniętą z ogólnej  
skarbnicy mądrości narodów.

---

Przyobiecany przewodnik, który miał Paczusiemu dopomóc do poznania się z okolicą, stał się jeszcze tego samego wieczora do niego.

Typy podobne wśród ludu nie są u nas rzadkie, chociaż barwy rozmaite przybierają.

Jacuś Suszka rodem był z samego Garwolina i pochodził ze starych mieszczan tutejszych. posiadaczy kawałka ziemi. na której od wieków gospodarowali jako rolnicy. a obok tego rozmaitemi się zajmowali rzemiosłami. Mieszczanin u nas prawie wszędzie był tą istotą pośrednią pomiędzy wieśniakiem a właściwym mieszczuchem, który już ani się znał ani mieszał do roli.

Gdy inni Suszkowie, pozostawszy wiernymi tradycjom rodowym, uprawiali teraz kawał pola, a obok tego bawili się ciesielką. Jacuś, zawczasu poczuwszy w sobie bardziej przedsiębiorczego ducha. rolę porzucił i. na głowę i ręce własne



się spuściwszy. postanowił innemi drogami iść do szczęścia.

Ale najpierw spójrzmy na Jacusia. jakim się się przedstawił p. Emiłowi. po latach długich walki z losem, dobiwszy do portu. z którego trudno przypuścić było. aby znowu na morze rozbujających fluktów mógł wypłynąć.

Jacus. jak jego zdrobniałe imię wypowiadało, był człowiekiem lat może sześćdziesięciu. małego wzrostu, z twarzą brunatną. spaloną, pomarszczoną. jak jabłko zimowe. w której mały nosek zadarty. szerokie bardzo usta i dwoje ocząt głęboko utkwionych. składały fizioznomią niby uśmiechniętą. trochę trupią główkę przypominającą. Włos mu już mocno szpakowaciał. Czoło w fałdy grube się marszczyło. zębów w ustach. gdy je otworzył. niewiele widać było i to rozsianych dziwnie. u dołu i u góry, jak słupy wylamanego płotu.

Prawdziwa, czy sztucznie wymożona na sobie wesołość, ożywiała to lice, nie piękne, ale nie głupie.

Strój był bardzo skromny: kapota wyszarzana. jaką mieszczanie nosić zwykli. buty stare i wykoszlawione, a nakrycie głowy stanowił słomiany prosty kapelusz, czerwoną wstążką przepasany. W ręku miał kijek. który w kącie postawił,

skłoniwszy się i pozdrowiwszy Paczuskiego pochrześcijańsku.

Historia Jacusia była dosyć ciekawą, lecz podobnych wiele się błaka po naszym świecie. Był Jacus cieślą, stolarzem, nauczył się czytać i pisać. próbował służyć jako oficjalista. mówiono, że jakiś czas pełnił obowiązki zakrystyana. Grał na skrzypcach, miał z biedy pomalować bryczkę—powoził w potrzebie i furmanił—ale to wszystko mu się nie wiodło. Oprócz tego—polyhistor swojego rodzaju. mało było rzeczy na których-by według własnego przekonania się nie znał, którym-by nie podołał. Rwał się do wszystkiego.

— Ja to, panie, w lot zwędruję! — zwykł był mówić.

I wędrował tak, że zawsze w początku mu się niby wiodło. a w końcu musiał rzucić każde zajęcie, bo godnem siebie go nie uznawał.

Jacus należał do ogromnej u nas liczby ludzi—do wszystkiego i do niczego, zdatnych i niezdatnych. Tam, gdzie podział pracy, jak w rozsypanych po kraju naszym rzadko osadach, nigdy się nie dokonał. nadzwyczaj wielu musiało, zamiast jednemu się poświęcić powołaniu, być gotowymi wszystko poczynąć, czego wymagały okoliczności. Nasz wieśniak prawie każdy potrosze jest takim Jacusiem. W potrzebie lata chomąta, naprawia buty, stawia piece. wyciosze stół. Robota może

być niewiele warta, ale i taka czasem jest niezbędną. Tam, gdzie się to dzieje, rzemiosła, naturalnie, do wielkiej doskonałości dojść nie mogą; ale że na wielostronnem takim kształceniu się zyskuje intelligencya jednostki — to nie podpada wątpliwości.

Dlatego nasz chłopiek i mieszczanin wogóle roztropniejszy jest, poradniejszy od mieszczanina niemieckiego, doskonałego w swoim fachu, ale poza nim nieznającego nic i niemogącego sobie dać rady, gdy go los wyrzuci, jak kółko z maszyny.

W ciągu nadzwyczaj ruchomego i rozmaitego żywota Jacns dotykał ludzi, stanów, powołań różnych, chwycił wszędzie potrosze czegoś — do niczego nie doszedł — ale humoru, odwagi i wiary w siebie nie stracił. Dowodził zawsze, że — z pozwoleniem — tylko durniom i niepocziwym wiodło się na świecie. Siebie nie miał ani za pierwsze, ni za drugie...

Do charakterystyki Jacnsia należało, iż niepomiernie obfitą i łatwą miał swadę. Mówił daleko lepiej niż robił, lubił gadać, był niewyczerpanym, i pocieszał się w biedzie wymową. Tę i ludzie cenili, a Jacns w gospodzie, przy kieliszku, którym nie gardził, chociaż nigdy się nie upijał — był nadzwyczaj miłym i wszędzie pożądanym gościem. Bywalec — nietylko prawie cały

kraj przebiegł niegdyś i dobrze właściwości miejsc pamiętał, ale parę razy wyrwał się za granicę. gdzie mu się wcale nie podobało.

— Niema panie, jak u nas—zwykł był mawiać— a te tam wielkie rzeczy, o których powiadają za granicom — to wszystko blichtr... Jak Boga Kocham!...

Przedstawiony przez Pinkusa, który natychmiast wyszedł zostawując go samnasam z Paczuskim, Jacuś począł najpierw od nadzwyczaj pilnego badania p. Emila. Nie uszło nic jego oka, od stroju do tłumoczek, a jaki wniosek wyciągnął z niego?—trudno było odgadnąć.

Ręce z kapeluszem założywszy na plecy, Jacuś stał, oczekując interpellacyi.

— Pan Pinkus mnie tu zarekommendował— rzekł w końcu, widząc, że Emilowi trudno się na nią było zebrać—na usługi pańskie... Jestem tu teczny.

— Zechcesz mnie więc może poinformować— rzekł Paczuski, kłamiąc jak przed gospodarzem.— Mam zamiar tu kawałek ziemi kupić—he!

Jacuś się potarł po głowie.

— Tche — odparł — nigdy nie można przewidzieć, co komu się poszczęści albo nie uda. Tak i to... ale tu ziemia...

Nie dokończył.

— Jednakże Pinkus mi powiadał, że kolonie

się małe trafiają—dorzncił Paczuski—ot, jak Rusinowy Dwór. No — i ludzie się na nich trzymają...

Jacusz pomyślał.

— Proszę jegomości—rzekł dowcipnie—ja raz w życiu widziałem siedzącego na wierzbie zająca. No—i siedział... Psy go napędziły, wierzba była pochyła... no -i salwował się na nią.

Rusinowy Dwór — to trzeba znać — dodał i splunął.

— Napił-bys się waćpan czego?—spytał Emil.

— Jeżeli łaska pańska, kieliszeczek jeden. nie jestem od tego...

Paczuski otworzył drzwi i zawołał o wódkę. Podano ją, a Jacusz, wychyliwszy — za zdrowie jegomości, chrząknął i odezwał się:

— Rusinowy Dwór trzeba znać — ale tego, co oni tam, nikt nie dokaże... Kto ich wie. co to za ludzie?.. chłopiska... Sama dziedziczka, pożałuj Boże, prosta. gburowata, chamska córka... choć jej na niczem nie zbywa — ale dlatego przedzie i pierze, i z ogrodu ziele gotowa nosić. Więc co to dziwnego, że im tam na tym ziemi kawałku, jakotako się powodzi? Nie każdy zechce pójść za pługiem...

Ruszył ramionami.

— Widziałeś asan kiedy tę kobietę? — spytał Emil.

— Zdaleka. alem z nią nigdy nie gadał, bo ona do rozmowy nie skora—rzekł Jacuś—mruży pod nosem, i to porusińsku tylko, pochłopsku, na nikogo ani spojrzy, o ludzi nie dba.

— Stara jest?

— A! nie młoda, pewno lat ma pod sześćdziesiąt, chociaż zdrowo wygląda i piękna być musiała—mówił Jacuś — Tylko z nią żyć nie zdrowo pewno, bo ino lajać i sprzeczać się lub i gryzie siebie i drugih... Tak powiadają. Ona i jej ludzie do nikogo nie przystają, —z nikim nie żyją. Wezmą najemnika czasem: to mu dobrego słowa nie dadzą. Dzicy wszyscy.

— Pinkus mi powiadał —dorzucił Emil—że tam jeszcze kogoś do pomocy ma baba... który do niej czasem przybywa i przesiaduje. — Któż to taki?

— Musi taki, jak oni tam wszyscy— rzekł Jacuś—choć z twarzy niby lepiej od nich wygląda. Niewiadomo, zkąd on przyjeżdża, a gdy tu siedzi, to gospodaruje i pracuje z nimi. A babę szanuje, jakby panią jego była.

— Widziałeś go?—dolożył Emil.

— Też zdaleka tylko — rzekł Jacuś, bo i ten dziki jest—nie rad z ludźmi żyć. Oni tu wszyscy jakby na wyspie siedzą i znać nie chcą nikogo.

— Osobliwi ludzie!

— Pewnie—odparł Jacuś.

— Radbym tę kolonią zobaczyć — odezwał się po chwili Paczuski.

— To czemuż nie?—żywo dokończył stary—pojedziemy jutro i zbliżymy się do niej. Tylko zachodzić tam niema sposobu: naprzód, że psiska takie trzymają, iż się im człowiek nie opędzi: potem, że nikogo pocziwie nie przyjmą, choćby kto tylko napić się chciał n studni. Ale bndynki i gospodarstwo może pan obejrzyć.

Na tem rozmowa się o kolonii skończyła, a Jacuś począł prawić o sobie, okolicy, sąsiadach, ziemi do sprzedania i długo mn się gęba zamknąć nie mogła. Wkońcu, gdy już późno było, umówiono się o ranną bardzo nazajutrz godzinę, dla pieszej ku Rnsinowemu Dworowi wycieczki.

Jacus odszedł, wcale Paczuskiego nie zrozumiawszy, a Emil, zmęczony i znudzony, niemal żałując, że się wdał w tę sprawę, położył się spać głodny, znajdując, że nawet na polowaniach po wsiach, nigdy nie próbował tak niegodziwego siennika.

Ranek, choć nieco mglisty i oparny, obiecywał dzień pogodny. Paczuski, niemogąc przełknąć przyniesionej mu kawy, musiał kawałkiem chleba i wódką śniadanie zakończyć.

Jacuś, w doskonałym humorze, z torebki, którą miał na sobie, dobywając rozmaite przysmaki, do których przyprawy wchodził czosnek i sol, kro-

czył tuż za panem. rozpowiadając mu historią wszystkich domów Garwolina, jakie mijali.

Niewiele to obchodziło Emila, który słuchał roztargniony. bo myśl jego zaprzątnięta była, nie tylko Horpińskim i tajemniczą kolonią, ale niegodziwą wieczerzą wczorajszą, gorszem jeszcze śniadaniem dzisiejszem i perspektywą głodu, ntrapien. przechadzek pieszych, do których ani nozi jego, ani obuwie nawet przyzwyczajonem nie było. Tymczasem zabierało się na to, że do Rnsinowego Dworu parę godzin gorącego dnia, po piasku, w pyłe kroczyć mieli, a jako jedyna osłoda przechadzki nienstająca paplanina Jacusia się obiecywała.

Paczuski chwilami tracił mężstwo, ochotę, i gotów był zawrócić do Garwolina, wziąć pocztę, wyrzec się wszystkiego i powrócić do Warszawy; tylko niezmierne rozjątzenie przeciw Horpińskiemu sił mu dodawało.

Za nim i przy nim idący Jacus ciągle mu coś pokazywał i opowiadał. Droga, po godzinnej już przechadzce, skręcała nieco wprawo i zwracała się ku wcale ładnie wyglądającej wioseczce.

Było to coś małego i drobnego, ale uśmiechniętego zalotnie i wyglądającego na gniazdeczko dla dwojga gołąbków. Na pagórku stał skromny domek, w stylu niby szwajcarskim wystawiony, schludny, świeżuchny, obwieszony pnąciami się ro-



ślinami, otoczony zielenią żywą trawników i kwiatami. Poza nim ogród drzew starych, cienistych, stanowił tło, na którem budowla ta i otaczające ją malowały się, jak na dobrze skomponowanym obrazku.

Mimowolnie, przymusową przechadzką znużony już, zmęczony Pacuski, spojrzawszy na tę miłą, chłodną siedzibę, w duszy pozazdrościł jej mieszkańcom, wyobrażając ich sobie szczęśliwie, spokojnie zasiadających do obficie, czysto, smaczno zastawionego śniadania.

*Hoc erat in votis!* Pieszczoł nie znosił głodu, nie przywykł był do niego. Gościńiec, którym szli, zwróciwszy się poza płotem ogrodu, siedł dalej skrajem jego, ale tu już nie płot go od pola oddzielał, tylko głęboki przekop, w którego głębi ukryty był częstokół, tak, aby widoku nie zasłaniał.

Oko mogło sięgnąć w głąb ślicznie utrzymanego ogródka, w którym letnie kwiaty, w niezmierniej obfitości pod klombami rozsiane, zdrażały pielęgnującą je rękę kobiecą.

Wśród zielonych kobierców przewijały się ścieżki misternie prowadzone, nad którymi stały drewniane i kamienne ławki i stoliczki.

Pacuski wpatrywał się z niezmierną ciekawością w ten kątek tak malowniczy i siedł samym brzegiem przekopu, gdy zpośród drzew, na drn-

giej stronie. ukazała się postać kobieca, w ran-  
nym stroju. w kapeluszu słomkowym. z książką  
w ręku.

Figurka ta niewieścia. tak przypadała do kraj-  
obrazu, iż zdawała się do niego stworzoną. Pa-  
nienka czy pani. trudno to było rozstrzygnąć, by-  
ła nie wielkiego wzrostu laleczką, tak zręczną,  
tak kształtną, jakby ją na tle drzew jakiś Cha-  
plin wymalował. Biała, różowa. z włoskami blond.  
z buzią małą koralową. należała do tych zjawisk  
kobiecych. które coś w sobie mają dziecięcego i  
motylkowego. Powagi w niej próżno było szukać,  
ale za to wdzięk od stóp do głów ją opromieniał.

Wielkimi, niebieskimi oczyma, stanąwszy tuż  
naprzeciwko Emila. wpatrzyła się w osłupiałego,  
i z ust jej wyrwał się wykrzyknik:

— Pan Emil!

Razilo go jak piorun to pochwycenie *in flagranti*,  
w stroju wcale nie do zaprezentowania się tak  
ładnej pani, pieszo na gościńcu, z dosyć podejrze-  
nie wyglądającym towarzyszem—i. wśród wycie-  
czki. z której się wytłómaczyć było koniecznością  
razem i niemożnością. Paczuski stał długo i nie-  
wiedząc: czy mu nie wypadało nciekać—i zwolna  
dopiero podniósł kapelusz, jakby teraz nareszcie  
poznał, znajomą zdawna sobie z Warszawy, żonę  
a teraz wdówkę po przyjacielu serdecznym, panu  
Bończy.

Pani Bończyna lub, jak ją pospolicie zwauo Bouńcza, od dwóch lat już była wdową, a nie żyła z mężem uad rok jeden. Emil Paczuski, wybierając się w okolice Garwolina, zupełnie był zapomniiał. iż Brzózki. majątek nieboszczyka. Tadzia Bończy, leżał w tej stronie.

Śliczna wdówka, która miała czas opłakać męża. znaną była i w Warszawie z dziecięcej swej wesołości, dobroci i miłości swobody. Żyła ona tu z matką i głośzono powszechnie. że wcale za mąż iść nie chciała. Miała własną wioskę i Brzozki dożywociem po mężu.

— Na Boga! co pan tu robisz! pau! tu tak rano! Sam jeden pieszo! Przypadek jakiś.

Gdy wdówka tak żywo mówiła, posunąwszy się aż na sam skraj przekopu. Emil miał czas namyśleć się. jakim kłamstwem się wywinie.

Jacuś z odkrytą głową stał za nim. milczący.

— Ale, mów-że pan, mów. szczebiotała pani Bończa—umieram z ciekawości! Co to za awantura?

— Najprostsza rzecz w świecie—z przymuszonym usnuiechem odezwał się nareszcie Paczuski.—Nie wiem czy paui zna moję namiętność do myśliwstwa.

— Pierwszy raz o niej słyszę!

— Chciałem się rozpatrzyć w okolicy, czybym nie mógł nabyć kawałka ziemi i lasu do polowa-

nia, gdziebym i sam użył przyjemności i przyjaciół czasem zaprosił.

Wdówka słuchała, widocznie zdziwiona i niedowierzająca.

— Gdzież pan się zatrzymałeś?—zapytała.

— A! w Garwolinie!—mruknął Emil.

— I pieszo puściłeś się tak...

Paczuski nie dał jej mówić, przerywając z uśmiechem.

— Zdawało mi się, że nie będzie tak gorąco—chciałem spróbować...

Pani Bończyna zaczęła się śmiać.

— Jadłeś pan śniadanie?—zapytała. — Rada-bym go zasekwestrować... My tu z mamą żyjemy tak samotnie... Wstąp pan na chwilę.

Paczuski się wahał.

— Bardzo proszę: wstąp..... każe pręciuchno zrobić coś, aby pana odżywić. bo z Garwolina. wątpię. abyś wyszedł zbyt przesycony. Miejsco-wa restauracya. jak mi opowiadano. nie odznacza się przysmakami.

Paczuski spojrział zukosa na Jacnsia, który slinkę połykał. Bończyna nalegała.

— O trzy kroki jest furka—zawołała.

— Ale mój strój...

— A! na wsi — *le plus simple appareil* wystarcza!—rozśmiała się piękna pani i skinęła, ukazując stronę, w której furka znaleźć się miała.

Paczuski nie rozmyślał już. Było mu to nie na rękę po części. ale razem miał to za opatrnościowe zrządzenie, iż mu się ludzkie śniadanie na drodze tak cudownie trafiało.

Jacuş. dobrze znający dwór w Brzókach i gościnność gospodyni. ocierał usta brudną ręką. marząc także o przyjęciu na folwarku lub w kuchni. które mu się uśmiechało.

W furtce czekała już wdówka, która podała wesoło rękę Paczusiemu, wzięła go, jak jeńca wojennego, i poprowadziła ku domowi.

Może rada się była przed Warszawianinem swoją śliczną rezydencją popisać. Wiodła go bardzo umiejętnie. wybierając ścieżki, z których coraz inaczej, a zawsze bardzo ładnie wydawał się domek wyelegantowany i zalotny.

— Patrz-że pan—mówiła ożywiona—jak ztąd ślicznie widać mój domek! O! bardzo maluchny. skromniutki, wiejski, ale — caceczko! Ja go tak kocham!...

Z tej strony. patrz pan: ten ganeczek cały okryty glicyną i klematysami... Glicyny już przekwitły... niestety!... a ta sadzaweczka, która błyszczczy zza drzew ciemnych...

Tak milcząc i słuchając jej dźwięcznego szczebiotania. Paczuski dosyć zmieszany, nadrabiając humorem, zbliżył się do dworku. Nagle gospo-

dyni, doprowadziwszy go do werendy, wyrwała mu rękę.

— Siadaj pan tu—rzekła — przewodnik niech sobie w kuchni odpocznie, a ja pójdę mamę uprzedzić, że mam gościa, którego złapałam na gościńcu.

To mówiąc, wybiegła a Emil miał czas zaledwie poprawić ubranie. gdy już powróciła nazad.

Śniadanie natychmiast miało być gotowe i mama, pani sędzina także.

Zacna ta kobiecina od lat już wielu po ciężkiej chorobie z krzesła się nie ruszała i wożono ją z niem po pokojach. Była, pomimo to, ożywioną, miłą i w sąsiedztwie ukochaną. Zawsze od rana ubrana bardzo starannie, z nieodstępną pończoszką w rękę, z łagodnym uśmiechem, albo z modlitwą na ustach, wiodła życie przy córce, nie skarżąc się, nie narzekając, prawie szczęśliwa.

Gdy Paczński z gospodynią wchodził jednymi drzwiami do jadalni, drugimi wtaczało się już krzesło pani sędziny, której go Bończyna przedstawiała jako przyjaciela nieboszczyka Tadzia.

Paczński, któremu w towarzystwie nie zbywało na wymowie i humorze, tym razem musiał się starszszce wydać bardzo dziwnym, bo nie mógł długo wszystkich władz swych odzyskać. I on jak sparaliżowany wyglądał.

Rozmowa, naturalnie, poczęła się o Warszawie,

o wspólnych znajomych; Emil ze swej strony wychwalał śliczne położenie i urządzenie Brzózek.

— A! panie—odezwała się matka — wszystko to dzieło tej mojej drogiej—(wskazała na córkę). Nieboszczyk mało dbał o piękność, ona-to stworzyła i ten śliczny ogródek, przerobiła domek i nkwieciła. wonią zapelniła ten kątek. w którym nam z naszą żałobą tak dobrze!

Bończyna krzątała się około śniadania—Paczuski korzystał z każdej chwili. aby dalszy ciąg popelnionego kłamstwa przygotować.

Nie było ono wielce prawdopodobnem, ale-wiele młodzieńczą fantazją tłómaczyć się daje.

Pomimo pośpiechu. z jakim śniadanie podać miano, upłynęła dobra godzina, nim ono na stół przyszło. Po garwolińskim poście, po podróży i znużeniu. wydało się ono Paczuskiemu bezprzykładnie smaczne i doskonałem.

Po kieliszku wina humor się zaczął odradzać.

Emil sam z siebie się śmiał, iż się tak niepraktycznie wybrał na poszukiwanie gruntów i lasów. ale szło mu, jak powiadał. o to, aby go nie obdar-to, chciał więc jaknajskromniejszą przybrać postać.

Pani sędzina pobłażająco znajdowała to rozumne.

W ciągu śniadania wdowa, opowiadając jeszcze

matce. jak była zdziwioną. niespodzianie zobaczywszy Paczuskiego. dodała:

— Myślałam. że mi się znowu tak przywidziało, jak wówczas. pamięta mama... gdy mi się przyśnił w parobku jakimś Horpiński.

Nazwisko to poruszyło Paczuskiego.

— Na Boga!—zawołał—cóż to było!

— A! dzieciństwo!—śmiejąc się, dodała matka.— Ta moja lubka miewa fantazyje... Zachciało się jej konno jeździć, niby-to gospodarstwo pilnować! At... dostała sobie spokojnego konia. sprowadziła siodło — no, i teraz tak śmiało harcuje na koniu. że mnie z okna, patrząc na nią, strach porywa. Za moich czasów kobiety lubiały patrzeć na zręcznych jeźdźców, ale same się do koni nie zbliżały.

Otóż w pierwszych dniach tych wycieczek na siwku...

— Ale ja opowiem sama—przerwała wdowa—zapuściłam się z moim towarzyszem. starym Wojtkiem dosyć daleko, aż pod grunta kolonii, która się zwie Rusinowym Dworem... Trzech parobków pracowało właśnie około roli. podjeżdżam do jednego z nich. podniósł głowę. patrzę... osłupiałam! Przysięgåłabym była, że... Horpiński. Pan znasz Sylwana Horpińskiego?

— Bardzo dobrze—mruknął Emil.

— Juściż nie mógł to on być, bo prosty chłop



Rusin jakiś się okazał. nic więcej; ale na pierwszy rzut oka, byłabym przysięgła, że to on był.

Zwiodło mnie to. że na widok mój i parobek się uląkł. a gburowato począł odchodzić. nawet czapki nie uchyliwszy. Wystaw pan sobie, że przez dui kilka Horpiński mi nie mógł wyjść z myśli.

Otóż dziś przyszła mi na pamięć ta historia, i sądziłam. że znówu się omylę. bo w skromnym stroju pieszaka, trudno było wistocie domyśleć się pana Paczuskiego.

Emil słuchał zadumany. W początku o mało się nie zdradził. lecz powstrzymał się szczęściem—i począł tylko rozpytywać o okolicę, a właściwie ową kolonią Rusinowego Dworu.

Stara pani sędzina, ciekawsza od córki, więcej o niej wiedziała.

— Pan Bóg wie. jacy tam ludzie mieszkają i dla czego się tu okupili i przenieśli, gdy z nikim ani się znają. ani żyją. Zdaje się. prości chłopci kędys z Rusi, sądząc z obyczaju i języka. Wszystkiego jest ich tam troje. czy czworo... pracują pilno koło roli — ale od mieszczan. od tutejszych włościan. od wszystkich tak uciekają. jak od zapowietrzonych. Nikt tam szklanki wody nie dostanie.

— Ubodzy są?—podchwycił Emil.

— O! wcale nie—odparła sędzina—przeciwnie,

mają ich za bardzo dostatnich. Gospodarstwo ma być doskonale: konie, wozy jaknajlepsze—do życia sobie niczego nie żałują, choć pono pochłopsku jedzą i piją, tak jak się odziewają.

Z zajęciem słuchał Paczuski.

Samapani, której nie bawilo opowiadanie o Rusinowym Dworze, wolałaby była pewnie pokazać jeszcze swój ogródek i domek gościowi—i pochwalić się niemi.—Emil musiał myśleć o odwrocie.

Ciekawość jego ułamkową powieścią sędziny, znowu żywo obudzoną została; chociaż wszystkie trudności zaspokojenia jej w sposób przyzwoity coraz mu jaśniej przed oczyma stawały.

Pani Bonczyna wogóle odradzała mu błąkanie się po okolicy, o której słyszała od męża, iż dla myśliwstwa wcale nie była ponętną.

— Pan tu nic nie znajdziesz—mówiła—darmo się zamęczysz tylko. Jabym proponowała zostać z nami na obiedzie — wieczorem się przespacerować do miasteczka, a potem powrócić do Warszawy i szukać polowania gdzieindziej.

Choć rada ta uśmiechała się Paczuskiemu, nie mógł jej przyjąć — chciał dotrzeć koniecznie do Rusinowego Dworu, zobaczyć go choć zdaleka. Opowiadanie wdowy było potwierdzeniem wszystkiego, o czem wprzód się dowiedział. Widział Horpińskiego, to nie ulegało wątpliwości: taje-

mniczy więc ten człowiek w istocie tu tygodniami z tymi prostymi jakimiś ludźmi przebywał.

Śledztwo już stanowczo to wykryło; pozostawało teraz dalsze jego prowadzenie, nierównie trudniejsze. Paczuski zamierzał znaleźć się nie spodzianie w polu oko w oko z przebranym w sukmanę Horpińskim, i pochwycić go tak na gorącym uczynku. Tymczasem musiał płac przyszłego boju opatrzyć, z Jacusiem się naradzić—kłamstwem jakimś swój pobyt tu pokryć. Czuł, że wziął na swe ramiona ciężar okrutny.

Przyszła nareszcie chwila pożegnania z ładną i miłą wdówką.

Emil, które ostatnie pół godziny wystawionym był na pociski jej oczów, uśmiechy ustek i zalotne minki, bo wdowa podobać się chciała, choć nic złego nie miała na myśli—poczuł się poruszonym, ujętym... niemal tak ładniuchną i świeżą wydała mu się jak Manusia, równie pojętą, a nie równie pojętniejszą, bo śmielszą w obcowaniu.

Błyskawicą przeleciało mu po myśli życie w takim ślicznem gniazdeczku, z taką miluchną istotą — czasem wycieczka do Warszawy, niekiedy odwiedziny u matki. Nie byłoby to prawie szczęście?

Emil, mimo młodości, był trochę leniwy; widok tego portu obudził w nim myśli spoczynku.

— Co mnie do Horpińskiego! Dla czego się

mam upierać przy Maniusi. jeżeli ona woli p. Leona?..

To pewna, że pożegnał Bończyę daleko czulej spoglądając jej w oczy, niż przy powitaniu, i prawie przyrzekłszy, że wstąpi wieczorem, jeżeli tylko tędy go nazad droga będzie prowadzić.

—Patrząc na nią, szepnął, wychodząc:—Nigdy by jej człowiek nie dał więcej nad lat dziewiętnaście, a ma pewnie dwadzieścia i parę! Wygląda jak panienka.

---

Pan Emil Paczuski już był powrócił ze swej wycieczki, z której żadnej innej nie odniósł korzyści nad tę, że się pani Bończynie przypomniał. Wstąpił do niej wieczorem na herbatę i aż do wnijscia księżycy pozostał na milej rozmowie, której sędzina, wcale się do niej nie mieszając, bynajmniej nie przeszkadzała. Pod Rusinowym Dworem nie widział nic, oprócz dwóch ludzi pracujących około pola. a podszedłszy bliżej wraz z Jacusiem, ledwie nadzwyczaj złym psom zdołał się opędzić. Cała gromada ich strzegła wrót tak zajadle, że niepodobna było pieszo zbliżyć ku dworowi.

Wróciwszy, Emil mało-co się nawet Szalawskiemu wypowiadał ze swej śmiesznej wędrówki.

Najpierw potrzebował dobrze wypocząć, potem namyśleć się, co czynić.

W Warszawie nie zastał już pani Bydgoskiej z córką, które na wieś wyjechały. Powiedziano, że pan Leon zakochany pociągnął za niemi.

Salon Zawierskiej stał pustką, bo i te panie na wieś uciekły. Miasto zaczynało się opróżniać i zamierać. Listy matki natarczywie wzywały Emila też na wieś. Stęskniona była za nim.

Paczuski wybrałby się był może do niej, gdyby podżegacz, niegodziwy Konrad, jednego dnia nie nadbiegł z doniesieniem, iż p. Syłwan Horpiński zniknął z miasta. Znaczyło to, iż być musiał niezawodnie w owym zaklętym Rasinowym Dworze.

Doskonały szpieg, jako wszystkie sługi. Konrad się nie mylił wistocie.

Horpiński, który miał własnego konia na stajni w Warszawie, zawsze gotowego na każde zawołanie, jednego ranka wyszedł ze swojego mieszkania, ubrany jak zwykle, wprost udał się do stajni, gdzie miał wierzchowca, siodło i mały tłumoczek—okrył się lekkim płaszczykiem od pyłu—niepostrzeżony, przerzynając się małemi nliczkami, wysnął się z miasta, dostał za Wisłę i kłusem ogromnym puścił się ku Garwolinowi.

Droga ta musiała mu być doskonale znana, gdyż, pomijając gościniec wielki, na którym mógł się z kim spotkać, jechał małemi bocznemi ścieżkami. a koń i on chwili się nie potrzebowali nad ich wyborem namyslać. Syłwan był jeźdźcem doskonałym, takim, jakim u nas bywa młodzieź, co poczyną od dosiadanania oklep koni, na które ją

podsadzać muszą woźnice, a potem już najszaleszych się nie obawia; jechał jak przyrosły do siodła, a długa podróż bez wypoczynku wcale go nie nużyła. Koń też był do niej dobrany i z jeźdźcem obyty. Szedł za nim, gdy zsiadł. kierowania nie potrzebował. zdawał się myśli zgadywać, przyspieszał lub zwalniał kroku, stosownie do natury gruntów, które przebywał. Zamyślony cały w sobie Sylwan Horpiński—jechał, wypoczywając mało i krótko po najlichszych karczemkach, a na popasie najczęściej ograniczając się kawałkiem chleba, cygarem i książką, którą dobywał z kieszeni.

Niczyjej posługi nie potrzebował około wierzchowca: sam go poił, czyścił i siodłał. Zajęcia te zdawały mu się nie obcemi i szły bez najmniejszej trudności.

Pomiąwszy umyślnie miasteczko, Horpiński prawie bez drogi, naprost pojechał ku Rusinowemu Dworowi. Był wieczór, powietrze duszne, gorąco wielkie, ale wicher rozpędzał chmury i deszczu się spodziewać nie było można.

Rusinowy Dwór wyglądał zdaleka smutnie, jakby turemna jakaś zagroda. opasany wysokim częstokołem, zpoza którego mało co drzewka młode, niedawno posadzone, w górę się wybijały.

Dachy budowli wewnątrz ogrodzenia stojące zaledwie nad nie się podnosiły. Cisza panowała

dokoła. przerywana tylko szczekaniem i ujadaniem psów zamkniętych we dworze. które najmniejszy szelest budził i niepokoił.

Zobaczywszy dwór zdala. Horpiński koniowi zwolnił kroku. jakby mu nie bardzo było pilno dostać się tutaj. Ręce skrzyżował na siodle, głowę zwiesił na piersi—dumał. Niekiedy oczy jego zwracały się na zagrodę i spadały. znużone, na ziemię.

Koń idący stępią, zbliżać się zaczął nareszcie ku wrotom i parę razy zarżał wesoło. Wtej-że chwili gwałtowne szczekanie. ujadanie psów z wioski dały się słyszeć od wrót i mogło się здаwać, że psy tłuką się o nie zniecierpliwione.

Wrota stały zamknięte jeszcze. Koń. zbliżywszy się do nich. rżał głośno i nogą kopać począł ziemię. Przez furtę ukazała się nakrótka twarz wąsata i natychmiast skrzypnęły wrota. Cała gromada psów wysypała się naprzód przez nie.

Musiała to być psia rodzina, gdyż wszystkie były do siebie podobne. różniąc się tylko wzrostem i wiekiem. Zaledwie ukazał się koń. gwałtowne szczekanie ustało, a psiska zaczęły tylko ujadać radośnie. podskakując do nóg Horpińskiemu i ciesząc się jego przybyciem. Parobek stary, w szerokiej. na ramiona narzuconej siermiedze. pozdrowił go niskim pokłonem.

Wnętrze zagrody inną miało fiziognomią, niż



wszystkie dworki w tych stronach; widoczny był wszędzie jakiś obcy obyczaj w budowaniu, w rozporządzeniu zabudowań. w sprzętach gospodarskich. będących na widoku.

Dwór — chata dosyć duża, z małemi bardzo oknami, pokryta kalenicą. niczem się nie odznaczała. oprócz, że gospodarskie przybory ubierały go dokoła. Na płotach schły hłodyse, o ściany oparte stały neculki i drewniane naczynka. Na kołku pod dachem zawieszono trochę z pola już wyrwanej kukuruzy. Kury, gęsi, kaczki uwijały się około progu.

Innej troski, oprócz o gospodarstwo, znać i widać nie było. Za dworkiem, który miał mały ganeczek wpół człowieka, obity deskami, zieleniał niedawno zasadzony ogródek, ale owocowe drzewka w nim młode były jeszcze i mizerne.

W prawo i lewo siedziały w części z chrustu plecione, częścią z opilków zbudowane szopy, stajnie, obórki i składy, a przy nich rozrzucone narzędzia rolnicze, brony, radła. pługi, wozy kute zajmowały plac dość obszerny.

W chwili gdy Horpiński wjeżdżał w dziedziniec. na progu w ganku ukazała się stara baba w szarej koszuli, w chuście na głowie i fartuchu, spojrziała ku wrotom i znikła.

P. Sylwan, zamiast do głównego wnijscia, skierował się ku rogowi przeciwnemu domowstwa,

a za nim pobiegł żywo parobek, który mu otwierał.

Tu były drugie drzwi, stojące otworem. Horpiński zsiadł z konia, który, nie czekając, aby go wzięto, zawrócił się sam ku stajni.

Sylwan z sionki małej wprost poszedł ualewo, i znalazł się w izbie dość obszernej, czystej, o jednym oknie od dziedzińca. Nie było tu nikogo.

Komin, piec prosty, duża ława przy ścianie, stół na nogach krzyżowych, tapczan z siennikiem, okrytym jakąś skórą, i duża niemalowana skrzynia—były jedynym sprzętem tego mieszkania. Podobne one było do izb czeladnych na folwarkach wiejskich.

Zaledwie wszedł tu Horpiński z rodzajem niecierpliwości, którą trudno-by sobie ktoś obcy mógł wytłómaczyć, zrzucił natychmiast płaszczyk i odzież wiejską—wszystko aż do koszuli. Otworzył skrzynię i dobywszy z niej bieliznę i odzież, począł skwapliwie się przebierać, uaprzód w szarą, grubą bieliznę, potem w chłopską rusińską siermięgę, buty i t. p.

Włosy nawet zarzucił na tył inaczej, niż nosił zwykle. Dokończywszy tej metamorfozy, jak prosty już parobek, nieokrywszy nawet głowy, żywym, pośpiesznym krokiem, wzdłuż chaty poszedł ku gmachowi. Nikogo tu teraz nie było. Psy,

które towarzyszyły koniowi i panu do pierwszych drzwi. łaszcząc się i podskakując, pobiegły za Sylwestrem do ganku. Tu, nieprzywykłe snadź aby je puszczano do wnętrza chaty, zatrzymały się naszczekując wesoło.

Na twarzy Horpińskiego bladej, smutnej. widać było jakieś dziwne wzruszenia. oczy jego biegały niespokojnie.

Z sieni dwoje drzwi prowadziły na lewo i na prawo; Sylwan poruszył klamkę i wszedł do izby na lewo. Tu czekała na niego o parę kroków od progu kobieta słusznego wzrostu, z siwiejącymi włosami, twarzy rysów jeszcze pięknych, ale jakąś boleścią i wyrazem rozpaczliwym napiętnowanych. Pomimo wieku trzymała się prosto, głowę podnosiła dumnie, a ubranie jej wieśniacze, ukraińskie, było świeże i nawet z pewnem staraniem dobrane. Bielizna, fartuch, żółte buciki, lekka bekiesza narzucona na ramiona, była z cienkiego sukna i staroannego kroju. pasek obejmujący kibić był z jedwabnych nici. Na szyi kilka różnych pasemek korałi i paciorek, ozdobione były medalikami i krzyżykami. Z tych jedne były szczerzo-złote, inne najgrubszego wyrobu, mosiężne. Chusta na głowie, jaskrawych barw, miała cechę wschodniego towaru.

Tak przybrana kobieta owa miała niezmiernie oryginalną fiziognomią i zdawała się skradzioną

z jakiegoś obrazu południowej słowiańszczyzny. Twarz niemłoda, opalona, rysów delikatnych i dziwnie regularnych. z siwiejącemi bujnemi włosami. czarnemi oczyma pałającemi—miała dumę królewską na sobie. Czuć było w niej panią, choć ubiór oznaczał włościankę.

Sylwan. zobaczywszy ją. rzucił się do białych rąk, które wyciągnęła ku niemu. Z namiętnym wyrazem pochwyciła go za głowę, przycisnęła ją do piersi i długo puścić od siebie nie chciała.

Pierwsze wyrazy. jakie się z ust jej wyrwały, i cała rozmowa ludowym małopolskim prowadzona była językiem.

— Tom czekała—czekała — oczym wypatrzyła za tobą Seliwanie — poczęła głosem śpiewnym, jakby nawykłym do nucenia tęsknych piosenek. Serce tam twoje przyrosło! Lepiej ci już wśród tych obcych Lachów i ty sam się zlaszyłeś!

Sylwan nie odpowiedział nic. błagając spojrzał na nią i wzrok ten na chwilę zamknął jej usta. Pogłaskała go po głowie i wskazała mu ławę, a sama poczęła się po izbie przechadzać krokiem poważnym, przechylając i wyginając jakby temi ruchami ulżyć sobie chciała i uspokoić się. Niekiedy białą ręką białą gładziła czoło, tarła oczy. Stała naprzeciwko Sylwana, który usiadł i podpierał się na stole.

— Na długo?—spytała.—I nim miał czas odpowiedzieć. poczęła coraz głośniejsze i namiętniejsze:

— Ja-byłam cię tu chciała mieć zawsze—ale jak ptaka w klatce utrzymać? Każdemu swoboda miła. Tobie potrzeba ludzi — tylko ja jestem skazana na wieknistą samotność i tęsknienie.

Przyjdą dni jaśniejsze. gdy cię mam, przeleć jak błyskawice. i znowu mrok i cisza—i pustka i mogiła.

Sparła rękę na dłoni. na niej głowę pochyloną. i wpatrzywszy się w Horpińskiego, pozostała chwilę nieruchomą.

— Skarżycie na mnie słusznie. matulin — odparł cichym głosem Horpiński — a któż winien żeście mnie na panicza wychowali—nie na parobka, jakim być powinienem.

— To on! to on! nie ja — podchwyciła gorąco matka.—Ja? jabym była cię nie puściła z domu, nie dała zlaszyć i wystroić na lalkę. nczyć szczeniaka i mędrować — to on! on winien wszystkie-mu: mojemu i twemu nieszczęściu.... naszym losom.

Obiecywał wiele—a potem... poszła precz Horpyna... a dzieciak został bezdomnym sierotą.

Milczeli chwilę.

— Nie oskarżaj go, matko—przerwał Sylwan łagodnie—lepiej on jeszcze dla nas był, niż inni

podobni jemu. a dziś. dziś dawno grzeszne ciało oddał ziemi. a duszą stanął przed Bogiem.

Lice kobiety zarumieniło się jakimś ogniem wewnętrznym, wargi zadrżały.

— Milcz!—zawołała — nie broń go! nie broń. Tyś może także taki. jak on... gładki i słodki a zimny i okrutny, jak żmija. Tyś do niego podobny. Gdy patrzę na ciebie. sama nie wiem. czy ścisnąć czy odpychać. Kocham i nienawidzę ciebie. Moja krew w tobie, a twarz cudza. Wszystko wzięłeś po nim.

— Matusiu — przerwał Sylwan — mylisz się: wzięłem po tobie nienawiść oszukaństwa, obłudy i kłamstwa—i tych ludzi. co niemi żyją. Wzięłem po tobie miłość pola i pracy. ziemi i roli, i życia zdrowego pod niebem gołem.

Lepiej mi tu, niż tam, gdzie pół życia spędzać muszę. po twojej woli... Wszakże mnie wypędzasz sama, wszak żądasz. abym do nich powracał.

Stara potakująco głową skłoniła.

— A tak—rzekła—bo ja wiem, że ty masz jego krew. jego naturę i tobie tego. co mnie. nie starczył prędzej później, gdy ja się położę do zimnej mogiły—ty ztąd polecisz ptakiem do swoich i tam zapomnisz o mnie.

— Nigdy!—zawołał Sylwan silnym głosem.— Nie znasz mnie. matusiu... Prawda, żyję z nimi i oni mnie mają za swego—bo mnie wychowano,

nie na sierotę, ale... na panicza — ale mi najlepiej tu... gdy razem z naszymi parobkami idę w pole, gdy się w śmierć zamęcę, gdy miue wicher wysmaga i deszcz wypierze... gdy wieczorem powiocę do ciebie słuchać u ognia tęsknej ukraińskiej pioski.

Stara się wzdrygnęła.

— O! — rzekła — tej pioski nikt nie słyszał. komu ona nie brzmiała na szerokim stepie... Ona tu umiera bezdźwięczna, lecieć nie chce, bo nie ma do kogo. Pioski ta. jak ja — we łzy się rozplywa i jęki...

Otarła oczy. na których łzy błysnęły, westchnęła głęboko — kilka razy rzuciła głowę i — przypomniawszy coś sobie prędko, pobiegła do drzwi, wołając — Tatiano!

Za progiem zjawiała się starsza od gospodyni kobieta. której wiek i budowa krzepka nadawały mężski charakter. Rysy jej twarzy, poorane marszczkami głębokimi. grube, wyraziste. nic już w sobie niewieściego nie miały... Starość nie odjęła jej siły: poruszała się śmiało i żywo. Siwe oczy patrzyły chytrze, mądrze i bystro. Z wyschłą piersią, o grubych kościstych ramionach. z rękami silnemi, na których oplatały się żyły i mięśnie. stała, w bok się podparwszy, czekając rozkazu; chociaż jedna z nich była panią, druga

sługą. nic tego stosunku nie znamionowało. Jak równa jej. stała przed starą Tatiana.

Ruchem głowy zdala powitała ponfale Horpińskiego i zamruczała:

— A co?... co tobie?... Horpyno?

Stara wskazała ręką na siedzącego.

— Widziałam przecie, że przyjechał—odezwiała się Tatiana. — Wieczera się gotuje dla nas i dla niego.

— Ale on ma gębę popsutą — wzgardliwie do dała Horpyna.

— Nie — zawołał z ławy Sylwan — wiecie, że jem to, co wy, i nic innego tknąć nie chcę.

Dał znak Tatianie, która, głowę potrząsłszy. odeszła. Drzwi się zamknęły. Milczenie trwało czas jakiś.

Horpiński rozpytywać zaczął o roboty w polu: czy się poczęło żniwo, czy skończyła kosowica. czy matka była z parobków kontenta? Półsłowami zaledwie odpowiadała mu na pytania, a w głosie jej ciągle brzmiało jakąś burzą i tłumionym gniewem. Myślała o czem ianem. Widok syna budził wspomnienia. nspione namiętności. ukołysane niepokoje.

Horpiński próżno chciał myśli jej odwieźć od przeszłości.

Sama ona w ostatku. przemagając się. zwróciła się ku czemu innemu. Sylwan siedział przy



oknie, tak, że światło z niego padało mu na włosy. Młody jeszcze — poczynął siwieć ku skroniom.

Oko matki padło na te srebrne nitki i zwilżyło się łzą. Zbliżyła się, pochylając na głowę jego.

— A!—rzekła z boleścią — przed czasem tobie kwitną mogilne kwiatki. gdyś życia tylko piołunów się napił — dziecko ty moje... Tobie dawno potrzeba miłości, szczęścia, gniazda—a dla mnie i przez niego ich nie masz...

Wyrzecz się-bo mnie! ja nie chcę ci być kamieniem u szyi.

Horpiński pochwycił ją za rękę i całować począł w milczącym rozrzewnieniu.

— Nie mów tego, matko—odezwał się.—Dosyć ty łez wylałaś przez niego i dla mnie: ja ci dług święty płacę, a świat ten... ten... (wskazał palcem w dal)—o! nie nęci on mnie i nie pokusza...

Zamyślona stała Horpyna.

— Nie mów tego—zamruczała—nie kłam. Ja ich znam... kobiet tych gładkich widziałam dużo. Zdrada w nich i kłamstwo. ale urok mają wielki. Jest która pocziwa? — ja nie wiem!... Rodzą się może, jak dzieci Boże, ale zawczasu im psują serce w kolebce, a jak lirinikom, co mają śpiewać, wyjmują oczy, tak im. co mają zdradzać.—wylupują serce w końcu. A-no byś wziął którą. jak

zabawkę, i porzucił — niech-by płakała... Jabym się śmiała!

Powiedz—nie pokochałeś tam której?

Horpiński się zżymnął.

— Nie—rzekł sucho—i u mnie serce zawczasu wyszło... Dosyć było patrzeć na ciebie...

Matka pocałowała go w głowę i patrzyła w okno zadumana.

— On!... on—mruczała wpół do siebie sama—wszystkiemu winien... on!

Ścisnęła pięść; Sylwan ją pochwycił i całował.

— Matusiu—rzekł — ja jego winy zmuiejszać nie będę. Zgrzeszył on—ale żałował. Dla mnie przecież był ojcem dobrym, nie zapomniał i o tobie.

— Co?—rozśmiała się gniewnie kobieta — co? zasypał nas groszami, płacąc za wszystko złotem... jakby łzy można zapłacić, jakby ból można okupić, jakby serce, jak garnek pęknięty, można złotym drutem zszyć!

Sypnął garścią plew, bo u niego było dzieł jak plewy — co go to kosztowało? — a jam życie mu dała, i umrzeć nie mogłam, gdy czas był umierać.

Namiętnie ścisnęła syna i jeszcze namiętniej odepchnęła go od siebie.

— Ty, ty musisz go bronić—zawołała—więcej masz w sobie jego krwi, niż mojej. Podobnyś do

niego, jakby on żyw wstał z mogiły. Ty go nie możesz nienawidzieć i, jak ja, przeklinać.

— Matko!—przerwał Horpiński.

— Ha! wdzięczny chcesz być — podchwyciła stara—za co! że ciebie zrobił paniczem, abyś, chodząc po świecie z plamą na czole, nie mógł imienia ojca ni matki powiedzieć i musiał się ich zapierać.

A co twoje za życie?... a jaka dola twoja? Zgłodu nie umrzesz — na łakocie ci stanie. Chlebem i łakociami nie żyje człowiek! Serce ci wysycha, włosy siwieją—trucizna tej krwi cię zjada.

I ścisnęła go namiętnie raz jeszcze, a łzy polały się strumieniem z oczów i zaniósła się z płaczem. Sylwan obejmował ją, tulił, nieśmiąc już rzec słowa. Wtem, z grubym obrusem na ręku, weszła do izby stara Tatiana, zmarszczyła się, spojrzawszy na swą panią, rzuciła obrus na stół i silnemi rękami pochwyciła, odciągając od syna.

— Dość-bo tobie w te łzy się rozpływać — zawołała rozkazująco prawie.—Jeszcześ ich mało wylała!? Takie-to twoje męztwo, kozacze dziecko—co się niem czwanisz i chwalisz... W tobie już niema kropli krwi starej, dumnej tej krwi... i gniew zgasł, tylko woda w żyłach i na oczach woda! Srom tobie!

Horpyna odepchnęła sługę silnie.

— Milcz—zawołała, oczy ocierając.

W izbie po tym nakazie zapanowało wistocie milczenie. Tatiana zimno i obojętnie, jakby się nie rozgrzała przed chwilą—zaczęła stół grubym nakrywać obrusem. Sylwan pozostał niemym, na ławie pod oknem.

Nawykły był snadź. za każdym przyjazdem swoim do matki, przechodzić przez takie żale, łzy i narzekania; lecz, choć pozornie zimny, blade, wzruszony, zmęczony. smutny—czekał końca.

Tatiana wygładzała obrus staremi kościstemi palcami, patrząc na stół... Zwróciła się nagle do stojącej obok Horpyny.

— Tak-to syna przyjmujesz—poczęła — kiedy w gościnę przyjedzie?! On tobie pociechę przynosi a ty poisz go żółcią. Taka z ciebie matka. co dla dziecka nie ma nic, tylko piołun i goryczel...

— Milcz! — podnosząc głos, powtórzyła stara i jak pijana, zataczając się. poczęła po izbie się przechadzać.

Surowe słowa sługi nie przeszły jednak bez skutku: uspokoiła się, otarła oczy—i machinalnie coś chcąc robić, z półki poczęła zdejmować sól. kubki. noże i łyżki.

Horpiński chciał jej pomódz; nie dopuściła go.

Gdy się to działo, dwaj parobcy—Harasym i Prochor, zwolna się z pokłonem wśliznęli do izby po cichu i w progu stanęli.

Była to godzina przed wieczorem. gdy sama

gospodyni zwykle im dawała po półkwatku wódki. Zobaczywszy ich. Horpyna poszła do szafy, dobyła z niej butel. ujęła zielony kubek duży. i nalawszy go. nieco do ust przytknęła.

Sylwan, widząc to, z ławy wstał żywo.

— Czekajcie matko — rzekł — powinienem ja przepić do nich.

I z rąk mileżącej starej wzięwszy butel, Horpiński kubek rażno wychylił. zwracając się do starszego Harasyma.

— A co? dużo siana pogniło?—zapytał.

— Szcerniało na pokosach, ale, sława Bohu - nie pogniło - odezwał się. przebierając palcami we włosach. Harasym. Chudoba jeszcze lepiej czasem je takie siano.

Wtem Prochor. na którego przychodziła kolej do kubka—pokiwał głową i burknął:

— Gdybyśmy byli dwa dni wprzód poczęli, jak ja chciałem. przed deszczem-by było w stogach.

— Było co robić w polu — wtrącił Harasym, a dwie roboty naraz, kiedy rąk mało—obie lichobierze.

— Do żniwa przynająć trzeba — odezwał się Sylwan.

— Bez tego się nie obejdzie—potwierdził starszy parobek—Ale co tu ten robotnik wart!... włóczęgi z miasteczka nie w zgrzebnie. ale w bawelni-

cy i ręce u nich bawełniane... Więcej to stęka, niż żnie, i odpoczywa, niż pracuje, a boleje, że mu w krzyżach trzeszczy. Ni do kosy, ni do sierpa, tylko w karczmie tańcować.

Zamachnął ręką.

— Siły oni nie mają! Nasz jeden powaliłby ich, zamachnąwszy się, dziesiątek...

Na te słowa, z ogromną misą parującą, weszła Tatiana, a dwaj parobcy zobaczywszy ją, pokłonili się i wyszli. Sylwan nie przysuwał się do jądra, czekając na matkę, ale Horpyna potrząsnęła głową i ręką ukazała, że jeść nie będzie.

— Jedz sam—rzekła—ja nie mogę. gardło mi się ścisnęło—piołun mam na języku.

Horpińskiemu także się pono jeść niebardzo chciało — nie mógł jednak nie przysunąć się do misy, aby matka nie myślała, że prostą gardzi potrawą. Siadł do klusek z mlekiem.

Tatiana zajrzała, widząc, że stara nie je, zamruczała i wyniosła mleko. wzamian podając kawał mięsa i jajecznicę.

Na podwórzu robiło się ciemno; małeńka świeczka zapłonęła na stole. Nie mówili już nic do siebie. Po wieczery wstał Sylwan, pocałował matkę w rękę, i pożegnawszy ją uściskiem, odszedł spać do izby swojej.

Ale dla niego długo nie nadchodziła chwila

spoczynku. W izbie było parno; wysunął się na ławę podsienną i sparłszy się tu, zadumał się głęboko. Stare psy przyszły mu łby położyć na kolanach, jakby go pocieszać chciały.

---

Dla człowieka nawykłego do towarzystwa wykształconego, do zajęć umysłowych, rozmowy o przedmiotach ogólnego interessu, do związku duchowego z działalnością całego cywilizowanego świata,—dla człowieka jakim był Sylwan Horpiński—pobył w Rusinowym Dworze, w towarzystwie dwóch prostych parobków, matki rozbolełej i utulić się niemogącej nigdy, służy napół dzikiej—był niemal męczarnią. Ośladzała ją tylko miłość dla tej nieszczęśliwej matki — potrzebna czasem wykojejonym, jak on był, sierotom, samotność, niechęć dla ludzi, którą w nim stanowisko jego społeczne wyrobiło.

Naostatek Sylwan miał coś w sobie ze krwi matki; wspomnienia przywiązywały go do Ukrainy, a od tych prostych ludzi wiało stepem.

Nałóg przebywania w tej pustelni kilka razy do roku pobyt czynił znośniejszym. Wesółych chwil tu jednak spodziewać się nie mógł nigdy.

Horpyna, niegdyś idealnej piękności dziewczę,



z dumną duszą, nie mogła się pogodzić z losem swoim. Ojciec Sylwana, którego pokochała, który ją kochał namiętnie, miał być jej mężem, rachowała na to, w myśli swej była już panią i królową — ślub dano im potajemnie pono: gdy nalegania rodziny, nacisk przyjaciół, gwałtowne odciągnięcie go od Horpyny, rozerwały ten związek serdeczny.

Zmuszony do tego przeniewierzania się, człowiek ten, kochający ją jeszcze, zapewnił, dla uspokojenia sumienia, jej los niezależny, wychowanie synowi i naostatek przekazał mu znaczną część majątku, którym mógł rozporządzać.

Wszystko to nie starczyło dla zawiedzionej, owdowiałej kobiety, do zagojenia ran serdecznych, do przejednania z wiarołomcą. Przebaczyc mu nie mogła ani losu swojego, ani tego, jaki zgotował synowi.

Zmuszona wynieść się z miejsca, gdzie na sobie i dziecko zwracała oczy, potem rozdzielić się z synem, któremu ojciec chciał dać jaknajstaranniejsze wychowanie, resztę życia spędziła, można powiedzieć, na nieustannym płaczu i wyrzekaniu.

Ciągle wspomnieniami szczęścia i doznanego zawodu drażniona, dumna Horpyna stała się dla siebie i dla tych, z którymi żyła — nieznośną. Wpadała w gniew po kilka razy na dzień, sza-

łała czasem z bólu. rzucała się na ziemię, jęcząc i zachodząc od płaczu.

Udawało się niekiedy Sylwanowi na chwilę ją ułagodzić i ukoić, ale, ani on, ani wiek, duszy tej zranionej uleczyć nie potrafiły. Miała w sobie coś bohaterki starożytnej tragedyi, coś Medei, a nawet postać jej szlachetna i piękna, nawet język ludowy, którym się posługiwała, czyniły ją do nich podobną.

Niegdyś z wielkiem upodobaniem nuciła pieśni ludu. przesiąkniętą tęsknotą—Horpyna czasem swój ból i żal przyoblekała w formę jakiegoś śpiewu zawodzenia płaczliwego. Siedziała z rozpuszczonymi włosami na ławie, łamała ręce białe i płacząc, nuciła co jej serce natchnęło.

Osobliwie, gdy samą była. powtarzały się często te nenie dziwne. których stara Tatiana słuchała od progu płacząc, a gdy wybuchały zbytnią rozpaczą, przemocą niemal zamykała jej usta.

Wiele dziwactw potrzeba było nieszczęśliwej przebaczyć. Czasem syna chciała mieć prostym parobkiem kozaczym i zetrzeć z niego wszelki ślad cywilizacyi; uiekiedy chciwie usiłowała grosz gromadzić, aby go uczynić bogatszym jeszcze, możliwym i dać mu środki—jemu, chłopskiemu dziecku, panowania i mszczenia się nad panami.

Chociaż Sylwanowi ojciec prawne jego w świecie stanowisko, jako ubogiego szlacheckiego dzie-

cięcia. z pomocą pieniędzy i podrobionych papierów zapewnił, choć Horpiński mógł ukryć rzeczywiste swe położenie i stan—niemniej w jego duszy. pod wpływem matki wyrobiła się jakaś niechęć do szczęśliwiej wyposażonych, do tych. którzy nie do ukrywania nie mieli.

Umysł jego ciągnęła ku sobie ta cywilizacya. która go czyniła człowiekiem świadomym ludzi, świata, życia — serce wzdrygało się przeciwko społeczeństwu cywilizowanemu rozbratanemu z ludem; nauką i rozumem należał do wybranych. uczuciem do wydziedziczonych.

Rozdzierało go to na dwie istoty w wiecznej z sobą walce będące.

Smutny, zamknięty w sobie, skazany na wieczne osamotnienie lub posługiwanie się kłamstwem, przeciwko któremu oburzała się dusza jego, Sylwan włókł ciężar żywota—znękanym nim i jak matka zboląły zrozpaczony.

Na widok istot szczęśliwych. które nie do tajemnia nie miały, a mogły iść z podniesionem czołem jasnym. budziła się w nim czasami jakaś niepożyciwa. szatańska chęć zemsty, i gotów był nieledwie szkodzić szczęśliwym, aby im nie zazdrościć.

Lat dochodził już niemal czterdziestu Horpiński, chociaż nie było tego znać po nim. W tem znaczeniu, w jakim się to pospolicie bierze, nigdy

nie używał młodości—żył skromnie, upajając się coraz nowemi jakiemiś studyami. pracą, sztucznemi interessami. jakie sam tworzyć musiał. aby cel mieć przed sobą. Wszystkie siły młodzieńcze nosił zaoszczędzone w piersi. zużytkować ich nie mogąc.

W tych kołach, wśród których się obracał. młody, dobrze wychowany. majątny, odznaczający się wykształceniem i nauką—ciągle był drażnionym przez kobiety. starające mu się podobać. bo one go sobie podobały. Często bardzo serce mu uderzyło do której z nich; ale natychmiast musiał uchodzić. bronić się — aby nie uleść pokusie szczęścia niemożliwego.

Powiedział sobie w chwilach takich zatrutych, że powinien iść za wolą matki, raz nazawsze wdziać siermięgę. zerwać z tym światem. wyrzec się upodobań i nawyknień człowieka cywilizowanego... ale czuł. że ofiara taka była nad jego siły.

Po upływie pewnego czasu. na Rusinowym Dworze spędzonego, porywała go niewysłowiona tęsknota, ażeby choć głos życia posłyszeć. Sama też matka, niestała w swych postanowieniach. raz chcąc go widzieć chłopem, to znów panem, wyganiała go od siebie. aby stosunków nie zrywał.

Rusinowy Dwór z przyległemi gruntami, na

których żadnych ciężarów nie było. — szacowano naówczas na jakie stotysięcy złotych. Kawał lasu dodawał mu wartości.

Oprócz tego Sylwan miał pierwotnie przez ojca zapisanych czterekroć stotysięcy, które się przy życiu skromnem zwiększały w ciągu lat. Nie będąc bogatym, był na pojedynczego człowieka za możnym bardzo. Horpyna, która chciwie skąpiła i składała grosz każdy oszczędzony, oprócz tego uzbierała kapitał dosyć znaczny.

Życie tu nie różniło się wcale od zwyczajnego wieśniaczego, chyba jedną obfitością tego, czem się utrzymywało. Horpyna, parohcy i Sylwan żywili się jednakowo, a stara, choć się okazaźnie ubierać lubiła—mimo, że jej prócz swoich nikt nie widywał — miała z dawnych czasów tyle strojów i klejnotów, że jej one na całe życie starczyły. Syn w początku chciał, aby jakiegokolwiek zrobiła sobie znajomości i miała kogoś dla rozrywki; ale ona, zdziczała i zboląła, oparła się temu.

Napróżno z sąsiedztwa ciekawi usiłowali się do niej wcisnąć, zobaczyć, zapoznać: odpychała ich dumnie i gniewnie.

Całą jej rozrywką były nucone pieśni tęskne—rozmowa z Tatianą, z synem, a czasem nawet z parobkami, dla których była łagodną z jednych względów, z drugich—surową panią.

Ludzie prości obawiali się jej, niby jakiej istoty

wyższej, obdarzonej przez boleść jasnowidzeniem i siłą ducha, która rozporządza dola nienawistnych. Gniew jej wprowadził Harasyma i Prochora w niewypowiedzianą obawę. Byli pewni, że jej przekleństwo mogło być śmiertelnem.

Harasym. Prochor, Tatiana — znali historią nieszczęśliwej, i jej mściwym łzom przypisywali to, że ojciec Sylwana, po rozwiedzeniu go z Horpyną, ożeniony staraniem rodziny, ledwie miał czas życia zakosztować. Bóg dał mu dwóch synów, szczęście, bogactwo — nadzieje wielkie — aby nagle, nielitościwie ukarać go śmiercią gwałtowną.

Zgon był straszny i tragiczny.

Gdy Horpyna dowiedziała się o nim, stała długo osłupiała, nim się jej łzy puściły, i krzyknęła:

— Bóg mnie wysłuchał i pokarał! Ta co mi go odebrała będzie wdową, a dzieci sierotami, jak moje...

Nazajutrz rano, po przybyciu do Rusinowego Dworu Sylwan rozpoczął życie, jakie tu zwykle prowadził. Nie brał nigdy z sobą, ani książek, ani nic, coby drugą połowę — życie miejskie przypominać mogło. Wiedział, że matka tego nie lubi. Przez czas pobytu przy niej, dzielił obyczaj jej i parobków — szedł na pole i pracował z nimi, stawał się chłopem dobrowolnie.

Matka nie przeciwko temu nie miała. Ona też sama, gdy ból się w piersi uśmierzył — często po-

magala Tatianie,—nie tracąc przy zajęciach najprostszych tej postawy królewskiej i dumy, jaka ją odznaczała. Tatiana, widząc, że podobne krzątanie się koło gospodarstwa przyczyniało się do uspokojenia jej, często poddawała coś do roboty.

Jednego tylko szycia rękowników i koszul, obyczajem dawnym, nie mogła już w rękę wziąć Horpyna, nadto jej przypomniało lata młodości, dziewictwa i błogich marzeń.

Taksamo widok strojów, koralów, bielizny, chustek nagromadzonych oddawna, pochodzących z daru człowieka, którego teraz nienawidziła—był jej nieznośnym. Gdy przychodziła wiosna i potrzeba było to powymować, rozwiesić, przewietrzyć, Tatiana kryć się musiała.

Dodnia Sylwan był już z parobkami w polu, ale gdy wychodził o świcie, matkę już zastał napół ubraną. Na połudenek powrócił do niej, bo pamiętał, że każde jego przybycie rozdrażniało ją—i chciał rozerwać a pocieszyć.

Często, i teraz właśnie, przybycie, zamiast ulgę jej przynieść, poruszało ją tylko i niepokoiło. Chciała wiedzieć z najmniejszych szczegółami: jak Sylwan czas swój spędzał w mieście, z kim żył, czy go umiano ocenić? a najbardziej dopytywała się o kobiety.

Obawa, aby się syn nie rozmiłował, zazdrość, aby serca jego nie odebrano — nie dawały starej

spoczynku. Sylwan nspakajał ją tem tylko, że towarzystwo małowal jej szydersko i z tej strony, z której najmniej się powabnem wydawało.

Na ten raz Horpyna, w marzeniach swych o przyszłości syna, znowu wpadła na temat zemsty — i chciała dla niego bogactw, wywyższenia. aby on, chłop—panował nad temi—przeniewiercami.

Nazwisko to u niej nosili wszyscy. co równi byli znienawidzonemu ojcu Sylwana.

Przy południku sama zawiązała roznowę.

— Mnie na świecie niedługo — poczęła mówić. napozór obojętnie.—Ja to wiem! Wasi mądrzy ludzie, co się wszystkiego uczą. a nic nie umięją — tracą ten dar Boży przewidywania zgonu. Żwierz. gdy koniec swój czuje. uchodzi i kryje się — my. chłopi. jak żwierz. czujemy zgon nadchodzący. I ja to wiem. że nie pożyję. Naówczas tobie już tylko panem trzeba być. Precz z chłopską siermięgą—już ci się ona nie zdała. Dzieńieł będziesz miał dosyć — możesz ich deptać po karkach i zapłacić za mnie.

Rusiuowy Dwór — ciągnęła dalej — tobie on na nic... to ziemia nie nasza. Tu nawet tych traw i kwiatów niema. co w stepie. tu nic nie buja, jak u nas, a lasy jakby murem otaczają więziennym. Sprzedać go Lachom napowrót.



— Matko — przerwał Sylwan — dla mnie to przecie pamiętka.

— A na co masz krwawe moje łzy pamiętać?— odparła stara.—Pamiętaj lepiej, żeś ty mnie mścić powinien. Niech-by dziewczę jakie tak zapłakało po tobie, jak ja po nim: w ręce-bym klasnęła.

Horpiński spuścił oczy. Stara się podniosła z ławy i chodzić poczęła po izbie. Na jednej ze ścian, pomiędzy oknami, zawieszona było male zwierciadło owalne. Horpyna miała zwyczaj w niem przypatrywać się sobie. I teraz stanęła przed niem w tragicznej pozie.

— Za co ty się całe życie masz męczyć? — do-dała. — Gdy mnie nie stanie, naówczas wolny je-steś. Żeń się — szczęśliwy nie będziesz... ale i La-szka z tobą nie będzie szczęśliwą.

Podobny jesteś do niego, a mojej krwi w tobie płynie kropelka, mnsisz mścić się za matkę!! Póty twojego chłopstwa, póki życia mojego.

— Nie — rzekł Sylwan — mylisz się, matnniu; może właśnie, gdyby mnie Bóg osierocił, wdział-bym raznazawsze siermięgę, jak żałobę po tobie; ale Bóg niech mnie od tego broni. Żyj!...

Horpyna się rozśmiała, stojąc ciągle przed zwierciadłem.

— Myślisz, że mnie rozko-szą życie! Chodzę z niem, jak z kamieniem nwiązanym do szyi. Śmierci się nie boję.

Ruszyła ramionami i zamilkła. Horpiński po krótkim poczęstunku umyślnie zagaił o tegorocznym urodzaju. Wzgardliwie popatrzała na niego matka.

— Ta ziemia i rodzić nie umie... Co tu za zboże! Siedzi rzadkie przy ziemi. a kłosa jak węzłki... U nas trawa bujniejsza.

Wszystko myśli jej do przeszłości zwracało. Przerywana tak rozmowa przeciągnęła się aż ku wieczorowi. Sylwan poszedł do konia, chcąc ku lasowi wyruszyć. Matka siadła dumać dalej.

Powrócił, gdy już zmierzchało, i zastał ją w temsamem miejscu, gdzie porzucił, z oczyma w podłogę wlepionemi.

Jakaś czulsza myśl pobudziła ją do rzucenia mu się na szyję. Zaczęła go ścisnąć i całować.

— Ty moja pociecha jedyna — szepnęła — ale po co do niego jesteś podobny... Czasem patrzeć na ciebie nie mogę, bo radabym kochać, a nienawisć ze mnie bucha. O! dolo ty moja, o dolo!

Oczy zakryła i powróciła się na ławę. Sylwan, jak zwykle w takich razach, nie odpowiedział nic, dał się jej uspokoić.

Przy wieczery powróciła matka do rannych marzeń. Poczęła liczyć bogactwa swoje.

— A nie tracisz-ty w tem mieścisku przekłębem?—spytała—może już urwałeś co z twego dziedzictwa!.. Mów mi prawdę. Ja nie chcę, byś

był ubogim, bo cię podepczą; a ty ich powinienesz gniesć. To wasze życie kosztuje drogo.

— Nie straciłem nic—odparł Horpiński—coś mi nawet przybyło. Nie kłopotz ty się o mnie!

— Muszę—przerwała gwałtownie stara.—Jeszcze-by tego brakło, żebyś ty z nędzą walczyć musiał!.. Ale nie—tego Bóg nie dopuści.

Potrząsnęła głową.

— Tak, tak—Rusinowy Dwór sprzedać potrzeba. Mówią, że i za niego piękny grosz wziąć będzie można — a u mnie w skrzyni też leży dosyć... Chcesz?... weź?—mnie to na nic.

— Ja też nie potrzebuję—oparł się Sylwan—mam dosyć.

— Tracić tobie się nie godzi—ciągnęła dalej—nie, ale paucem musisz się im wydawać! Na to nie ma co żałować. Nieraz myślę sobie—śnie ja sobie, jak ty chodzisz między nimi z podniesioną głową, a oni ci się kłaniać muszą.

Oni pieniądzom tylko się kłaniają... dlatego tobie ich potrzeba.

Wstała i zbliżyła się do syna.

— Chodź—rzekła, ciągnąc ku komorze.

Sylwan wszystkim jej fantazyom był zawsze posłuszny. Wprost szła ku niezamkniętej skrzyni, otworzyła ją, schyliła się i milcząc, zaczęła wydobywać worki i zwitki.

— Licz... ja nie wiem, ile tu jest,— ktoby tyle pieniędzy policzył!!

Chciał się syn oprzeć.

— Licz—powiadam ci—chcę wiedzieć, co tobie zostawię.

— Zbierzesz więcej—rzekł powoli Sylwan.

Zaprzeczyła poruszeniem głowy i niecierpliwie uderzyła nogą.

Z niechęcią widoczną, zmuszony Horpiński na-przód worki obliczył, potem papiery. Stara nad nim stała, oparłszy się na rękę, patrząc na pieniądze, a widząc pewnie co innego oczyma zdrętwiałemi.

— Złoto... to jeszcze z dawnych czasów — szepnęła.— Zakryj... ja na nie patrzeć nie mogę.

Sylwan skończył nareszcie.

— Wiele wszystkiego?—zapytała.

Cały ten majątek Horpyny, zbierany tak skrzętnie, wynosił daleko więcej, niż ona i Sylwan mógł się spodziewać. Posłyszawszy, uśmiechnęła się i zadumała.

— Mówią ludzie—ja tego nie wiem—rzekła—że grosz posiawszy jak ziarno... coś rodzi. Możeby i ten zasiać trzeba, bo on tu marnie leży, a ja chcę dla ciebie wiele... bardzo wiele.

— Dajcie pokój, matko—odparł Sylwan—o mnie i o groszu nie myślcie, nie żałujcie sobie. Ja też wiele nie potrzebuję.

— Bogatym musisz być, bogatym—przerwała—bo podepczą...

Sylwan, już nie mówiąc, rzucił worki i papiery do skrzyni i zamknął ją. Horpyna stała jeszcze dumając, ale z oczów jego wyczytawszy, że mu pieniędzy nie potrafi narzucić. — wyszła powoli z alkierza.

Tak się pierwszy dzień zakończył.

Nazajutrz chodziła struta, milcząca, bledsza, niż zwykle, ścisła syna i płakała. Poprawiała mu i przeczesła włosy, snadź, aby jej jaknajmniej ojca przypominał — popatrzyła i odwróciła się.

Wieczorem przyszło do sporu z Tatianą, która jej wyrzut czyniła, że synowi życie truje, że choć dla niego wesołą być powinna. Stara służa obchodziła się z nią, jak z dzieckiem własnem, nie szczędząc nawet połajani — nie dobierając wyrazów. Tatiana też kochała ją jak dziecko, a bolała nad tem, że natury tej krnąbrnej, ani złagodzić, ani przemienić nie mogła.

W kącie spotkawszy się z Sylwanem, pocichu dawała mu nauki, jak on się miał z matką obchodzić. Był mężczyzną — a choć ją powinien był szanować, Tatiana namawiała, aby surowo jej tych płaczów i lamentów zabraniał. Miał do tego prawo.

— Ona duszę wypłacze! — mówiła Tatiana—a co jej po tych łzach?

Co minęło, nie powróci!

Modlić się nie chce i nie umie... Stanie przed obrazem, przeżegna się, pokłoni, zamrunczy coś i łzy pocieką. Patrzcie, już na ławę poszła, oczy sobie zakryła i szlocha...

— A! a! — gadatliwa mówiła starnucha—co ja z nią mam ntrapienia!... co męki. Mało jej dnia na łzy, a to i po nocy się budzi, siedzi a sama mówi do siebie.

Kto wie, co ona tam widzi, ale tak jakby przed sobą kogo miała i z nim rozmawiała... to łagodnie i pieszczono, to gniewnie i ostro... mruczy i wykrzykuje... a coby miała ta choroba nstawać—co raz gorzej... Żle! źle—mówi ciągle o śmierci. Chodziła sobie szukać mogiły... Czasem, jakby rozum nie stało.

— Lecz jakaż rada na to?—zapytał Sylwan—cóż ja mogę?

— El panoczku—zaszeptwała Tatiana—ona-by to była—rada — ale co po niej, kiedy jej nie posłuchacie. Ja wiem... Jejby tam, hen, na Ukrainę! Jeden dzień-by płacząc na ziemi leżała, a potem wstałaby zdrową. Jakie tam powietrze—ono-by zgoiło, co na obczyźnie się rani. Tu ani oku polecieć, ani piersi tchnąć — ani sercu się do czego

uśmiechnąć... Lasy a lasy—a piaski i piaski i nie widać tak daleko, jak u nas w stepie!!

Ręką zakresliła koło jakieś w powietrzu stara Tatiana i sama łyzy ocierając — zawróciła się do swej izby.

Takie było życie Horpińskiego na Rusinowym Dworze. i rzadko dzień przeszedł bez chmury, bez łyzy, bez wyrzutów nawet. Horpynie się przywidywało, że syn tęsknił za miastem, że mu z nią nudno było. Chciała go napowrót wyprawić. kazała siodłać konia—naprzemiany odpychała go i porrywała namiętym uściskiem. Potrzeba było niezmiernej cierpliwości i tego przywiązania, jakie Sylwan miał do matki, aby wyjść zawsze zwyciężko z tych walk, targania się i zmian rozbolałej kobiety.

Raziła ją czasem wesołość jego, niekiedy smutek. Musiał być takim zawsze, jakiego ona mieć chciała w tej chwili—bo niezmierną litością serce miał przejęte.

Rodzajem rozrywki dla niego było, gdy, niekiedy zszedłszy się z parobkami, chorującymi tu także na tęsknicę po Ukrainie, słuchał ich opowiadań, starych kozackich podań i baśni. Lice Horpyny nigdy się prawie nie wyjaśniało, uśmiech na jej ustach nie powstał.

Przybywszy czasu żniwa. Sylwan, pod pozorem

doglądania gospodarstwa. tym razem dłużej miał pozostać.

Nie wiedział, ani się mógł domysleć nawet, że mściwy Emil Paczński zechce za nim gonić, pędzić go, i zamierzy spotkać się z nim, aby go na gorącym pochwycić nczynku—tajemniczej metamorfozy.

Dnia jednego, gdy Sylwan z Harasymem i Prochorem na polu był z robotnikami najętymi, miedzą pomiędzy zbożem ujrzał zbliżającego się o kijn człowieka w słomianym, starym kapelusinie.

Był to Jacuś. Sylwana po jego ubraniu od prostych parobków wcale odróżnić nie było można. Trafiło się, że stał z brzegu i zbliżający się ostrożnym krokiem przybysz — musiał się naprzód z nim spotkać.

Jacuś po kilku kieliszkach wódki, którą pil dla ochłodzenia się, bo ntrzymywał, że woda na żołądek mu szkodziła — był w humorze doskonałym i śmielszy, a mniej ostrożny, niż zwykle.

Zobaczywszy Sylwana, który był przysiadł na snopach, Jacuś zbliżył się do niego, pozdrawiając poufale. Wszczęła się rozmowa nic nieznacząca, wstęp do ważniejszej sprawy.

Długo się Jacuś rozglądał na wsze strony, tarł głowę, żyzymał i naostatek przystąpiwszy bli-



ziuteńko. pochyliwszy się nad Sylwanem. zapytał go:

— Nie mogliby wy mnie powiedzieć. gdzie tu jest wasz pan. który przyjeżdża z Warszawy?

— Jaki pan?—odparł Horpiński—my tu żadnego pana nie znamy. My sobie wszyscy panowie! Jacuś głową pokręcił.

— Ale do was jeździ z Warszawy jeden, kto go wie co on za człek—mówił Jacuś—to wszyscy wiedzą!

— A na cóż ci on?—zapytał Sylwan.

Jacuś był w humorze. który mu długo tajemnicy nchować nie dozwalał. Począł się śmiać. Przyśiadł się na półkopku obok i namysłał, co miał powiedzieć.

— Mnie on na nic—rzekł w końcu—ale posłał mnie ktoś na zwiady.

— Któż to taki?—dodał powolnie Horpiński.

— Czort go wie. — Zkąd's przyjechał już tu trzeci raz; pewnie się potrzebuje widzieć z tym—waszym.

I po chwili dodał:

— Młody chłopak, przystojny; przyprowadził z sobą konia. Jeździ po okolicy. rozpatruje, mówi. że chce ziemi kupić, a na coś mu trzeba tego waszego zobaczyć.

— Koń—jaki u niego? — spytał nagle Sylwan, któremu różne domysły chodziły po głowie.

— Koń kary, ładny—rzekł Jacuś—ale z łysiną na łbie i jedna noga po pęcinę biała. O! dobrze mu się przypatrzyłem, bo ja koniska lubię i dawniej to się swoje własne miało.

Sylwanowi więcej nie potrzeba było. Znał tego kruczka z łysiną, na którym p. Emil Paczusi często się przejeżdżał po alejach. Był to więc on niewątpliwie.

Rozumiał tę złośliwą ciekawość, która tu go aż za nim gnała.

Pomyślał trochę.

— Ten, co czasem z Warszawy tu przyjeżdża—rzekł spokojnie—był ci, prawda, u nas, ale krótko i nazad powrócił, już go tu nie ma.

Wielkie oczy otworzył Jacuś.

— Nie może być!—zawołał—niedawno był, ja pewno wiem.

— No — i niedawno ruszył uapowrót — dodał Sylwan.

Jacuś poprawił kapelusza.

— A! niech-że go, trzaśnie!—zamruczał, wstając z półkopka..—Nie ma go już...

— Niema!—potwierdził Sylwan, który także się ruszył z siedzenia i poszedł do robotników.

Mocno zmieszany, szpieg powlókł się nazad do Garwolina.

Tymczasem Sylwan, przeszedłszy półko swoje

pogadawszy z Rusinami. najbliższą ścieżką pośpieszył do dworu.

Zastał tu matkę nucącą pocichu swoje pieśni. jak zawsze zadumaną i posępną. Powrót. trochę wcześniejszy, syna zaniepokoił ją; wstała. idąc na jego spotkanie.

— Cóż się z pola pośpieszył?—spytała. badając go oczyma.

— Nie miałem już co robić—odpowiedział syn. przyjmując uścisk. którym go witała. — a oprócz tego, matuniu—choć chciałem dłużej tu posiedzieć, dziś bodaj w nocy muszę odjechać!

Horpyna krzyknęła.

— Co tobie?

Zamiast odpowiedzi, Sylwan ją pocałował po rękach całować.

— Kłamać przed rodziną, nie mogę—rzekł:— W mieście mam dużo zazdrosnych, co mnie radzi szpiegują i nie wiem o co podejrzewają. Zdaje się, że jeden z nich przyjechał aż tu, aby mnie zobaczyć w siermiędze i potem rozpowiadać o tem po świecie. Nie chcę mn uczynić tej przyjemności, żeby mnie złapał: muszę więc odjechać w nocy.

— A tyś się jak o tem dowiedział?

Sylwan, śmiejąc się, opisał matce swoje spotkanie z Jacusiem.

W kobiecie się wszystko zburzyło. Śmieli więc ludzie Sylwana podejrzewać, podpatrywać i chcieć

mu szkodzić! Zaciskała kufaki z gniewu. twarz jej zapłoneła.

— Idź zaraz—rzekła. Nie! nie chcę. aby oni cię w siermiedze widzieli... Tego nie trzeba... a tego łotra. jeżeli Harasym z Prochozem będą mogli pochwycić, należałoby. aby mu dobrze plecy wyprali!

Od tej chwili Sylwan spokoju nie miał; kazała podać spiesźnie wicherzę; Tatianę posłała zasypać koniowi w stajni obroku; gdyby mogła, sama by go może osiodłała.

Chodziła, mrucząc, podrażniona i mściwa.

Zaledwie zmierzchać się mocniej zaczęło, a księżyc tylko-co się podniósł nad lasy. gdy Sylwanowi przyprowadzono przed ganeczek wierzchowca.

Matka szła za nim, płacząc i żegnając krzyżem świętym.

Jeszcze raz do piersi przycisnęła go w progu.

— Jedź—zawołała—a jeżeli znasz tego laszka, co się na ciebie porywa—nie daruj mu! Niech-by on wpadł w moje ręce!

Tatiana, która wiedziała o wszystkim, bo Horpyna jej zwierzała się ze wszystkiego. ścisnęła i podniosła do góry dwie silne pięście. I ona gotowa była stanąć w obronie Horpińskiego, którego niemniej od matki kochała.

Sylwan pogardliwie się uśmiechał, słuchając pogroźek.

— Matuniu—rzekł—to taki chrząszcz. na którego ręki szkoda... Nie warto się z nim zadzierać. Niech się tu sobie pobawi. mnie szukając.

Otwierano wrota; Sylwan poklonił się raz jeszcze i, konia spiąwszy. pojechał.

Jacus, tak niefortunnie spełniwszy swe poselstwo, nie bardzo śpieszył z powrotem do miasteczka. gdzie na niego, nudząc się, Emil Paczuski oczekiwał.

Nudy pieszczoszka doszły do tego naprężenia, że wyszedł na próg gospody Pinkusa i przypatrywał się rynkowi. na którym kilka wozów, kilka obdartych postaci, wcale nie malowniczych, bodaj parę setek chudego bydła, widać tylko było. Ziewał co chwila. a spać we dnie—zdawało mu się złą rachubą, bo noc bezsenna mogła być od dnia jeszcze trudniejszą do przeżycia. Dosyć późno, podchmielony, zjawił się Jacus, oświadczając. że dotarł do źródła. że z ludźmi mówił i dowiedział się o tem, jako Warszawiak do Warszawy powrócił.

Emil, rozgniewany, wierzyć temu nie chciał. Zdało mu się, że Jacus się napił, dzień przespał gdzieś, do miejsca nie dotarł i chciał go zbyć prosto kłamstwem.

Obszedł się z nim dosyć grubijańsko, czego znowu nasz polyhistor nie lubił: znał on i umiał szanować godność swoją.

Pokorny dotąd — nastawił się szorstko Paczuskiemu. Już miało przyjść do wcale nieprzyjemnej zamiany słów coraz dobitniejszych, i pomarszczona twarz Jacusia zabarwiała się ceglasto, gdy nadchodzący Pinkus kilku słowami odprawił posła, a Paczuskiego uspokoić potrafił.

Emil, który już i czasu dosyć stracił i namęczył się niewygodami, na to aby mózdz powrócić z niczem—postanowił nazajutrz jechać sam próbować szczęścia. Zdawało mu się, iż może spotka w polu Horpińskiego. Był to krok ostatni.

Nie brał już i nie potrzebował przewodnika i oryentował się łatwo.

Wistocie — aż na pola Rusinowego Dworu dojechał dosyć szczęśliwie, ale tu Harasym z towarzyszem zastąpili mu drogę i stanowczo oświadczyli, że nie lubią. aby im się tu obcy ludzie po polach wałęsali.

Barczyści i silni parobcy wyrazili się tak kategorycznie, okazując drogę nazad Paczuskiemu. iż się z nimi sprzeczać nie śmiał.

Usiłował ich udobruchać datkiem, ale rubel wyjęty z kieszeni—nie został przyjętym i jeszcze Emila wyśmiano.

Odjechał więc, jak zmyty—przeklinając własny

pomysł, niezgrabstwo swe, a nadewszystko tego który był przyczyną wędrówki. prawdę rzekłszy. śmiesznej.

Nie było już tu co robić. Paczuski puścił lejce. dobył cygaro i jechał z powrotem, pozwalając koniowi wybierać sobie drogę.

Zadumał się głęboko o tem zuchwalstwie prostych ludzi, gburów, którzy śmieli z panicza takiego jak on, na ładnym koniu, szydzić i naigrawać się z niego.

— Koniec świata! — pomrukiwał Emil. Karnszek tymczasem nad drogą oskubując z gałęzi liutki zielone, powoli — instyktowo kierował się ku stajni. Do miasta było jeszcze daleko. Zmyślne stworzenie znalazło naprzód rodzaj gościńca, którym wygodniej mu było iść, niż po roli, potem zarząło i puściło się małego klusa.

Paczuski głaskał je po karku. i cieszył się ze swego wierzchowca — puszczając dym z doskonałego cygara: gdy nagle znajomy głosik srebrny rozległ się wesołym dźwiękiem.

— Stój pan. aresztuję!...

Zrządzenie losu widocznie Karnszka i jego pana zaprowadziło na tę drożynę pod ogrodem w Brzózkach. po której z drugiej strony. za przepiekem. przechadzała się piękna pani Bończyna.

Czy miała nadzieję spotkać się raz jeszcze z E-



milem?—trudno dociec, lecz to pewna, że spotkaniu była rada.

— Ale jakże pan śmiesz Brzózki pomijać?—zawołała. Jedź pan natychmiast do wrót, przez wrota w dziedziniec, do dworu, do ganku, a w salonie znajdziesz mnie jako surowego sędziego, przed którym musisz stanąć i tłumaczyć się.

Emil słuchał, z podniesionym do góry nad głowę kapelusikiem — uśmiechał się, a że wdówka znikła, więc, nie czekając odpowiedzi, pokłusował wedle jej rozkazu do wrót i spełnił co mu zalecono.

W saloniku, trochę pośpiesznym biegiem zadychana, stała Bouczyna. Paczuski dosyć niezgrabnie się przed nią tłumaczył: dlaczego dotychczas będąc w okolicy, nie miał honoru się jej pokłonić, poprzysiegając, że nazajutrz byłby tego nieochybnie dopełnił.

— Więc stanowczo chcesz pan tu coś nabywać?—zapytała wdówka.

— Waham się—rzekł Emil—który pośpieszył do wtaczającego się krzesła sędziny, aby ją powitać.

— Ja—mówiła gospodyni—powinnabym pana do tego zachęcać, bo sąsiedztwo mamy bardzo niedobre i niesmaczne—ale...

Pokręciła główką, popatrzała Emilowi w oczy.

i dała sędzinie rozmowę na inny przedmiot obrócić.

Co się działo z biednym Paczuskim, co rozrywało głąb' jego duszy—tego trudno będzie określić, Chociaż nie wierzył w przeznaczenia, w „igrzyska losu“ i t. p., zdumiewało go to jednak, że jakoś los ten narzucał mu uparcie poraż drugi śliczną wdówkę—jakby mu chciał wskazać, iż... powinien się był lepiej jej przypatrzeć i lepiej ją ocenić.

Była piękna, miła, dobrze wychowana, nie uboga—a wdowieństwo nie odebrało jej ani świeżości, ani młodości. Pomiedzy nią a Maniusią, której Emil całkiem zapomnieć nie mógł, był pewien rodzaj podobieństwa. Dlaczegóżby „na złość niewdzięcznej dziewczynie“ nie miał się z nią ożenić?

Myśli to były przelotne, bo rozmyślaniu wogóle nie dozwalała się rozpościerać nader żywa rozmowa i wesołe szczebiotanie gosposi.

Podano herbatę. Paczuski się też rozchmurzył, oboje przycinać sobie zaczęli, dowcipować, śmiać się, a sędzina też, spoglądając na nich, usta do uśmiechu składała, tak się jej ta para zdawała dobraną. Emil rozgadał się niepotrzebnie. Wydobyła z niego nawet piękna Bończyna, iż pewien rodzaj współzawodnictwa salonowego, w interesie towarzystwa, do którego Emil należał,

skłonił go do szpiegowania podejrzanego Horpińskiego.

Obie kobiety, słuchając wyznań. nadzwyczaj zostały zdumione.

Raz na tę drogę wszedłszy, Paczuski się już cofnąć nie mógł,—musiał wyspiewać wszystko.

Wdowa teraz rozumiała: dlaczego się jej wydało, że widziała parobka, który tak Sylwana przypominał.

Ale cóż za straszna tajemnica tkwiła w Rusinowym Dworze?

Paczuski odgadnąć jej nie mógł. powtórzył przypuszczenia Konrada.

Sędzina i jej córka spoważniały.

— Ale—panie Emilu — odezwała się Bończyna — ja się często w towarzystwie spotykałam z Horpińskim! Jest to człowiek najlepszego wychowania, bardzo miły. majątny, wykształcony—czyż podobna go o coś podobnego, jak fałszerstwo monet posądzać?!

Zarumieniła się mocno i trochę oczy spuściła.

— Daleko naturalniej przypuścić, że — może mieć tu... jakąś pasyjkę—rzekła zawstydzona.

— Nie—odparł Emil—bo we dworze niema nikogo, nad dwie stare baby—o tem wiem jaknajpewniej.

Każda tajemnica nęci ludzi, a piękne panie szczególniej rade-by je odkrywać. Bończyna była

mocno zaciekawioną — ale, pomimo wszystkich danych, jakie zdobył Paczuski, jeszcze się jej nie chciało uwierzyć w to, ażeby Horpiński mógł się tu część roku ukrywać.

Stary sługa sędziny, który za jej krzesłem stał z serwetą, (a nie zważano na niego), w tem miejscu rozmowy, z poufałością wiernego domownika, zabrał głos.

— Jaśnie państwo darują, że ja się tu wtrącam — ale to pewna, że w tym Rusinowym Dworze — nie ponaszemni nie połudzku żyją... a z Warszawy wistocie do nich zjeżdża, ktoś taki, co się zaraz przebiera pochłopsku i żyje potem, jak parobek.

Rok temu wzięli byli Marysię, — pani wie, od Stawrowej sierotkę — chcieli z niej sobie sługę wychować, ale nie wytrzymała. Dziecko niby było zahnkane, głupie, to się go nie wystrzegano. Napatrzyła się tam dosyć — a teraz opowiada.

Ciekawie zwróciły się oczy wszystkich na starego Filipa, który powoli, odchrząknąwszy, mówił dalej:

— Rej tam, słyszę, wodzi stara jejmość, prawdę rzekłszy, prosta baba, zła, niecierpliwa i ustawicznie lamentująca. Druga, starsza jeszcze od niej, niby-to sługa, ale się tak z nią obchodzi, jakby jej równą była. Parobków dwu, Rusinów.

Ruszył ramionami p. Filip.

— Ten, co tam przyjeżdża z Warszawy, czy niewiadomo z kąd — przebiera się za parobka. i idzie w pole z innymi. choć ręce ma białe.

Milczano przez czas jakiś, wysłuchawszy Filipa. Emil upierał się przy swoim, że tam tkwiła jakaś tajemnica. Mówiono jeszcze o Rusinowym Dworze; w końcu wesołej pani nudno było o tak posępnych rzeczach rozmawiać i. podrażniwszy Paczuskiego. wdała się z nim w plotki o Warszawie.

Oboje tak do siebie dobrze przypadali. że całą godzinę, chodząc po saloniku. przegawędzili wesoło.

Nareszcie czas było powracać do miasteczka. Emil począł się pożegnać. ale musiał dać słowo Bończynie. że gdyby w te okolice zabłądził znowu, niezawodnie Brzózki odwiedzi.

Umówili się oprócz tego, że, gdyby pani Bończyna na czas jakiś przybyła do Warszawy — da znać Paczuskiemu, który się jej ofiarował do usług.

Słowem rozstali się w jaknajlepszej komitywie, a daleko więcej sobie powiedzieli oczyma i tą mową niemą. jaką, nie tylko miłość, ale i miłostki się posługują. niż ustami.

Pani Bończyna była pewną, że trochę mu zawróciła głowę; on nie wątpił, że się jej potrafił podobać.

Nie przywiązywał do tego wagi, ale flirtacya z wdówką była mu przyjemną: można się było tem pochlubić. Bończyna i o tem nie wątpiła, iż do niej zechce powrócić.

Na Paczuskiego jednak wiele rachować nie było można: więcej miał fantazyi, niż serca; zrażał się i zapominał łatwo. pieszczoty mamy uczyniły go samolubem,—a marząc o małżeństwie, wymagał bardzo wiele. Miał prawo do tego. bo on sam przynosił w posagu niemało, a na wartości zimnego serca nie łatwo się było poznać.

Drugiego dnia p. Emil powrócił do Warszawy; po trudach tej wyprawy potrzebował wypoczynku. spędził więc dzień następny w szlafroku, w krześle, nie ruszając się z domu.

Pierwszym znajomym. którego potem spotkał. wyszedłszy na ulicę. był, idący z laseczką do ust przytkniętą—Horpiński.

Emil byłby go może pominął, tak był podrażniony a pochwycony niespodzianie, ale Sylwan wprost podszedł ku niemu.

Twarz jego dziwną ironią była napiętnowana, ale razem pogodna i surowa.

— Gdzieżeś to pan bywał?—spytał, nachodząc na Paczuskiego.—Od kilku dni nigdzie pana spotkać nie było można.

— Szukałeś mnie pan?—mruknął Emil.

— Tak. trochę — uśmiechnął się Horpiński.

— Wiem, że pan jesteś przyjacielem domu Bydgoskich; sądzę, że mu to uczyni przyjemność. gdy oznajmię. że miał list z tamąd. Panna Manusia zaręczona z p. Leonem. Jest to fakt!

Paczuski zagryzł usta.

— Sądziłeś pan. że ta wiadomość uczyni mi przyjemność?—podchwycił.

— Przecież życzysz pan im dobrze, a lepszej partyi znaleźć było trudno—rzekł Horpiński—Wątpię. ażebyś pan na prawdę o niej myślał: juściż cenisz nadto swą młodość. abyś się śpieszył zbytnio pod jarzmo małżeńskie!

To powiedziawszy, Horpiński się rozśmiał, uchylił kapelusza i poszedł dalej.

Paczuski stał krótką chwilę, zmieszany, zrozumiawszy złośliwość, z jaką go Horpiński tą nowiną przywitał. Pragnienie zemsty urosło jeszcze... ale cóż mógł mu zrobić?

Miasto się wyludniło, matka Emila domagała się powrotu jego na wieś; potrzeba było. odkładając na później odwet i walkę — jechać i Horpińskiego porzucić.

— Co się odwlecze, to nie uciecze— powiedział sobie Paczuski.—Nie daruję mu.

Wybór w drogę już się rozpoczynał i przyjęty nanowem elegancki Konrad miał w niej towarzyszyć Paczusiemu, gdy niespodzianie pani i pan-

na Zawierską, które już się na wsi znajdowały—powróciły do miasta.

Sprowadziła je tu nagle choroba dalekiej wprawdzie krewnej. ale niemającej więcej rodziny nad te panie i Bończynę.

Kasztelanowa Morska była w niebezpieczeństwie: Misia, którą ona kochała jak własne dziecko, a ta jej płaciła najżywszem przywiązaniem, nie mogła odstąpić łóża chorej. matka zaś nie chciała się z córką rozstawać.

Salon zwykły Zawierskich nie otworzył się. jak w zimie. ale dwie panie rade były. gdy je odwiedzano. Kasztelanowa stała w tym samym domu i pokoje jej łączyły się z zajmowanemi przez Zawierskie.

Choroba starszki, mimo bardzo już podeszłego jej wieku. nie okazała się tak niebezpieczną jak w początku doniesiono; ale Misia nie chciała jej pozostawić samej z panną rezydentką i wyrzekła się dla niej willegiatury.

Jednym z pierwszych gości, którzy się stawili na rozkazy Zawierskiej. był Horpiński.

Drugim po nim znaleźć się musiał. naturalnie, Paczuski. który podróż swoją odroczył. Gniewało go to, że miał Horpińskiego zostawić przy paninie Michalinie, bo mu wszystkiego zazdrościł i psuć wszędzie pragnął.

Stawił się więc Misi do posług, bo Zawierskie,



zmuszone chorobą Kasztelanowej. urządziły się już tak, aby do zimy w mieście pozostać.

Nie wspominaliśmy o staruszce Kasztelanowej, jako należącej do rodziny, gdyż ona się nigdy większemu światu nie pokazywała. Mieszkanie jej łączyło się z Zawierskich apartamentem; panie część dnia przebywały z nią. ale staruszka nie wychodziła od siebie. i oprócz nich bardzo mało kogo przyjmowała. Doktor H.. stary przyjaciel domu. Przyszyc. jeżeli przyjechał odwiedzić swą panią. niewielu dawnych znajomych — mieli przystęp do Kasztelanowej.

Liczyła ona lat około dziewięćdziesięciu. ale zachowała całą żywość umysłu. pamięć. a nawet trochę wesołości dawnej. Lubiała opowiadać. pośmiać się i posłuchać: kazała sobie czytywać i za natchnieniem Misi dyktowała jej nawet pamiętniki swoje.

Wykształcona, znająca świat. podróżami wielk. zapoznana z towarzystwami stolic — Kasztelanowa była w obcowaniu nader miłą, dobroczynną i — cierpienie dotkliwie zwyciężała wielką mocą ducha.

Zdrowie zmuszało ją od świata zupełnie się usunąć; potrzebowała swobody, i dlatego się zamykała u siebie.

W lecie. ponieważ przejeżdżanie z miejsca na miejsce bardzo było dla niej utrudnionem brała

zwykle panienkę jaką za lektorkę i towarzyszkę, a kochaną Misię wyprawiała gwałtem odetchnąć wiejskiem powietrzem.

Tego roku, gdy zapadła ciężej na zdrowiu, Zawierskie ułękły się, opuściły wieś i przyjechały do babci, która już ich nie wyprawiała na wieś.

Ale urządzono się tak, aby Misia nie nudziła się, miała ruch i towarzystwo.

Przybywający Horpiński, o którym wiadano, że z nim rozprawać i zabawiać się lubiła Misia, powitany był wdzięcznie. Dano mu uczuć, że był pożądanym gościem, a komuż-by to, choćby najzimniejszemu, nie polechtało serca i nie obudziło wdzięczności?

Zawierska wiedziała i czuła, że to nie był pretendent do ręki jej córki, ale człowiek poważny, rozumny, który, jako przyjaciel domu, nie dawał się nikomu zastąpić. Misia przyjmowała go, nie kryjąc się z żywą dla niego sympatią.

Całkiem inny stosunek był z panem Emilem Pacuskim, którego panna Michalina miała za młokosa „bez konsekwencyi“. Bawił ją swoją trzpiotowatością, żywością, niepowściągliwością języka—czasem dowcipem—był usłużny — i gdy za to na obiad go zaproszono, a Misia z nim się potrzpiotała, o ile ona trzpiotać się mogła — uważano dług za spłacony.

I Paczuski się nie rachował za pretendenta, sam nawet tak zuchwałe nie dopuszczając idei.

Niekiedy, po dłuższej rozmowie z czarującą p. Michaliną, ulegając urokowi jej — zamyslał się Emil, wdychał, ale taksamo, a może więcej i żywiej, zajmował się Maniusią, niewdzięczną. i wesołą wdową.

Na zapytanie p. Michaliny: co z sobą wciąż lata począć myśli. gdy Emil grzecznie odparł, iż gotów jest dotrzymywać paniom towarzystwa — rozśmiała się piękna panna i wręcz mu odpowiedziała:

— A! jedź pan do matki. która go oddawna z utęsknieniem czeka — odśwież się powietrzem wiejskiem. Z nami-bys się pan znudził. a prócz tego my więcej teraz przy babuni, niż u siebie będziemy przesiadywały. Mamy tu kilku starszych, którzy pana zastąpią.

— Czy pani zalicza do nich i Horpińskiego? — spytał Emil z przekąsem.

— Jeżeli nie latami. to powagą ma do tego prawo — odpowiedziała Misia — a niemając krewnych, domu, rodziny, może zostać. nie czyniąc żadnej ofiary.

Paczuski zrobił minkę szyderską.

— O tem, czy ma lub nie ma rodziny, nikt nie jest napewno uwiadomionym — odezwał się. — Któż wie czy jedna z dwóch starych bab, chłopek,

którą tam pod Garwolinem gospodarują na kawałku ziemi, a on je często tam odwiedza, nie są jego mamunią i ciocią?

Misia spójrzała surowo na plotkarza, wyrazem twarzy okazując, że jej się to szyderstwo nie podobало.

— Masz pan już tak szczegółowe wiadomości o obrotach p. Sylwana?—zapytała.

— Oplaciłem drogo moją ciekawość, — dodał Emil.—Skradałem się do tych tajemnic, niewiele wartych, jak na polowaniu do płochliwej zwierzyny.

— I tyle tylko upolowałeś? —zapytała ciekawie p. Michalina.

— Niewiele więcej—rzekł Emil. Chciałem go tam, przebranego za chłopą (bo się, słyszę, maskuje), schwycić na gorącym uczynku, ale mi się nie udało.

Paczuski mówił z wymuszonym śmiechem, lecz postrzegł prędko, iż p. Michalina bardzo poważnie i smutnie przyjmowała te zwierzenia się jego, i po krótkim milczeniu—dołożyła:

— Ja też jestem dosyć ciekawą tajemniczego tego człowieka, ale zdaje mi się, że poszanować należy to, co on okrywa zasłoną od oczu ludzkich. I pan powinienes zaniechać tych badań. Jestem pewną, że gdyby się odkryło to, co się ukrywa.

Horpińskiemu - by nie mogło zaszkodzić. ani go wstydzić. Cznę w nim zacnego człowieka.

— Powinien być szczęśliwym, że pani ma o nim tak dobrą opinią — odezwał się Emil. Co do mnie. otwarcie się przyznam. że dla niego sympaty nie mam.

Misia potrząsnęła głową i zamilkła.

Pacznski. chociaż go uwolniono od wszelkich posług, choć matka czekała na powrót, choć tłómkoki były upakowane — zatrzymał się jeszcze.

Przykro mu było nad wyraz wszelki zostawić p. Michalinę ze swym wrogiem. Uczucia tego wytłómaczyć sobie nie umiał; nie był zazdrośnym. bo ani sam się nie kochał. ani posądzał Horpińskiego, aby sięgał tak wysoko, — ale widzieć go przy p. Michalinie — nie miło mu było!

Przez wszystko wiedzącego Konrada doszedł, że małe wieczorki. w kółku poufałem. urządziły się dla kasztelanowej, do których i Horpiński miał być przypuszczony, gdy o nim. o Emilu, mowy nie było.

Zaszkodzić mu nie mógł już i nie umiał. Przynajmniej chciał tego dokazać, ażeby on nad nim pierwszeństwa nie miał i postanowił bądźco bądź. postarać się o to, aby być choć raz przypuszczonym do starnszki.

Wiedział. że jeszcze dalsze niż z Zawierskimi łączyło ją pokrewieństwo z panią Bończyną.

Zdawało mu się, że postąpi sobie nader zręcznie, gdy listem oznajmi o chorobie pięknej wdówce i narzuci się jej za opiekuna i towarzysza. gdy— zapewne zechce odwiedzić babunię.

Nie zważał na to, że ta troskliwość o wdowę, zwiąże go z nią więcej i może dać do myślenia.

Nie zastanawiając się nad skutkami tego kroku, napisał list i oddał go na pocztę.

Kasztelanowa była bardzo bogatą i bezdzietną: wszyscy więc krewni dalsi i bliżsi, nadskakiwali jej pochlebiając sobie, że o nich będzie pamiętać. Oprócz tego p. Bończyńska rada była widzieć Warszawę, a i grzeczność Paczuskiego czyniła na niej pewne wrażenie. Przybyła więc natychmiast, dała o tem znać Paczusiemu i posłała dowiedzieć się: kiedy babunię odwiedzić będzie mogła.

Odpowiedź nadeszła uprzejma. ręką Misi nakreślona, w zastępstwie babuni. Zapraszano Bończynę, choćby natychmiast, ale położony był warunek. aby nikogo z sobą nie przyprowadzała. gdyż Kasztelanową męczą obcy ludzie.

Paczuski. pochlebiając sobie, że mu wdowa wstęp ułatwi, zawiódł się i na tem. Ani przy pierwszych ani przy następnych wizytach nie mogła go wziąć ze sobą.

Ten tylko skutek miała wycieczka pięknej pani do Warszawy, że Emilia do niej. ją do niego. bardziej jeszcze zbliżyła. Paczuski, sam o tem nie-

wiedząc, zaplątał się, półsłówkami poszedł dalej niż chciał, nie krył się ze swem uwielbieniem dla pięknych oczu, a śmiejące się piękne oczy wcale się za to nie zdawały gniewać.

Razem byli w teatrze; parę wieczorów przesiedział z panią Bończyną; Emil towarzyszył jej do sklepów, biegał za sprawunkami, naostatek poprowadzał ją aż za miasto. Dopiero powróciwszy, gdy ochłonął nieco i rozważył swe postępowanie, postrzegł, iż poszedł daleko dalej niż należało — i że piękna wdowa trochę miała prawo rachować na niego.

Zmęczony, zmęczony, zrozpaczony. w końcu jednego dnia nagle posłał po konie, siadł do powozu i pojechał do matki.

Gniewał się na siebie.

Horpińskiemu wiodło się daleko szczęśliwiej. Niecierpliwilo go wprawdzie szpiegowanie Emila i ten rodzaj prześladowania, lecz szkodzić mu to nie mogło. Jedyne dom, który cenił i bywać w nim lubił, był dla niego otwartym. Z sercem, boleścią długą zamkniętem. Sylwan ani mógł zamarzyć o pannie Michalinie, a położenie jego towarzyskie wogóle nie dozwalało mu ani myśleć o ożenieniu się: nie mógł więc dopuścić zakochania się, a miał moc wielką nad sobą. Panna Michalina była mu miłą—i stanowiła ciekawą psychologiczną zagadkę.

Nie była podobną do pospolitych kobiet, które on spotykał w ciągu życia. Niezwyczajnej piękności, nie była zalotną, a pomimo to piękność swą umiała i lubiła uwydatnić nader wytwornem ubraniem, smaku pełnem. Młodzieńczy zapal łączył się w niej z panowaniem nad sobą, spokojem, z jakimś zadowoleniem warunkami życia—które się rzadko w młodych spotyka.



Kiedyż marzyć, jeżeli nie w tych latach życia, przed którymi szeroko się rozlegają lazurowe przestrzenie?

Wstęp do życia zawsze się prawie odznacza jakąś gorączką i niecierpliwością. Chcemy co prędzej wypić kielich — na którego dnie gorycz czeka.

W pannie Michalinie żadnego z tych symptomów młodości nie widział Sylwan: przeciwnie, zdawała się używać z rozkoszą tego, co miała, nie śpiesząc wcale po to, co się jeszcze obiecywało.

Otoczona rojem młodzieży, wśród której wielu było mogących się podobać i zająć, nigdy nie wyrosła dotąd nikogo—oprócz Horpińskiego.

Ale i w tem zajęciu się nim może rodzaj tajemnicy, jaka go osłaniała, nie był bez udziału i wpływu.

Zamiłowanie sztuki, rzeczy poważnych, ludzi poważnych—starczyło jej doskonale do wypełnienia chwil swobodnych, a nie przeszkadzało zadość uczynieniu obowiązkom względem matki, którą kochał najczulej, a nawet trochę zajęciom około domu.

Horpiński patrzył na ten posąg chodzący z uśmiechem spokoju na ustach, z czołem wypogodzonym, z oczami pełnemi myśli, niedających się wyrazić w żadnym języku, i nie mógł się powściągnąć od uwielbienia dla niej.

Nie była to miłość taka, jaką w młodości gorę-  
ją serca, gdy im zmysłowe wrażenia przygrywają;  
nie była to namiętność ale pociąg niezwykły  
ku istocie wyjątkowej. Zajęcie się nią zwiększała  
myśl smutna. natrętna: jaki los spotkać może tę  
kobietę w przyszłości?... Nie widział nikogo doko-  
ła. coby jej był godnym; rodzina. matka musiała  
ją wydać za mąż — było to w porządku rzeczy.  
było koniecznością—ale za kogo?

Horpiński ubolewał zawczasu i gubił się w przy-  
puszczeniach wyboru. jaki ona uczynić mogła.  
zmuszona wkońcu wybierać. Tak łatwo się było  
omylić.

Z każdym dniem prawie sympatya dla panny  
Michaliny w nim rosła, stawała się jedną z my-  
śli obrotowych jego życia; lecz Sylwan nie wi-  
dział w niej dla siebie niebezpieczeństwa.

Złudzeniom nie poddawał się żadnym, nie spo-  
dziewał się niczego.

Z drugiej strony panna Michalina z równem  
zajęciem przypatrywała się, badała — usiłowała  
odgadnąć tego człowieka, który się jej wydawał  
wyższym z wielu względów od otaczających ją.

Mogła z nim mówić o wszystkim: rozumiał ją  
zawsze, odgadywał — myśli ich harmonizowały  
z sobą.

Ta była różnica w ich zapatrywaniu się na  
świat, że ona cieszyła się tem, co miała; on był

nieuleczonym smutkiem przejęty, który mimowoli się zdradzał.

Domyslała się jakiejs tragedyi w jego losie—czegoś co chciał zapomnieć. Litowała się nad nim, chociaż dźwigał heroicznie swe brzemie, nigdy się nie uskarżając na nie.

Wieczory u babuni—zgromadzały kółko bardzo niewielkie. Warunkiem dopuszczenia do nich było: przynosić na nie trochę wesołości przyzwoitej — umiejętności prowadzenia rozmowy i słuchania jej; wreszcie nie mówić zbyt głośno i trzymać się zawsze na wodzy.

Znany z dowcipu stary professor-malarz, przez długi pobyt w Rzymie, pół-Włoch, który lepiej mówił o sztuce, niż malował, dwie podżyłe damy ze sfer wyższych, naostatek Horpiński, przypuszczeni byli do małego saloniku.

Ciepły, zaciszny, dosyć posepny, niewiele też więcej osób mógłby być wygodnie pomieścić. Chodziło się tu pocichu, na palcach; mówiło się półgłosem.

Na kanapce, umyślnie na to zbudowanej, poduszkami obstawiona, z nogami w kołdry poobwijanemi, leżała nawpół, wpół siedziała, stara kasztelanowa, z pończoszką w ręku, którą nieustannie ktoś musiał brać do korekty.

Piękna, błada jej twarz, łagodnego wyrazu, ciągle się zwracała ku gościom, a oczy i uszy usi-

łowały pochwycić, co się wkoło działo—bo wszystko ją zajmowało jeszcze.

Zwykle Misia albo pani Zawierska siadała najbliżej, aby w potrzebie niedosłyszanego coś wytłómaczyć.

Na stoliku przyćmiona lampa musiała cały salonik oświecać—bo wielkiego światła nie znosiły osłabione oczy.

Zasiadano dokoła, a gdy babunia zażądała kogoś mieć bliżej, robiono mu miejsce. Każdy coś przynosił z sobą: opowiadanie jakieś, wiadomość z dziennika, postrzeżenie, plotkę niewinną. Niekiedy czytywano coś niedługiego, bo starszka interessowała się literaturą. Znała dobrze dawniej Niemcewicza i wielu innych poetów, Karpińskiego umiała coś na pamięć. Książnina smutnego końca nie mogła dosyć opłakać.

Niekiedy sama ona coś ze swych wspomnień wydobywała. Ale ile razy się to trafiało, znając do starości, iż się ona powtarzać lubi, kasztelanowa naprzód troskliwie dopytywała: czy już nie opowiadała dawniej?... Bała się znudzić. Był to rodzaj kokieteryi umysłowej, aby się nie wydawać starą.

Choć ton i nastrój rozmowy był tu zawsze poważnym, nie przechodził jednak nigdy w smutny: uśmiechano się chętnie.

Wieczór z herbatą, którą roznoszono, podając

ją na małych stoliczkach. zaczynał się wcześniej niż zwykle w mieście. ale też kończył przed dzieśiątą. bo babunia miała jeszcze do odmawiania pacierze i potrzebowała zasnąć przed północą.

Kasztelanowej wprowadzony tu p. Horpiński podobał się niezmiernie. Znalazła go dystyngowanym. a po kilkakrotnej z nim rozmowie przyznał Misi. śmiejąc się. że była w nim rozkochaną.

Prawda, że Sylwan, nawykły szanować starość. umiał się nadzwyczaj zręcznie zastosować do odgadnionych babuni upodobań i form towarzyskich.

— Ktoś mi mówił—odezwiała się raz staruszka— że tego Horpińskiego pochodzenie jest ciemne. osłonięte tajemnicą — ale proszę ja was. fizjognomia świadczy o krwi. *Il est de race*, to widoczne. Tego człowiekowi nie nadaje wychowanie, tego nauczyć się nie można: przynosi się to z sobą, we krwi.... a długie pokolenia na takie wyszlachtowanie pracują.

Starano się, wiedząc, że babunia polubiła Sylwana. miewać go jaknajczęściej. Nie siadywał jednak ciągle przy babci i panna Michalina mogła z nim długie prowadzić rozmowy.

Sylwan, niegdyś. po ukończonem wychowaniu, podróżował wiele; był zakochany we Włoszech. nabrał smaku do sztuki, zwiedzał potem prawie

wszystkie galerye europejskie — treści więc do rozpraw nie brakło.

A że sztuka związaną jest nierozzerwanym węzłem z życiem — mówiło się wogóle i o życiu wiele.

— Spędzasz pan całe lato w mieście? — zagadnęła go jednego wieczora p. Michalina.

— Nawykłem do tego — rzekł Sylwan — robię czasem małe wcieczki, ale na krótko.

— Ja rozumiem, że podróże czasem są potrzebną — odezwała się Zawierska — człowiek potem dom swój lepiej ceni, kocha go więcej.

— Ja nie mam domu — szepnął Horpiński.

— Mógłbyś go pan sobie stworzyć — mówiła dalej p. Michalina — przywyka się do wsi łatwo.

Horpiński nic nie odpowiedział.

— W której stronie kraju żyła pańska rodzina? — śmielej wtrąciła pytająca.

Sylwan podniósł głowę, pomyślał, czoło mu się zachmurzyło.

— Nie mam rodziny — rzekł krótko — i tak, jakby się o tem więcej nie chciał rozszerzać.

— Nikogo! — mimowolnie wyrwało się Misi.

Milczeniem odpowiedział Horpiński.

Panna Zawierska natychmiast zmieniła rozmowę, zrozumiawszy, iż przykrą być mogła dla Horpińskiego.

W chwilę potem nie było widać po Sylwanie.

że został podrażnionym boleśnie; lecz wyraz twarzy, krótkotrwały, który nie uszedł baczności Misi, nauczył ją, że nigdy więcej przedmiotu tego dotykać nie była powinna.

Starala się tegoż wieczora wynagrodzić swą niezręczność Horpińskiemu uprzejmością wielką i okazaniem mu współczuciem.

Gdy się wszyscy porozchodzili, a przy babci została tylko Misia, aby dopilnować przenosin jej do łóżka, staruszka dała jej znak, pochyliła się do ucha i grożąc palcem—szepnęła:

— Moja Misiu— ostrożnie! Biednego tego filozofa gotowaś zbałamucić i rozkochać. Jak on cię pożera oczyma.

Zarumieniła się Michalina.

— A! babciu—odparła śmiejąc się—nie jest to płochy młodzik.

— Tem gorzej—dokończyła staruszka—bo więcej cierpieć będzie. Już to prawda, że do ciebie się zbliżyć a nie rozkochać w tobie—nie podobna—ty, moja czarowniczkę droga.

I pocałowała ją w czoło.

— Ale i ty moje serce, bardzo mile na niego spoglądasz! Ej! ej!

Michalina usiadła przy babce.

— Będę szczerą—odezwała się do niej.—Nie taję tego, że ze wszystkich mężczyzn, jakich bliżej poznać mogłam, ten Horpiński pewnie mi się

najlepiej podobał. Ale—nie zakocham się w nim, bo ja się nie mogę w nikim zakochać. Taka już natura moja.

Staruszka głową potrząsnęła.

— Nie ufaj zbyt swojemu sile — rzekła.—Człowiek, bezwątpienia, bardzo miły, ale partya nie dla ciebie.

Spojrzała pytająco Michalina, nic nie mówiąc.

— Tak, moja duszko — mówiła dalej babcia— sama mi to powiedziałaś. że jest jakimś sierotą bez rodziny, no—i bez nazwiska. Nie możesz być panią Horpińską.

— I nie myślę też nią być — dokończyła, wstając Misia—tak jak on nie myśli pewnie o mnie. Chciałabym tylko, doprawdy. głębiej sięgnąć w to jego tajemnicą osłonięte życie, które on okrywa tak starannie.

Co też na niego i o nim wymyślają!

Dnia tego rozmowa nie poszła dalej.

Sylwan pozostał w mieście.

Wiadomy wyjazd Paczuskiego na wieś do matki, czynił go całkiem swobodnym, bo się już nieznosnego śledzenia nie miał co obawiać; ale towarzystwo Michaliny ciągnęło go i trzymało tu przykutym.

Wyrzucał sobie tę słabość: opuścić jej nie mógł.

Pani Zawierska, troskliwa o córkę, starała się ją czemś rozerwać. Urządzano więc wycieczki



w okolicy. do których i Horpiński z professorem starszyskiem był używany.

Misia nie jeździła konno — znajdowała to nie-stosownem dla kobiety—ale lubiła naturę, lasy, miała namiętność krajobrazów. studyowała je z rozkoszą.

Parę więc powozów brano zwykle na cały dzień, wyjeżdżając za miasto — a Michalina z artystą pół-Włochem usuwała się na stronę, aby niepostrzeżona mogła szkicować widoki, które potem przenosiła na płótno. Powracała z tych wycieczek bardzo ożywioną i szczęśliwą.

Sylwan też zapominał się przy niej. rozweselał się i odmładzał. Rysował on także, ale się do tego nie przyznawał.

Przy Michalinie wychodził z normalnego swego stanu. w którym od młodości. poznawszy rzeczywiste położenie swoje. trwał ciągle. Wpływ matki, widok tego, co go okalało, wyrabiały w nim nienawiść dla ludzi, urządzeń społecznych—pojęć, które panowały i powszechnie były przyjęte. Skazany na wiekuiste wydziedziczenie i sieroctwo, choć napozór znosił je cierpliwie, w głębi duszy jednak miał nienasyconą chęć zemsty nad tymi uprzywilejowanymi, których sądził szczęśliwsiymi od siebie.

Doznawał jakiejś przyjemności niezdrowej, gdy się komu z nich pośliznęła noga. gdy kto padł lub.

blizkim będąc celu, został w nadziejach zawiedzionym.

Prześladowanie Paczńskiego, acz nieprzyjemne, było mu niemal pożądanem, bo dozwalało z czystiejszem sumieniem żądać i szukać odwetu.

Taksamo widok innych powodzeń burzył go. niecierpliwil. Dlaczego inni mieli być od niego szczęśliwsi? tego nie rozumiał. Jeżeli mógł temu przeszkodzić, zdawało mu się, że spełniał posłannictwo Opatrzności, obowiązek—że w ten sposób równał ludzkie przeznaczenia.

— Za cóż ja mam być skazanym, gdy jestem niewinny? —mówił w sobie.

Uprzejmy i grzeczny w towarzystwie. usłużny chętnie. miał sławę człowieka uczynnego i dobrego; ale wistocie był takim tylko w powszedniego życia pomniejszych wypadkach: w głębi duszy nosił niechęć, żal i gorycz, które się objawiały przy danej sposobności.

Jedynie towarzystwo Michaliny leczyło go z tej choroby—nienawiści szczęśliwszych.

Ale nawet w rozmowach z nią gorycz się ta przebijała — i Michalina musiała z nią walczyć. Pochwycony na mizantropii, Sylwan milczał. Panna Zawierska, poznawszy w nim to usposobienie. powolnie starała się go uleczyć z niego.

— Pan mnsiałeś wiele złego doznać od ludzi—

spytała go raz—gdy tak wogóle o nich masz nie dobre wyobrażenie i zamało miłości ku nim?

— Ja osobiście skarżyć się na nich nie mogę — mówił Sylwan — trzymam się zdaleka od zgiełku, od tłumu, i nie mieszam się między czynnych: jestem widzem. Ale dosyć wejrzenia na ten świat, ażeby się zniechęcić ku całemu plemieniu ludzkiemu.

— Mnie się zdaje, że zamiast zniechęcenia należałoby mieć dla niego litość, współczucie i pracować na to, aby je poprawić i uszlachetnić.

Mnóstwo fałszywych pojęć chodzi po świecie, które potężnie wpływają na postępowanie: należy je prostować i wykorzeniać.

— Pani sądzisz, że to jest możliwem?!— pytał Sylwan szydersko.—Ja myślę, że to praca stracona: ludzie będą zawsze, jakimi byli. Wyjątki się znajdują lepsze: ogół zostanie pogardy godnym.

Misia nie dawała mu tego mówić—protestowała żywo. Wśród najgorętszych rozpraw Horpiński przerywał je milczeniem; ustępował jej, ale nic nie dowodziło, ażeby był przekonany. Tak upływały tygodnie i miesiące letnie; zbliżała się jesień.

Przez ten czas Horpiński, nieodstępny, częsty gość w domu Zawierskich, uzyskał u nich zaufanie, chociaż Misia nie mogła mu zgorzknienia darować—i niechęci ku ludziom.

Przy niej i dla niej był on innym.

W obrazach życia, malowanych z fantazyi, nie z natury, trafia się najczęściej spotkać miłość występującą jak *Deus ex machina*, od pierwszego wejrzenia zapalającą się, gwałtowną — piorunującą.

Wprawdzie nie można zaprzeczyć, iż i ten fenomen trafia się w rzeczywistości, ale jest daleko mniej pospolitym, niż — w poezyi i romansach.

Miłość rodząca się zwolna, obcowaniem, poznaaniem bliższem krzepiąca się, daleko więcej na to imię zasługuje.

Zmysłowy pociąg objawia się żywo i piorunowo, przywiązanie głębokie rośnie z czasem i z każdym dniem staje się mocniejszym. Z pierwszej miłości szaleją ludzie, z drugiej umierają.

Sylwan po kilku miesiącach dopiero postrzegł się, że ta niewinna jego przyjaźń dla panny Michaliny, w której domu nie obawiano się go wcale, stawała się powoli już czemś do namiętności podobnem.

Nie miała ona wybuchów namiętnych, ale sama myśl, że stosunek się mógł zerwać, że on mógł być pozbawiony widzenia jej, rozmowy z nią — przyprowadzała go do rozpacz.

Przekonawszy się o tem, badaniem serca własnego — Sylwan się uląkł.

Przypomniwał sobie, że przed kilku miesiącami

był daleko obojętniejszym. że nałóg serca wzrósł, że mógł dalej jeszcze wzmódz się i stać groźnym, niosąc dnuży nieszczęście.

Rozum nakazywał w porę się cofnąć, szukać na to ratunku—przemódz siebie.

Dotąd, ilerazy uczynił jakie postanowienie, zawsze spełniał to, co zamierzył; tymrazem znalazł się słabym i wahającym. Schwycił się na sofizmatach i wykrętach.

Jeszcze tydzień, dwa — zło już wzrosnąć nie może—mówił sobie. — Dlaczego mam sobie odmówić jedynej, niewinnej w życiu rozrywki—wyrzec się kilku dni jasnych?

Przyjdzie odcierpieć za nie? Dlaczegożbym nie miał zapłacić, jak się wszystko oplaca na świecie?

Nie zaprzestał więc chodzić do Zawierskich, ale odwiedziny coraz rzadszemi chciał uczynić.

Szukał innych roztargnień: nie umiał ich znaleźć.

Słabość własna upokorzyła go, bo dotychczas chlubił się panowaniem nad sobą.

Co się działo z p. Michaliną—trudniej jeszcze określić.

Sylwan ją oddawna interessował, był jej—sympatycznym naprzód dla jakichś niezrozumiałych, niewytłómaczonych przyczyn. Po zbliżeniu się do niego, opinia, z wejrzenia powzięta, potwierdziła się; p. Michalina towarzystwo jego znajdowała

milem, godziła się z nim w wielu rzeczach, a niepodzielając jego pesymizmu i goryczy, w nim i to nawet usprawiedliwiała.

Gdy przez dni kilka Horpiński nie przybywał, niepokoiła się; czuła, że jej kogoś brakło, szukała go oczyma—oczekiwała na niego. Przybywającego witała z nienkrywaną radością.

Oko matki, które wszystko to widziało, a serce odczuwające każde dziecka wzruszenie — z początku nie widziało w tej przyjaźni nic groźnego — w końcu pani Zawierska, każdy symptom chwytając, zaczynała się zamyślać.

Wyznała przed kasztelanową, że się lęka o Misię.

Nie jest ona skłonną do tego, aby się jej głowa zawróciła i lada kto nie dokaze, aby ją zajął — mówiła do babci — tymczasem ten Horpiński! ten Horpiński!...

Nie wygląda to na miłość, ale u Misi i to uczucie innem być musi, niż w pospolitych dziewczętach — dla tego się boję.

Rozmów się z nią otwarcie! — radziła babcia — Ona ma tyle rozumu, że wszystko jej powiedzieć można.

Zawierska, słaba dla córki, kochająca ją nad życie, rozpoczynała bojaźliwie rozmowę nieraz; ale najmniejsze słówko córki, zbijało ją z tropu. Nie chciała jej uczynić przykrości.

Wmawiała potem w siebie, że obawy były próżne.

Niemniej jednak, po upływie tych paru miesięcy, Misia, gdy myślała, że kiedyś rozerwie się ta dobra przyjaźń z Horpińskim, że się przyjdzie rozstać—wzdychała.

On jeden dostał tego szczęścia i miał ten przywilej, wraz z malarzem (pół-Włochem, tak go tu zwano), iż go przypuszczono do oglądania artystycznych prac panny Michaliny.

Stało się to naówczas, gdy się przyznał przed nią, iż i on chorował na dyletanta.. rysował i zbierał motywa krajobrazów w nadziei, iż z nich kiedyś stworzy arcydzieło, gdy nadleci z góry natchnienie. Wspólna miłość sztuki stała się nowym węzłem, który ich połączył.

Jesień się już zbliżała, gdy Sylwan, który zbyt długo już nie widział matki, uczuł się w obowiązku odwiedzenia jej. Wiedział już naprzód, jak ona go przyjmie, choć sama wyprawiała z Rusinowego Dworu.

Potrzeba było znaleźć jakiś pozór do odjazdu i wytłómaczenia się, ale w tem nie było trudności. Pierwszy lepszy mógł starczyć; Sylwan nie potrzebował tym razem bawić długo, ale chciał widzieć matkę.

Musiał zmyśleć jakieś zaproszenie na polowanie i—pojechał.

W parę dni po wyjeździe jego niespodzianie przybył do Warszawy Pruszczyk. ów przyjaciel domu i ogólny rządzca a opiekun Zawierskich.

Mówiliśmy, jak ponętały i serdeczny stosunek łączył go z tym domem.

Przybycie jego w jesieni. w porze, gdy około gospodarstwa wiele jest do czynienia. zdziwiło trochę i nastraszyło Zawierską, która była z natury bojaźliwą.

Gdy się z nim znaleźli sam-na-sam, wyraziła mu to swoje zdumienie i postrach razem.

— Mój drogi kapitanie—rzekła—lękam się. że mi może przywozisz co złego! Wiesz jak jestem szczęśliwą. gdy cię widzę; ale. ponieważ w tej porze się ciebie nie spodziewałam. mrę z trwogi!

Pocziwy Pruszczyk rozśmiał się, pokręcając wąsa.

— Niechże to się pani zupełnie uspoko! — rzekł — prawda. że nie przyjechałem zupełnie z próżnemi rękami i dla satysfakcyi ucalowania jej rączek... ale — złego nic nie przywożę.

— No—to mów-że, co cię tu do nas napędziło—odezwała się Zawierska. nie trzymaj mnie w niepewności.

Pruszczyk rozpoczął powoli.

— Jest to tajemnica. Mam pretendenta do ręki panny Michaliny. którego poznałem wypadkiem, bo i on i ja mamy passyą koni. Był tu w War-



szawie w czasie ostatnich wyścigów. widział pannę Michalinę. podobała mu się bardzo. słyszał o niej wiele, no — i przez wspólnych znajomych starał się zbadać. czy jego staranie — będzie dobrze przyjęte. czy nie ma już kogo, z kim-by rywalizować potrzebował.

— Któż to taki?

— Bogaty obywatel z Ukrainy. czy z Podola. właściciel znakomitej stadniny—mówił dalej Pruszczyk.—Konie ma. powiadam pani — niech go!!... Sam nader miły człowiek. Politura na nim doskonała. No—może w głowie tam nie ma wielkich zapasów; ale na powszednie potrzeby świata, aż nadto. Podróżował wiele. przytem powierchowność piękna, postać i fiziognomia dystyngowane. ród dobry. majątek znaczny i oni go z bratem nietylko nie tracą, ale ogromnie dorabiają.

— Jak się zowie? — zapytała Zawierska.

— Wacław Nitosławski—rzekł Pruszczyk.

— Ale mnie się zdaje, że mi go pokazywano—odezwała się pani domu. Było ich dwóch braci. do siebie bardzo podobnych. a. co dziwniej, upatrywano w nich nadzwyczajne podobieństwo do kogoś nam dobrze znajomego, do Horpińskiego, którego u nas widzieć mnsiałeś.

— Nie przypominam już sobie—odparł Pruszczyk — ale być może, bo mi, gdy raz pierwszy

spotkał Nitosławskiego, jego fiziognomia wydała się jakby znajomą i gdzieś już widzianą.

— A o tem nie wiesz — dodała Zawierska — że to jest, w dodatku, wielki faworyt Misi.

— Kto!... Horpiński? — zaczął Pruszczyk.

— A tak!

— Jakże się to ma rozumieć? — spytał kapitan.

— No — lubi go. rozmawia z nim chętnie. znajduje sympatycznym — wytłómaczyła matka.

— Więc wnosząc z tego i Nitosławski mógłby się podobać — rzekł kapitan — jeżeli są tak do siebie podobni.

Po krótkiej naradzie wypadło z niej naprzód iż Misia wcale o tem nie powinna była wiedzieć, że ten jakiś Nitosławski miał projekta. Pruszczyk zaś mógł mu oświadczyć, że będzie dobrze widzianym.

Kapitan przyjeżdżając z tą propozycją, przywiózł jako troskliwy opiekun, pozbierane z różnych stron wiadomości o Nitosławskich. ich rodzinie. stosunkach. wychowaniu. charakterze. majątku. Wszystko wogóle mówiło na ich stronę, oprócz jednej może zbytnej zabiegliwości o robienie grosza, która Misi w smak iść nie mogła. Ceniła ona niezależność, lubiła dobrobyt. ale nie był dla niej jedynym celem życia. Zawierska więc nprzeczila Pruszczyka, aby prze-

strzegł, iż o swych olbrzymich spekulacyach pretendent zbyt wiele mówić był nie powinien.

P. Wacław miał przybyć późną jesienią i—jeśliby mu się powiodło, zabawić tu dłużej. Niepokojna o przyszłość córki Zawierska podziękowała opiekunowi. lecz zapowiedziała mu razem, że—na córkę wpływać ani może, ani chce, i zostawia jej zupełną swobodę rozporządzania sobą.

— Kto zna pannę Michalinę — odparł Pruszczyr —ten się dziwić nie będzie, iż pani ufasz jej wyborowi: ona złego uczynić nie może.

W Rnsinowym Dworze znalazł Sylwan matkę tak, jak przewidywał: długą tęsknotą za nim zmęczoną i rozdrażnioną, niemal gniewną na syna a rozmiłowaną w nim więcej, niż kiedykolwiek. Gdy przybywającego pochwyciła w namiętny nścisk macierzyński i rozplakała się — utulić jej nie było podobna.

W czasie niebytności Sylwana biedna kobieta. marząc nieustannie, to o swej przeszłości. to o przyszłości syna—wpadła była na pomysł dziwny.

Były dnie, gdy go dla pomsty nad lachami. chciała widzieć rodzajem Wallenroda między nimi—to znowu oburzała się na to. ażeby krwi i rodu a plemienia matki się mógł zaprzec. Przychodziły jej myśli najdziksze.

W jednym z tych marzeń gorączkowych wpadła na pomysł osobliwy: powiedziała sobie. że gdyby synowi wybrała i wychowała piękną ukraińską dziewczę. a ożeniłaby go z nią—pozostałby

wierny swemu macierzyńskiemu pochodzeniu. a zerwałby z tym nienawistnym światem. który dla Horpyny był wrogiem.

Tatiana, której się zwierzyła, choć nie dufała w to. aby z najpiękniejszą ukraińską dziewczyną można było tego „panicza“ ożenić. inaczej to pojęła i bardzo gorąco myśl przyjęła.

— Niechaj weźmie jaką sierotkę na wychowanie—mówiła w sobie — będzie się nią zajmować musiała — a tych wiecznych płaczów i lamentów poprzestać. Dziewczynie to wyjdzie na dobre, a i jej z tem nie gorzej będzie.

Pochwaliła więc wniosek.

Postanowiono dla wyszukania krasawicy dziesięcio lub dwunastoletniej wyprawić starego Harasyma. który zwykł był raz w rok jeździć ku Humanowi, do swoich. Harasym. rad podróży podejmował się spełnić polecenie, nie widział w niem trudności, chwalił myśl, gotów był ruszyć, choć zaraz.

— *Odkład ne ide w ład!* — powiedziała Tatiana—robić w polu niema co. bo już zasiano. a około domu Trochym posłuży.

Horpyna dobyte z kufra pieniędzy, Harasym biedę nasmarował, konia przysposobił. i rad tej wycieczce, rnszył z zaleceniem, aby jak można, najprędzej powracał.

Tatiana obawiała się, nie bez przyczyny, aby

Horpynie myśl pierwsza, po rozwadze nie zdała się śmieszną i dziwną. Starala się więc codzień poddawać jej coś, aby nie zraziła się do przyjęcia sierotki. Kłopotala się tylko stara, by Harasym dobry wybór uczynił, żeby i krasiwą i roztropną i z pocziwego gniazda przywiózł dziewczynę.

Ale na starego, przebiegłego Ukraińca zdać się było można. Prostý człowiek miał bystre oko i instynkt nadzwyczaj trafny, jak dzikie zwierzęta węch czasem miewają.

Po wyjeździe starego posłańca liczono dnie, tygodnie, godziny niemal, z najżywszą niecierpliwością wyglądając jego powrotn.

Codzień Horpyna mówiła o nim z Tatiana. Stara sługa miała i ra-buby i pocznica — oznaczała dnie, tłumaczyła zwłoki, ale cztery całe tygodnie upłynęły, nim się biedka Harasyma zjawila znów we wrotach.

Tatiana wybiegła, jak stała, aby zobaczyć, czy wiozł z sobą—ową pożądaną zdobycz, i rozradowała się niezmiernie, gdy zpod boku Harasymowi wyjrzała ciekawa, roztropna główka dziewczęcia wyrostka.

Rysów zdaleka dojrzeć nie było można, ale stara, nie czekając, pobiegła ku stajni, silnemi rękami pochwyciła dziewczyninę, trochę wylęklą.

wzięła ją na ręce. całować zaczęła i przypatrywać się z ciekawością.

Horpyna stała już we drzwiach, wołając, aby ją wnet podała...

Przestraszone dziewczę, choć było uprzedzone przez Harasyma, że jej tu będzie dobrze, jak w niebie, poczynęło popłakiwać, zasłaniało sobie oczka—gdy pieszczotliwy głos Tatiany —uspakał ją i tulił.

Sierotka była piękną. Opalona twarzyczka tryskała zdrowiem. Rysy przypominały Horpynę może, taką, jaką była w młodości. Twarz, ślicznych linii, nie miała jeszcze wyrazu, który daje dopiero życie samo; lecz dzieciństwo spędzone w pracy, często do myślenia o sobie zmuszone, napiętnowało ją już pewną energią.

Czarne włosy bujne, w warkoczach wstążkami pozaplatanych, zwijały się jej około główki. Przyodziewek był ubogi. Praca w polu, słońce i wiatr, ściemniły skórę — lecz Tatiana sobie ją wybielić obiecywała.

Gdy na ziemię ją, chwiejącą się i nieśmiałą, postawiła Tatiana przed Horpyną — stara wlepila w nią oczy chciwe, ciekawe — i, przypomniawszy sobie może młodość własną — rozplakała się naprzód.

Dziecko, słysząc szlochanie, wtórowało mu.

Trwało to jednak krótko. Tatiana opanowała złobycz—i naprzód spytała o imię.

Harasym czy przypadkiem. czy umyślnie dobrał—drugą Horpynę...

Co było robić? Tatianie się to nie podobало, ale imienia patronki zmieniać się nie godzi.

Posadzono sierotkę nad misą mleka, oczekując, ażby Harasym. konia postawiwszy. przyszedł zdać sprawę z podróży. Stawił się on wprzódce, widocznie dumny z tego, że mu się wyprawa powiodła.

Zdaniem jego, Pynia (tak ją spiescił), miała wyrosnąć na taką krasawicę. jakiej świat nie widział. a co do roztropności jej. zręczności, ochoty do pracy. o tych się mógł w czasie podróży przekonać. Zaręczał. że już teraz mogła się przydać w gospodarstwie, a w dodatku piosnek siła umiała.

Sierotą była po rodzicach i miała tylko dziadka po ojcu. który oslepył chodził za jałmużną. Usługiwała po krewnych. od których z niemałym trudem potrafił ją odebrać Harasym. Chwalił się, opowiadając, jakich musiał używać środków, jakiej przekonywającej wymowy. aby ten skarb dostać.

Miał kilka na widoku, ale żadna tej nie dorównywała.

Dano mu się wygadać dosyta, napojono go wódką



i odprawiono. zajmując się natychmiast dziewczęciem. które uadzwycza' prędko przystało do Horpyny, obyło się z domem —odgadło jakoś swe obowiązki.

Stara na krok jej nie odstępowała. Wistocie ustały narzekania. lamenty. zawodzenia. bo się trzeba było zająć sierotką. a Tatiana i sama pani na wyprzódki troskały się około dziecka.

Nie przywiozła ona z sobą nic, oprócz pary kożuszek i spódniczek w węzelku. Siermiężkę na podróż kupił dla niej Harasym i proste czarne buciki; krzyżyk mosiężny na szyi stał za korale. za paciorki. których ani jednego sznurka nie miała.

Natychmiast więc potrzeba się było zająć ustrojeniem jej, bo Horpyna chciała. aby wyglądała pięknie, aby chodziła, jak ona. Obie z Tatianą nazajutrz zaraz zajęły się wyborem strojów do przerobienia przeznaczonych. Horpyna sama uczesała jej i zapłótła włosy. zawiesiła sznur korali na szyi — i przez cały dzień nie puściła jej od siebie.

Dziewczę było z początku nieco przestraszone. nieśmiałe, opowiadając jej o wsi, o sobie, o podróży. To szczebiotanie, dawno niesłyszane. jak powiew wiosenny działało na starą Horpynę: musiała dla malej tej zapomnieć o sobie. Twarz się jej wypogodziła.

Następnych dni obie kobiety zajmowały się więcej Pynią, niż gospodarstwem. Obaj parobcy również tym przybysem byli rozradowani i przypatrywali się dziewczęcin z rozrzewnieniem—potrząsając głowami: przyniosła im z sobą wspomnienie Ukrainy, głos ich domowy. Dogadzano i służono Pyni, zamiast ją do posług nżywać, aż sama się musiała do roboty narznieć, aby pokazać, że się na coś przydała. Dopieroż uniesienie było niezmiernie, gdy, zręczna i silna, zaczęła biegać, nosić, zwijać się i wśród śmiechu gospodarzyć.

W tej pustyni, otoczeni obcemi wszyscy młodzi ludzie Rnsinowego Dworu odżyli z łaski kropli młodości, która na nich spadła, jak z nieba: najwidoczniejszą jednak była zmiana w starej Horpynie, która daleko weselszą była, a gdy podawnemu zasiadała nucić, zawodzić i płakać — dosyć było, aby dziewczę przybiegło: natychmiast lzy osychały i zaczynało się wesołe szczebiotanie.

Pynia z początku tęskniła za swoją wioską, w której była biedną i często głodną sierotą, a pracować musiała od świtu do nocy: ale powoli przywykała do nowego bytu, oswoiła się z nim — i dziecinna wesołość wróciła. Stroje, wygody, pieszczoty, słodkie słowa — nie dawały myśleć o przeszłości.

Zwolna ona tu niemal panować i rozkazywać zaczynała — wszystko jej prawie wolno było.

Horpyna przypatrywała się jej pilno, chcąc ją mieć i piękną — i rozumną i dobrą. Zapowiedziała Tatianie, namysliwszy się — aby, gdy Sylwan przyjedzie, nie wyrwało się jej z ust to, że Pynię przywieziono z myślą, aby kiedyś jemu była przeznaczoną. Czuła stara matka, że narzucone nigdy nie jest pożądanem; chciała, aby on sam się później rozmiłował w niej — i zapragnął. Zdawało się jej to możliwem, koniecznie. Tymczasem ciekawą była, jakie wrażenie dziewczeczka uczyni na Sylwanie.

Ładna była, roztropna, żywa, i ten rodzaj instynktowej zalotności niewieściej, która się budzi często bardzo zawczasu w dziewczętach, już jej nie był obcy. Ustrojona, przglądała się w lusterku lub wiadrze wody, przypinala sobie jasne kwiatki... i gdy ją starzy parobcy chwalili z urody — śmiała się szczęśliwa.

Głosik miała ptaszęcy, którym teskne dumki nuciła — tak słicznie, że jej wszyscy chętnie długo w milczeniu się przysłuchiwali.

Pynia była już od kilku tygodni na Rusinowym Dworze i zupełnie się z życiem tutejszem oswoiła — gdy Sylwan po długiej niebytności nadjechał.

Dziewczę wiedziało, że się go spodziewano,

było ciekawe. Tatiana nancyła ją, że powinna była w rękę go pocałować, gdy przybędzie, i pięknie mu służyć. Horpyna też szeptała wychowawce, iż pana tego musiała kochać, bo on być miał jej opiekunem. Częste wspomnienia o Sylwanie podrażniły dziecięcą ciekawość: oczekiwała go niecierpliwie. Wyobrażała sobie poważnym i niemłodym—obawiała się trochę.

Gdy Sylwan wjechał w podwórze i wprost do swej izby wbiegł, aby się przebrać. Horpynki nie było na dziedzińcu. Zobaczyła go dopiero, gdy przebrany w prostą odzież przyszedł do matki.

Pynia stała drżąc we drzwiach alkierza, ładna jak obrazek z życia ukraińskiego.

Matka rozplakała się, ściskając syna—jak zawsze, trzymała go w objęciach długo—a gdy Sylwan podniósłszy głowę, zobaczył to niebywale zjawisko—zdumiał się bardzo.

Matka mu nigdy ani wspomniała o tem, aby swą służbę powiększyć chciała. Nie domyślał się, że dziewczynina była Ukrainką, sądził, że ją tylko tak ustrojono, wzięwszy gdzieś w okolicy. Uśmiechnął się, wskazując matce na Pynię.

— Jakże to dobrze, matusiu — odezwał się — żeście sobie służankę znaleźli — i jeszcze ją tak po-ukraińsku ślicznie ustroili! Dawno wam tego było potrzeba... Szczebiotanie młode nieraz wam smutne myśli rozpędzi.

Ale zkadże się ona tu wzięła?

Pynia zarumienila się, fartuszek do ust podniosła, główkę spuściła trochę, a zpod oka spoglądała na przybysza.

— Harasym ją przywiózł z pod Hnmania, tę biedną sierotkę—odezwała się matka.

— Jakże rozumnie zrobił! — zawołał Sylwan. Oddawna było potrzeba się postarać o taką wychowankę dla ciebie, matko; przynajmniej nie zawsze samą będziesz.

Stara się ożywiła, nie chciała jednak, mówiąc o Pyni i chwając ją, aby dziewczę to słyszało.

— Idź do Tatiany—szepnęła, zwracając się do niej.

Pynia pierzchnęła natychmiast z żywością dziecka, ale ogłędając się zalotnie poza siebie.

— Nieprawdaż—mówiła dalej matka—że ona wyrośnie na śliczne dziewczę? A nie nwierzysz: na takie dziecko—co to za rozum, pamięć, spryt i do wszystkiego zdolność!

Sylwan słuchał z zajęciem.

— Doskonałą, pocziwą miał myśl Harasym, za którą mu podziękować muszę — odezwał się, całując rękę matki.—Wychowajcie ją—postaramy się o to, aby na świecie później źle jej nie było.

Syn znalazł matkę wpływem tego dziewczęcia, jak mu się zdawało, bardzo szczęśliwie zmienioną, spokojniejszą, zajętą niem—weselszą.

Był Pyni za to wdzięczny i zaraz pierwszego wieczora, aby ją ośmielić,—kilka słów przemówił do niej. Zdziwiła go śmiałymi odpowiedziami. i dzikim trochę wdziękiem swej oryginalnej piękności,—którą już pewna zalotność podnosiła.

Gdy raz te pierwsze lody zostały złamane. dziewczę szczebiotało ciągle, kręciło się, narzucało i dowiodło Sylwanowi, że się już tu zupełnie przyzwyczailo.

Nazajutrz Tatiana spotkała w podwórzu Sylwana.

— No. a co wy mówicie na nowy nasz przychówek?—zaśmiała się. Nie będziecie zazdrośni, żeby ją matka nadto nie pokochała?

— A! moja Tatiano—odparł Sylwan—byle jej z tem na świecie trochę lepiej, lżej było—byłbym prawdziwie szczęśliwym!

— Widzicie. zdaje mi się — dodała stara—że Horpyna mniej oczy wypłakuje teraz... Ona, jak dziecko: potrzeba jej było jakiejsz zabawki.

— Szkoda. żeśmy o tem dawniej nie pomyśleli. Potrząsnęła głową Tatiana.

— Dawniej-by to się nie zdalo na nic — teraz przyszło w samą porę... byle tylko dziecka nie popsuka. bo już je pieścić zaczęła.

Stara się uśmiechnęła chytrze. i spoglądając na Sylwana, wtrąciła:

— Nie prawdaż, panoczku?... jak wyrośnie, bę-

dzie z niej krasawica — za którą ludzie szaleć mogą. Byłam kilka razy tu po niasteczkach i po wsiach, widziałam dużo ludu — ale nie ma tu dziewcząt jak u nas, zbudowanych jak łanie, pięknych jak nasze i silnych. Tu ludek przymarniał, jak ta ziemia uboga, na której siedzi.—Gdzie im do naszych!

Pynia wyrośnie chłopcom na zagubę. Ja się na tem znam—okrutnie będzie piękną. Sierota w nędzy możeby była zmarniała; ale tu, na zdrowym chlebie.—jak to rozkwitnie!!

Starej się oczy świeciły; Sylwan słuchał, uśmiechając się i nic nie mówiąc.

Na myśl mu nawet przyjść nie mogło, że ten kwiatek nierozpęknięty jeszcze dla niego matka przeznaczała. Ona się też strzegła czemkolwiek mu to dać poznać.

Wprędce bardzo spoufalona ze starą, z Tatianą.—Pynia i z Sylwanem, była już, jakgdyby go od wieków znała. Patrzała mu w oczy śmiało, a gdy Horpyna spytała jej raz: jak się jej pan podobał — pokręciwszy główką, po krótkim namyśle—zamruczała:

— Piękny pan! Jam myślała, że on stary, a wydaje się młody jeszcze i taki dobry... ale czegoś smutny.

— Co za dziw!—zawolała Horpyna—na naszej

ziemi pólunn rosło dużo i długo... w naszej krwi uiedola wieków płynie goryczą.—Co za dziw!!

I jej łzy z oczów pociekły, gdy to mówiła.

— Staraj się, aby on ciebie lubił—szepnęła matka, schylając się ku niej i głaszcząc. — Jak mnie nie stanie. jego jednego mieć będziesz na świecie.

Patrzyła Pynia wielkimi zdziwionemi oczyma; nie zdawała się tego rozumieć dobrze.

Pobyt na Rusinowym Dworze tej późnej jesieni dla Sylwana był przyjemniejszym nie zwykle. Nieznacząca ta istota — nadawała pewne życie, przynosiła wesele. dwóm babom nie dawała stękać i żalić się. Często. gdy Sylwan przychodził do matki, wypadła za nim Pynia. stawiała w kątku i nie dopuszczała starej płakać a narzekać. Wtrącała się po swojemu do rozmów. wywoływała śmiech Sylwana, a nawet starej Horpynie swą naiwnością chmury z czoła spędzała.

Gdy Horpyna chciała się uzalić i zabołęć. precz wysyłała dziewczę, które uparcie co najprędzej powracało.

Kilka tygodni upłynęło bardzo szybko. Zima się zbliżała. którą Horpiński zwykł był spędzać w Warszawie. Matka tym razem ani mówiła o wyjeździe, ani mu go przypominała; on zaś—wśród tej samotności i ciszy, mając w lesie czasem polowanie, przejażdżki po polach swobodne—



wieczorami matkę i to dziecko—jak je nazywał—niebardzo za miastem tęsknił.

Zapomniał zupełnie o Paczuskim—o jego głupiem prześladowaniu i o potrzebie ukrywania się z sobą.

W ukraińskim swem ubraniu prostem błędził z psami popołach i lasu w jakimś błogiem odurzeniu.

Widok tego świata większego, do którego napół należał, obudzał w nim te żądze chorobliwe zemsty, zazdrości, niechęci. — które zatruwają duszę; tu przynajmniej był od nich wolnym.

Oprócz wieśniaków i drobnej szlachty z okolicy, która już się była z Rusinami oswoiła — nie spotkał nikogo i nie troszczył się o sąsiedztwo, którego nie znał.

Wątpliwem jest bardzo, czy o pobycie w blizkich Brzózkach pani Bończy wyznawał nawet; nie miał bowiem zwyczaju dopytywać o to sąsiedztwo, z którym żadnych nie chciał zawiązywać stosunków.

Naówczas gdy piękna wdówka go raz na polu spotkała i zdawało się jej, że go poznała — Horiński, zadumany, ani spostrzegł jej, ani wiedział o tem, kto ona była.

Los gotował mu właśnie z nią nieprzyjemną niespodziankę. Raz gdy zwolna wieczorem konno, zamiast przez pole, małą drożyną pod lasem

powracał ku Rusinowemu Dworowi—zaturkotało za nim; a że wozy i wózki spotykał często. więc nie odwrócił się nawet.

Małą karyolką powracała z folwarczku pani Bończyna i Sylwan ani się spostrzegł. gdy zrównawszy się z nim. wpatrzywszy dobrze długo w niego. parsknęła śmieszkiem wesołym.

— Panie Horpiński!... cóż-to za maskarada?... Pan. tu?... w tej siermiędze?

Potrzeba było chwili dobrej namysłu Sylwanowi, nim się zebrał na odpowiedź. Skłonił się powoli; twarz przybrała wyraz poważny.

— Trochę poluję. odpoczywam trochę po miejskim gwarze—odpowiedział sucho.— Miałoby to być grzesznem lub—tak dziwnem?

— Daruj pan, ale przynajmniej jest oryginalnem—poczęła wdówka, której konie zwolniły biegu i szły teraz równym krokiem z wierzchowcem Sylwana.—Więc pan tak bardzo potrzebujesz samotności? Ukrywasz się? aby cię tu nikt nie szukał i nie znalazł?

Horpiński. pochylony nieco—dumał.

— Być może, iż się wydaje pani oryginalnem, lecz—rzekł spokojnie — mamy różne gusta i potrzeby... Co nikomu szkodliwem nie jest—należałoby, mnie się zdaje—przebaczyć fantazyi...

— Właśnie, że to jest szkodliwem—odparła filuternie Bończyna, spoglądając na niego—bo nas

pozbawia przyjemności obcowania z panem. Mnie się cznie obrażonymi. iż nie raczysz naszego towarzystwa uznawać godnem siebie.

— Dlaczegoż nie odwrotnie?—odrzekł natychmiast Sylwan.

Wdowa nie chciała mn się dłużej naprzykrzać drażliwemi słówkami i zmieniła ton.

— Ale ja o pann tutaj dawno wiedziałam—rzekła—tylko szanowałam jego zamiłowanie pokoju.

— Od kogo pani mogłaś wiedzieć o mnie?—spytał Sylwan.

— A! tego odkryć nie mogę! Tajemnica stała!—śmiała się Bończyna.—My, kobiety. jesteśmy. jak wiadomo. ciekawe. podejrzliwe, nieznosne—i wiemy wszystko.

Obejrzała się dookoła piękna wdowa.

— Ponieważ szczęśliwy los dał mi pana złapać tak nauczynku — dodała — mam prawo się upomnieć, abyś był grzeczny i chciał mnie odwiedzić.

—Pani dobrodziejko—ja tu nie mam nawet nic oprócz—siermięgi.

— A! to nic nie znaczy, przyjmuję pana w siermiędze.

Sylwan się zamyślił.

— Będę pani służył—rzekł zniżając głos—ale—mam prośbę do niej. Oryginalność to. fantazyja—zdziwaczenie — nazwij pani, jak chcesz, postępowanie moje. nie radbym, aby ludzie się niem zaj-

mowali. Prosiłbym. abys pani o tem raczyła zapomnieć.

— A! zapomnieć nie potrafię — rozśmiała się Bończyna—ale daję panu słowo i dotrzymam go, że wcale o tem mówić nie będę.

A zatem—do zobaczenia w Brzózkach. — Maciuś. popędzaj!

I wózek pani Bończyny klusem potoczył się ku Brzózkom, a Sylwan. zły. skwaszony. nie rad z siebie, skierował się ku Rusinowemu Dworowi. Nie był tak naiwnym. aby wierzył w to, iż wdowa zamilczy o nim i o spotkaniu — ale zrezygnował się już na—przyznanie do tego, iż czasem robił wycieczki myśliwskie. w ciągu których sam być lubił.

Co o tem mówić sobie miało, już go mało obchodziło.

Chcąc się pozbyć co rychlej ciężących mu odwiedzi w Brzózkach. o których matce wcale nie wspomniął, nazajutrz po obiedzie. przebrał się w swoje suknie miejskie, wcale niewytworne i na wsi tylko njsć mogące—okrył się płaszczem i wyruszył do wdowy.

Tu go może oczekiwano.... Bończyna, zawsze wesolutka. mająca wiele do powiedzenia, więcej jeszcze do pytania, przyjęła sąsiada z uprzejmością nadzwyczajną.

— Jeżeli kto, to ja nie mam prawa panu wy-

rzucac jego oryginalności — rzekła po przywitaniu—bo moje życie nadzwyczaj jest podobne do pańskiego. I ja część roku spędzam tu w samotności. z tą tylko różnicą. że mam szczęście cieszyć się towarzystwem matki.

Sylwan, siedzący z oczyma spuszczonemi, nie odpowiedział nic.

— Mojem zdaniem—rzekł po długiem milczeniu zadumanem,—nikt nikomu rodzaju życia. jaki sobie obrał. za złe brać nie powinien. Każdy sobie tworzy najwygodniejsze gniazdo — jak ptaki, które je w najrozmaitszy sposób budują.

— To tylko takie trzpioty jak Emil—wymówiła się niechcący Bończyna. i małą rączką nderzyła się po ustach.

A! co mi się to wymknęło.

— Żaden to sekret dla mnie—odparł obojętnie Sylwan.—Wiem, że ten chłopak. który nie ma co zrobić z życiem. z czasem i z sobą, szpiegował mnie. Śmiałem się i śmieję z tego.

— Ale panowie z sobą nie jesteście poróżnieni?—zapytała wdowa.

— Ja? z nim! — rozśmiał się Sylwan—ale proszę pani. ja nie biorę na seryo p. Emila Paczuckiego. i nikomu go nie życzę uważać za co innego. jeno za bardzo dobre chłopię, które potrzebuje długo dojrzewać.... byle, nim dojrzeje.gnić nie zaczął.

Pieszczoszek, popsuty—biedaczysko, ma przed sobą przyszłość bardzo niepewną i biada kobiecie, co by mu swój los powierzyć chciała.

Z pozorną obojętnością wymówione te wyrazy, przyjęła wdowa chciwie—i utkwily w jej pamięci.

Emil dosyć się podobał Bończynie—miała może jakie projekta na niego — zdawało się jej łatwem opanować serce i umysł nieopatrzного młodzika. Zdanie o nim Horpińskiego ostudziło i nastraszyło piękną panią.

Nastroiła minę seryo.

— Tak surowo go pan sądzisz?—spytała.

— Jest to jeszcze bardzo pobłażliwe zdanie—rzekł Horpiński. Wistocie mam nawet pewną sympatyą dla biedaka. żal mi go — ale mu przyszłości dobrej wróżyć nie mogę—a przeraża mnie myśl, że ktoś z takim sternikiem ważyłby się puścić na morze. Słaby i zarozumiały,—może być co groźniejszego nad to?

Zmilczała wdowa.

— Pan wogóle jesteś surowym dla ludzi—rzekła—sposstrzegłam to już dawniej.

— Czy pani sądzi, że oni dla mnie są bardziej pobłażającymi?—odparł Sylwan—ale to kwestya podrzędna—złośliwym nie jestem, widzę mimo-woli jaśniej niż inni — skały. skopuły, rafy, o które się rozbijają marzenia... Troszkę żeglowałem sam—a wiele się przypatrywał pływającym

po morzach. Wszystko przebaczam — lituję się nad wszystkimi—cóżem winien, że czasem mam dar jasnowidzenia?

— Smutny to dar—odezwała się Bończyna.— Ja wolę nie widzieć naprzód. aby się zawczasu nie trwożyć.

— Z pewnością to lepsza rachuba — dołożył Sylwan.

Parę godzin spędził w Brzózkach Horpiński i po herbacie odjechał. Stara Sędzina, która rozmowie o Emilu była przytomną, a na której poważny Horpiński zrobił wrażenie bardzo rozumnego człowieka. zaraz po jego odjeździe napa—  
dła na córkę.

— Widzisz!... widzisz!... com ci ja o tym Paczuskim mówiła, a takeś się nim zajęła, zabałamuciła! Wierz mi, że to wietrznik, i choć bogaty. młody, przystojny—ale—niech nas Bóg od niego broni!

W twojej główce już się snuło—nie prawdaż?

— No... snuło się i rozsnuło!—odparła smutnie Bończyna. — Przyznaję się mamie, że — trochę mnie zajął. bo i on się mną zajmował. To, co o nim powiada Horpiński, zupełnie mnie ostudziło i rozczarowało. Nie, nie, nie!... Nie chcę go i myśleć o nim nie będę.

Ale mówiąc to, westchnęła wdówka.

Rozum i pan Sylwan nie dozwolili marzyć

o nim; serce i potrzeba zakosztowania życia znowu, przemawiały za wesołym i miłym chłopcem. Miał dla Bończyny urok ten biały, różowy, pulchniutki jedynak, który umiał przypochlebić się, podobać—okazać czułym i namiętnym.

Lecz całą resztę życia pokutować za zjedzenie tego cukierka?—wdowa była nadto rozumną i doświadczoną, aby się tego dopuściła.

Westchnęła i powiedziała sobie w duchu:—Bądź zdrowe! marzenie.

Prawie w tym samym czasie Paczuski na wsi, odpoczywając z cygarem w swoim pokoju, roił o Bończynie i uśmiechało mu się to, że w zimie będzie jej *cavalier servente*, że—wielu mu będzie zazdrościć.

— Taka śliczna i tak się młodziuchną wyda-je!—powtarzał. — Gdybym nawet się ożenił—za-  
prawdę — nikt-by nie mógł powiedzieć, że para  
nie dobrana... A! jakby nam było z sobą wesoło!

Nie przewidywał p. Emil, że kilka słów Hor-  
pińskiego — pewno nie bez celu powiedzianych,  
cały gmach tych marzeń miało obalić i w gruzy  
obrócić.

Koniec tomu pierwszego.



Biblioteka Raczyńskich

**JK2186**



**JK2186**